

ADAM OCHOCKI

# raz, dwa, wzięli!

Wspomnienia z ZSRR 1939–1946



**Ochocki Adam**

# **Raz, dwa, wzięli!**

*Wspomnienia  
z ZSRR 1939-1946*

*1988*

## OD AUTORA

W niezwyklej okolicznościach narodziła się ta książka. Cięża przebiegała niemal pół wieku, natomiast sam poród odbył się lekko, bez kleszczy, bez cesarskiego (czytaj: cenzorskiego) cięcia.

Pomysł opisanja mych przeżyć sponad sześćoletniego pobytu w Związku Radzieckim w latach wojny zaświtał mi już w czasie dramatycznej ucieczki przed hitlerowcami w listopadzie 1939 roku, kiedy jako dwudziestosześcioletni młodzian wyruszyłem na tułaczkę po świecie.

Los nie szczędził mi gorzkich doświadczeń. Czego to ja się nie miałem przez te lata? Próbowałem sił w najrozmaitszych zawodach, nawet byłem poganiaczem wielbłądów pod skwarnym niebem Azji, dokąd wywędrowałem po przeszło rocznej wyczerpującej pracy w łagrze. Podzieliłem wtedy los wielu tysięcy Polaków, zesłanych z Ukrainy i Białorusi do obozów pracy przymusowej.

Po trzech względnie spokojnych latach spędzonych u stóp Pamiru padłem ofiarą prowokacji. Podejrzany o współpracę z Niemcami i wrogą działalność przeciwko Związkowi Radzieckiemu poddany zostałem długotrwałemu śledztwu, trafiłem do więzienia i znowu do łagru. Gdyby nie sprzyjające okoliczności, kto wie, czy napisanie tego pamiętnika mogłoby dojść do skutku...

Pod wpływem ciężkich przeżyć i określonej sytuacji politycznej mój zamiśl literacki oddalał się coraz bardziej. Nie robiłem żadnych notatek, bo i po co? Po powrocie do kraju też nie zaprzętałem sobie głowy tą sprawą. Po prostu nie było szans na wydanie pamiętnika z tamtych lat, a do szuflady pisać nie lubię.

Niespełnione marzenia odżyły pamiętnej wiosny 1987 po znamienych przeobrażeniach u sąsiadów. Dopiero wówczas, gdy coraz głośniej poczęło rozbrzmiewać hasło „głasnost” (jawność), gdy padły ważkie słowa o likwidacji białych plam w stosunkach polsko-radzieckich, gdy „pieriestrojka” w Kraju Rad nabrała realnych kształtów - dopadłem maszyny do pisania. Wysłuzona erika ledwo nadażala za natłokiem wspomnień. Rozwinęła się barwna taśma filmowa, z zakamarków pamięci wydobyłem minione dzieje, sylwetki ludzi, z którymi się stykałem.

Książkę napisałem w tempie rekordowym: w ciągu maja 1987 i kilku dni czerwca. Dałem jej fikuśny tytuł z podtekstem „Raz, dwa, wziali!”

Tymi słowy ponaglał nas do zdwojenia wysiłków przy taskaniu spiłowanych drzew prorab w rybińskim obozie pracy, a przedtem, we Lwowie, też raz, dwa, wziali, ale nas, wielotysięczną rzeszę uciekinierów do miejsc odosobnienia...

Maszynopis zaniósłem do redakcji łódzkiego tygodnika „Odgłosy”.

Przeczytali... raz, dwa, wzięli. Po „Odgłosach”, które zamieściły piętnaście całostronicowych fragmentów pamiętnika, po tekst sięgnęli następni: lubelska „Kamena”, katowicki tygodnik „Tak i Nie”, łódzka rozgłośnia Polskiego Radia - wreszcie Wydawnictwo przy Towarzystwie Krzewienia Kultury Świeckiej w Łodzi.

Nakładem tej oficyny trafił na półki księgarskie niniejszy tomik, będący spełnieniem moich marzeń młodzieńczych sprzed pięćdziesięciu lat.

#### PIĘĆ PRZED DWUNASTĄ

- Mogą być z tobą kłopoty - powiedział Stefan, przypatrując mi się tak, jakby mnie widział pierwszy raz w życiu. - Ten nos, włosy, oczy...

W jego głosie poza troską o mnie dawała się wyczuć pewność siebie. Mój kuzyn miał dobry wygląd, jak się wtedy mówiło. Blondyn o niebieskich oczach, pociągłej twarzy, wąskim, wysklepionym nosie, smukły, wysportowany - nic nie wskazywało na jego pochodzenie.

Sam Alfred Rosenberg, ideolog hitleryzmu, pierwszy spec od spraw rasowych, bez mrugnięcia okiem zakwalifikowałby go na plaży dla tekstylnych jako nordyka czystej krwi.

Jechaliśmy z Łodzi pociągiem do Warszawy z zamiarem jak najszybszego przedostania się na terytorium Związku Radzieckiego. Dochodziła połowa listopada 1939 roku, represje Niemców nasilały się: łapanki do przymusowych robót, kontrybucje, płonące ‘synagogi, pierwsze gwiazdy Dawida na rękawach, przebąkiwano o mających powstać gettach dla ludności żydowskiej.

Z rodzinnego miasta uciekliśmy pięć przed dwunastą. W przeddzień Święta Niepodległości Niemcy dokonali spustoszenia wśród przedstawicieli inteligencji, działaczy społecznych, naukowców. Ofiarą masowych aresztowań padli również nasi koledzy dziennikarze, którzy nie zdążyli opuścić Łodzi lub zdecydowali tu pozostać, „aż się wszystko ułoży”.

Cały dobytek, jaki wieźliśmy z sobą, stanowiły dwie walizy. W pośpiechu poupychaliśmy w nich najniezbędniejsze rzeczy: ubrania na zmianę, koszule, jakieś swetry, bieliznę. Nie zabrałem nawet maszyn-ki do golenia.

Chciałem, żeby żona mi towarzyszyła. Namawiałem teścia: jedźmy wszyscy razem, tutaj rozpęta się piekło na ziemi. Nie chciał o tym słyszeć.

- Mój ojciec - tłumaczył - a był to bardzo mądry człowiek, też nie ruszał się z miejsca w czasie poprzednich zawieruch wojennych. Niemcy to kulturalny naród, nie skrzywdzą ludności cywilnej.

Teściowie nie byli zachwyceni wyborem jej córki. Jako mało zarabiający reporter, bez stałej pensji i widoków na przyszłość, nie stanowiłem dobrej partii. Teść nalegał, żebym zmienił zawód. Był dyrektorem sprzedaży w zakładach włókienniczych Karola Eiserta, świetnie mu się powodziło, wybudował dom na Żwirki. Tak długo mnie molestował, aż dopiął swego: wyraziłem zgodę na podjęcie działalności handlowej. Urlop we wrześniu miałem poświęcić na rajzy z teściem po kraju, a gdy się już obznajomię z tajnikami zawierania transakcji, zostanę przedstawiony samemu Pawłowi Seipeltowi, naczelnemu dyrektorowi u Eiserta, bo pan Seipelt uruchamia do spółki z Kindlerem fabrykę tkanin jedwabnych i potrzebny mu będzie młody, zdolny komiwojażer.

- Alicja zostanie z nami - oznajmił teść tonem nie znoszącym sprzeciwu. - A ty...

Nie namawiał mnie do pozostania ani nie odradzał ucieczki. Żona w ogóle nie dopuszczała do siebie myśli o opuszczeniu kraju. Byliśmy siedem lat po ślubie, dzieci nie mieliśmy, nasze życie było zgodne, jednak miłość do rodziców i obłędny strach przed wyprawą w nieznane wzięły górę. Alicja nie otrząsnęła się jeszcze z przeżyć w oblężonej Warszawie, gdzie spędziliśmy razem te upiorne dni.

Uznałem jej racje. Przy boku bogatego, ustosunkowanego ojca będzie miała lepiej niż w tułaczce ze mną. Zresztą, jak długo ta wojna może potrwać? Zadekuję się gdzieś i niebawem wrócę, ale na razie muszę uciekać. Już doświadczyłem prześladowań ze strony Niemców.

Zagnali mnie do mycia samochodów i żeby mi się lepiej pracowało, wygarbowali skórę...

- Dokąd zamierzasz pojechać? - zapytał teść, jakbym się wybierał na urlop wypoczynkowy w kraju.

- Na razie do Lwowa.

- Zgłoś się tam do Dwormana. On ma skład konsygnacyjny wyrobów Eiserta. Na pewno nie odmówi ci pomocy...

Po przyjeździe do Warszawy wprost z dworca udałem się do mego brata Ludwika Starskiego na Żurawią 28 i powiedziałem mu o swoich planach.

- Będziesz we Lwowie?

- Chcemy się tam zatrzymać ze Stefanem na jakiś czas.

- Odszukaj Mundka Szlechtera. W końcu sierpnia w drodze powrotnej z Jaremca zostawiliśmy u niego walizkę z rzeczami Marysi. Przydadzą ci się.

Brata łączyła z Emanuelem przyjaźń. Szlechter napisał piosenki do filmów Lutka. Jedną, bodaj z komedii „Robert i Bertrand”, pamiętam: „Był zakochany złodziej, okradał

niebo z gwiazd, rabował słońcu złoto, a księżycowi blask. A wszystko robił po to, bo chciał na pomysł wpaść, jak jednej małej pani jej małe serce skraćć...”

Pobiegłem do znajomych warszawiaków na rekonesans. Jak przedostać się do Związku Radzieckiego? Poradzono mi: najłatwiej przekroczyć granicę w Małkini, został tam utworzony pas neutralny, rozdzielający zajęte przez hitlerowców tereny od obszarów, do których dotarły wojska radzieckie. Niemcy rewidują uciekinierów, zabierają pieniądze i kosztowności, ale przepuszczają na drugą stronę.

Nie chciałem ani dnia dłużej mitrzyć w stolicy. Stefan też nie mógł usiedzieć na miejscu. Kupiłem jakieś drobiazgi i za resztę gotówki trzy banknoty dwudziestodolarowe. Gdzie je ukryć, żeby nie wpadły w łapy Niemców? Już wiem, włożę je do pudełka od zapalek, przed rewizją rzucę pudełko niepostrzeżenie na ziemię, a gdy cała procedura skończy się, podniosę je i jakby nigdy nic ruszę w dalszą drogę.

Nazajutrz o świcie popędziliśmy na dworzec. Pociąg był nabity.

Przeważali samotni jak my mężczyźni. Mało kto odważył się zabrać najbliższych w nieznane. Na twarzach malowała się troska, przygnębienie. Rozmowa nie kleiła się. Nawet towarzyski Stefan nie odzywał się ani słowem i tylko co chwila obrzucał mnie krytycznobadawczym spojrzeniem.

Po kilku postojach koło południa dotarliśmy do Małkini. Niemieccy żołdacy i cywile obskoczyli wagony.

- Raus! Raus!

Rudy feldfebel rozglądał się dokoła, wypatrując kogoś znajomego.

Wzrok jego padł na gramolącego się z wagonu Stefana. Momentalnie znalazł się przy nim.

- Jude?!

- Aber wo! - odparł kuzyn, przystrajając twarz w miły uśmiech.

Rudzielec popatrzył na niego niezdecydowany.

- Ausweis! - ryknął.

Stefan podał mu dowód osobisty. Feldfebel rzucił okiem na rubrykę „wyznanie”. Musiał, drań, znać polski, bo trzepnął Stefana na odlew w twarz.

- Du verfluchter Jude! - pinił się. - Co masz w koffer? Aufmachen, szibko, szibko!

Nie wiedziałem, jak się zachować. Pomóc Stefanowi nie mogłem.

Nie spiesząc się, przez nikogo nie zatrzymywany, ruszyłem powolutku przed siebie. Z przydworkowej oberży wysypała się grupka miejscowych chłopów. Rozprawiali o czymś z

ożywieniem. Wmieszałem się między nich i głośno, żeby kręcący się dokoła Niemcy słyszeli, zagadnąłem jednego z gospodarzy:

- A dyć co wy tam, kumie, godocie? Latoś pyry kiepsko obrodziły, cosik mi się widzi, że zymby trza bydzie powiesić na haku, kiej przednówek przyńdzie...

Chłopi zbaranieli. Szybko jednak zorientowali się, jeden ujął mnie pod pachę i poszliśmy w kierunku wsi, biadoląc o naszych rolniczych kłopotach. Kątem oka ujrzałem Stefana. Obdarzony na drogę potężnym kopniakiem doszłusował do nas. Niemcy, zadowoleni z wyników rewizji, wołali w ślad za przepuszczonymi:

- Los, los! Geht zu dem rote Paradies! (Szybko, szybko, idźcie do tego czerwonego raj!)

Pierwsze chaty ukazały się po kilkunastominutowej marszrucie.

Zapytałem idącego koło mnie chłopa, czy będzie mógł nas przenocować.

- Całe obejście pełnusięńkie - sumitował się. - Fura narodu zwała się w ostatnich dniach. A ruskie od przedwczoraj nie otwierają granicy. Ale - spojrzał na mnie ciepło - jakiś kąt się znajdzie. W stodole pachnące sianko...

Dopiero później dowiedziałem się, dlaczego Rosjanie wstrzymali czasowo dążącą na ich terytorium falę ludzką. Ruch przez pas neutralny odbywał się w dwóch kierunkach: z Polski do Rosji uciekali przeważnie Żydzi, z miast i osiedli radzieckich wędrowali do kraju rdzenni Polacy, pragnący połączyć się ze swymi rodzinami. Przez pierwsze dni kto chciał przedostawał się z jednej strefy do drugiej. Ta bezładna, puszczone na „samotki” wędrówka narodów kryła w sobie ryzyko, toteż w obawie, aby niepożądane elementy nie przenikały na terytoria radzieckie i na odwrót - żeby osoby niepewne politycznie nie szwarcowały się do zajętego przez hitlerowców kraju - zastosowano środki ostrożności. Na razie opuszczono szlabany i wszystkich zawracano z drogi: tych, co szli na wschód, z powrotem do pasa neutralnego, tych, którzy chcieli przedostać się do Polski - na ziemie zajęte przez wojska radzieckie.

Sytuacja nie wyglądała różowo. To po to przemierzyliśmy tę drogę, narażając się na szykany niemieckie, żeby wracać? Przecież Niemcy nie wpuszczą z powrotem ani mnie „z tym nosem i włosami”, ani Stefana „nordyka”...

A że ranek mądrzejszy jest od wieczora, postanowiliśmy odpocząć i nazajutrz zastanowić się co dalej. Zjedliśmy przywiezione produkty i udaliśmy się do stodoły. Zrzuciłem z siebie jesionkę, pantofle, zagrzebałem się w sianie. Stefan uczynił to samo, tylko nie ściągnął z nóg swych chromowych butów z cholewami.

O świcie gospodyni przyniosła dzbanek mleka i pół bochenka wiejskiego chleba. Nie chciała słyszeć o zapłacie. Z upodobaniem wpatrywała się w Stefana.

- I pan tyż musiał uciekać? Mówiom, że Niemcy tylko Żydków się czepiajom.

Na dworze zbici w grupki uciekinierzy wiedli ożywione dyskusje.

Co robić? Jak długo przyjdzie czekać na otwarcie granicy?

- Mam pomysł! - chwyciłem Stefana za rękaw. - Zaczekamy do nocy, a gdy się ściemni, pójdziemy gromadą. Przekroczymy pas neutralny śpiewając „Międzynarodówkę”. Zobaczysz, jeszcze nam zasalutują!

Moja propozycja zyskała ogólną aprobatę. Po północy objuczeni walizami, tobołami pomaszzerowaliśmy zwartym szykiem. Zaintonowałem „Wyklęty powstań ludu ziemi”, idący za mną podchwycili słowa pieśni.

Strażnicy zdębieli, nie ruszyli się z miejsca, a my raźnie podążaliśmy w kierunku czerniejącego przed nami lasu. Uszliśmy może sto metrów, gdy niebo rozdarła świetlista raca i rozległy się ostrzegawcze wy-strzały.

- Będą nas zawracać! Szybciej! - krzyknąłem do Stefana. - Popatrz, jakaś chałupa, skryjmy się i poczekajmy, aż to się przewali!

Po przystawionej do chaty drabinie wdrapaliśmy się na strych.

Przez małe okienko mieliśmy widok na drogę. Noc była jasna, księżyc świecił jak oszalały. Przed zdezorientowaną gromadą uciekinierów pojawiło się kilku krasnoarmiejców na koniach.

- A wy kuda? Dawaj nazad! - zawołał starszyna i popędził kotłujący się tłum w stronę pasa neutralnego. - Etoż biezobrazije, jej Bogu.

Nado ożidat' prikaza, biez prikaza naczalstwa nielzia! (Trzeba czekać na rozkaz dowództwa, bez tego nie wolno!). Stefan dygotał na całym ciele, ja nie traciłem rezonu.

- Uspokój się, nie wszystko stracone. Za kilka minut spróbujemy indywidualnie.

Na dole w chałupie domownicy pogrążeni byli w kamiennym śnie. O naszym pobycie na strychu nie mieli pojęcia. Nie obudzili się nawet, gdy schodząc po drabinie, rymnąłem jak długi na ziemię.

Zagłębiliśmy się w las. Przed nami zabłysło światelko latarki elektrycznej.

- No to koniec z nami... - jęknął mój towarzysz.

- Nie kracz. Stań i rób to, co ja! - skomenderowałem.

Światelko zbliżało się z zawrotną szybkością. Przed nami wyrósł chudy jak tyka lejtnant, za nim kilku żołnierzy z przewieszonymi przez ramię wintówkami.

- A wy kuda naprawliajeties'? - lejtnant zmierzył nas badawczym wzrokiem.



Zrobiłem pół obrotu do tyłu i pokazując na pas neutralny powiedziałem:

- Tuda, towarzyszc lejtenant...

- Dawajcie nazad! - zawołał. - Skorciej!

Zrobiłem zawiedzioną minę, że niby pokrzyżowano nam plany - i powlekliśmy się przez las w upragnionym kierunku - w stronę Zarębów Kościelnych. Stamtąd mieliśmy udać się w dalszą drogę. Stefan koniecznie chciał zawadzić o Białystok, dokąd wywędrował jego były szwagier.

- To obrotny facet, zobaczysz, pomoże nam.

Mój kuzyn wcześniej owdowiał. Do wybuchu wojny mieszkał samo-tnie. W ogródku kawiarni „Europejska” przy ul Piotrkowskiej 113 poznał występującą tam gościnnie Werę Gran. Śpiewała liryczne, nastrojowe piosenki:

List, pierwszy miłosny list, Cały mokry od łez, Dziś pamiątką jest...

Kwiat, stary, - zwiędły już kwiat, Zapach stracił i zbladł, Lecz zostawił ślad...

Przyłgnęli do siebie, ale ich romans nie trwał długo. Wera dostała engagement do innego miasta, zostawiła zakochanego Stefana. On też szybko o niej zapomniał. Zabujał się w młodszej od siebie o kilkanaście lat ślicznej dziewczynie, córce pończosznika z ulicy Lipowej. Rzuciła dla Stefana boksera Maksa R., była z nim zaręczona, ale w tułaczce po świecie nie chciała kuzynowi towarzyszyć, podobnie jak mnie moja żona.

Od Zarębów Kościelnych dzieliło nas sporo kilometrów. Na szczęście drogą przejeżdżała spóźniona podwoda. Woźnica na widok dwóch zmordowanych piechurów zatrzymał konia i zaproponował nam swój podskakujący na wybojach pojazd. Z kolei przesiedliśmy się na inną „biedę”, z niej o świecie na wóz wyładowany sianem. Gdy wreszcie do-tarliśmy do celu, byliśmy u kresu sił. Dworzec i teren dokoła jak okiem sięgnąć pokrywało mrowie ludzkie. Wszyscy wypatrywali pociągu mającego zawieźć ich, podobnie jak nas, do Białegostoku.

- Trzeba będzie poczekać, aż tu się trochę przeżydzi - strzeliłem kalamburem, jakiego by się nie powstydział redaktor „Małego Dziennika” z Niepokalanowa czy innego „Orędownika”.

Nazajutrz zaroilo się od nowych przybyszów. Poznałem wśród nich uczestników zainicjowanego przeze mnie marszu z piosenką na ustach.

- Puścili was?

- Co znaczy puścili? Jeszcze chleb nam dali na drogę.

- Obeszło się bez żadnych trudności?

- Żeby panu powiedzieć, to nie powiem. Przyjechał sam główny naczelnik, zebrali nas do kupy, zapytywali każdego skąd, dokąd, po co, kazali pokazywać papierów i podnieśli tego szlagbauma.

Przepuściliśmy kilka pociągów, nie mogąc się zdecydować na szturm. Nawet dachy wagonów oblepione były zdesperowanymi ludźmi. Wreszcie moja cierpliwość wyczerpała się.

- Musimy wleźć na siłę - zdecydowałem. - Bo tak możemy tu czekać do... śmierci!

Dziwna rzecz: starszy o dziesięć lat Stefan, który mnie dotąd ledwo tolerował, okazując przy lada okazji swą wyższość, teraz bez szemrania przystawał na każdą moją propozycję. To prawda, że przepracowaliśmy w jednej redakcji dziewięć lat, ale on był redaktorem całą gębą, zarabiał ponad tysiąc miesięcznie, a gdy mnie uzbierało się na miesiąc sto złotych, to było wielkie święto.

Teraz role odmiały się i, co tu ukrywać, rozpierała mnie duma.

Strach, towarzyszący do przeprawy w Małkini, uleciał. Żyłem żądzą mocnych wrażeń, fascynowała mnie wielka Przygoda. Wstyd się przyznać, najmniej myślałem o rodzinie. Byłem przekonany, że gdy wojna się skończy, zastanę wszystkich przy zdrowiu, dadzą sobie radę beze mnie. O, naiwności młodzieńcza!

- Jedzie, jedzie!

Wszystko co żywe rzuciło się ku torom, po których dudnił zasapany pociąg.

- O dostaniu się drzwiami nie ma co marzyć - oceniłem w lot sytuację. - Walimy przez okno! Najpierw bambetle!

Nie zważając na przekleństwa współtowarzyszy niedoli, których jak taranem roztrącałem walizą, dopchnąłem się do otwartego okna przedziału i szast, prast! - moja waliza wylądowała na czyjejs głowie.

Druga poleciała w ślad za nią.

Stefan wspiął się na palce, podsadziłem go i... mój kuzynek popisał się wspaniałym szczupakiem, jak przed laty, gdy grając na pozycji bramkarza w „Concordii” wylapywał zmierzającą w róg siatki piłkę. Ja nie potrzebowałem pomocy w wykonaniu mego salta mortale. Albo miało się tę piątkę z gimnastyki u profesora Szumlewskiego, albo nie miało? Chwyciłem się ramy okna, podciągnąłem na rękach i dałem nura do środka. Zaryłem głową w jakiś toból z pościelą, zadarte w górę nogi oparły się o coś żywego, falującego. Na najbliższej stacji stwierdziłem, że to biust dość leciwej obywatelki, która pozbawiła mnie tego oparcia wysiadając z przedziału.

Białystok sprawiał wrażenie gigantycznego mrowiska, w które wsadzono przysłowiowy kij. Ulicami przewalały się tłumy. Przechodnie poruszali się w przyspieszonym tempie, żywo gestykulując. Ich nie skoordynowane ruchy przywodziły na pamięć sceny z pierwszych slap-stickowych filmów z Chaplinem i Mac Sennetem, kiedy to aparaty projekcyjne nie miały jeszcze krzyża maltańskiego, gdy wszystko na ekranie śmiesznie podskakiwało, każdy gest odbywał się jakby fazami.

Gdyby zapytać kogoś z tej ruchliwej masy ludzkiej dokąd tak się spieszy, na pewno nie potrafiłby wyjaśnić.

Nasze poszukiwania zakończyły się fiaskiem. Nikt nie widział byłego szwagra Stefana, co gorsze - nikt go nie znał. Oblecieliśmy wszystkie skupiska, restauracje, kawiarnie - bez skutku. Na rynku dokonałem pierwszej transakcji: wymieniłem na ruble jeden z przemyconych banknotów. Byłbym go odstąpił pierwszemu handlarzowi za proponowaną przez niego cenę, tutaj jednak błysnął w pełni talent mojego kuzyna. Wyśrubował taki kurs, że współcześnie operujący przed „Pewexem” cinkciarze rozdziawiliby gęby z podziwu.

Uradziliśmy, że w Białymstoku nie ma czego szukać. Pojedziemy do Lwowa z popasem w Kowlu. Teraz ja chciałem kogoś spotkać. Do-wiedziałem się, że w Kowlu zarzucił kotwicę Dawid Celmajster ze swy-mi trzema synami, żoną, córką, zięciem. Z rodziną tą byłem w zażyłych stosunkach. Papa Celmajster spełniał w pewnym sensie rolę mojego drugiego chlebobdawcy: niewiele mniej zarabiałem u niego niż w „Republice”.

A było to tak.

Stary Celmajster zaproponował mi redagowanie wzmianek reklamujących jego lokal gastronomiczny „Tabarin” przy ul. Narutowicza w Łodzi. Do moich obowiązków należało pisanie cztery razy w miesiącu notatek, gloryfikujących tę osławioną mordownię, gdzie niemal co noc dochodziło do grubszych awantur. Zachwalałem pod niebiosa do-borową orkiestrę, smaczną kuchnię, bufet obficie zaopatrzone, występy tancerek i tancerzy, śpiewaków i śpiewaczek, popisujących się tam mistrzów białej i czarnej magii, ba - nawet brzuchomówcę, no i ostatni cud techniki - obracający się jak płyta gramofonowa parkiet, który za przełożeniem dźwigni to opuszczał się, to podnosił, ku uciesze tańczących par. Za te wzmianki „Republika” otrzymywała od Celmajstra odpowiedni ryczałt miesięczny, a mnie co niedziela, kiedy był największy utarg, papa wręczał dwanaście i pół złotego. Do tego dochodziła bezpłatna konsumpcja, mogłem zamawiać z karty najdroższe potrawy i to w dowolnej ilości.

- Ale za napoje będzie pan płacił - oświadczył mój chlebobdawca przy omawianiu warunków współpracy. Jednak ani jedna z wypłacanych mi złotych nie powędrowała z

powrotem do kieszeni papy, bo alkoholu nie brałem do ust. Ponad dwa lata pełniłem tę funkcję, dzisiaj szczyliłbym się tytułem rzecznika prasowego „Tabarinu”.

W drodze na dworzec nie szczędziłem Stefanowi wymówek.

- I po co wlekliśmy się taki szmat drogi? Przecież mogliśmy od razu po przejściu granicy wziąć kierunek na Lwów! Nakładamy kilkaset kilometrów. To tak jak w tym przysłowiu: wstał do piekieł po drodze mu było!

Pociąg do Kowla nie był przepelniony. Białystok spełniał rolę mielizny, na której zatrzymuje się największa fala, by dalej przepuścić już wąską strugę.

Znaleźliśmy wolny przedział. Stefan wgramolił się na górną półkę, ja rozprostowałem kości na dolnej, skąd miałem lepszy widok na nasze walizy.,

- Może byś tak zmienił wreszcie skarpetki? - zganiałem kuzyna. - Zajeżdża od nich na kilometr!

- Nogi mi spuchły, nie dam rady ściągnąć butów - wymamrotał i po chwili chrapał w najlepsze.

Przypomniał mi się kawał. W „ciepłuszce” na górnej półce, jak teraz mój kuzyn, leżał obywatel wyznania handlowego. Jego nogi dyndały tuż przed nosem siedzącego na dole pasażera. Zadarł on w pewnej chwili głowę i zawołał:

- Ej, towarzyszu! A wy nie mieniacie nosków? (Nie zmieniacie skarpetek?).

- Mieniaju, mieniaju. Na sachar!

Wprost z dworca pojechaliśmy dorożką pod otrzymany adres.

Rodzinę Celmajstrów zastaliśmy w komplecie przy kolacji. Wynajęli parterowe mieszkanie, do którego przylegał nieczynny sklep. Ponieważ stale ktoś tu wpadał przejazdem, dawny sklep przemeblowano na pokój gościnny. Zamiast łóżek czy tapczanów gości oczekiwały rozłożone na podłodze materace. I taki, dwuosobowy materac w głębi sklepu zaferowano nam.

- Ale najpierw panowie zjecie coś z nami. Co słychać w Łodzi?

A propos: wasi dwaj szefowie, redaktorzy Polak i Ołtaszewski są od kilku dni we Lwowie, Morylek Poznański, trzeci współwłaściciel waszej „Republiki”, całkiem zbzikował. Kilka dni przed wkroczeniem Niemców do Łodzi uciekł ze swą służącą. Na widok maszerującego oddziału krasnoarmiejców wrzucił do rzeki walizeczkę, wypełnioną dolarami, złotem i biżuterią...

Po kolacji gospodarze zaproponowali nam kąpiel. O niczym innym nie marzyłem. Mój wzrok pobiegł w kierunku nóg Stefana. Jak biedak upora się ze swymi butami? Jak je zzuje z opuchniętych stóp?

Przeszliśmy do naszego sklepu. Kuzyn przykucnął na taborecie i raz dwa oswobodził nogi z uciążliwego balastu. Nawet nie stęknął, buciory ześliznęły się jak po maśle! Nie zdążyłem ochłonąć z wrażenia, gdy z pomocą dłutka podważył obcas: na podłogę posypały się złote dziesięciorublówki i dwudziestodolarówki!

- Rano zaniesiemy buty do szewca, żeby na nowo umocował obcasy - powiedział. - Idź pierwszy do łazienki, muszę tu jeszcze coś zrobić. Wychodząc zauważyłem, jak z żyłką w ręku zabiera się do odpruwania podszewki w marynarce. A kiedy odświeżeni po kąpieli ułożyliśmy się na materacu, powiedział:

- W tak dalekiej i niepewnej drodze trzeba się mieć na baczności. Już teraz wiesz, dlaczego nie zdejmowałem butów?

Jak długo spaliśmy, nie mam pojęcia. Obudził mnie gwar rozmów.

Za szybą kotłował się tłumek gapiów. Widok dwóch facetów leżących na wystawie sklepowej, z wystającymi spod koców nogami, nawet śle-dziennika wprawiłby w dobry humor. Może to żywa reklama jakiejś imprezy? Tylko dlaczego nie ma żadnych napisów informacyjnych?

Wieczorem pociąg uwoził nas do ostatniego etapu tułaczki. Czy rzeczywiście ostatniego? Nie zastanawiałem się nad tym. Chciałem jak najszybciej znaleźć się we Lwowie. Zasnęliśmy uspokojony: tajemnica obmierzłych buciorów mego kuzyna została rozwikłana...

#### JEGO WYSOKOŚĆ PIKOLAK

Przed wojną znałem Lwów ze słyszenia. Regularnie nastawiałem radio na „Wesołą falę”, delektowałem się „bałakiem” Szczepka i Tońka, ciotki Bandziuchowej i radcy Strońcia. Wiedziałem, że to stary, szacowny gród z licznymi zabytkami kultury, że odbywają się w nim „Targi Wschodnie”, że ma trzy znakomite drużyny piłkarskie - „Pogoń”, „Czarnych” i „Hasmoneę” (pamiętam rudowłosego Steuermana, ten miał kopa!). Czytywałem wychodzące we Lwowie pisma: społeczno-literackie „Sygnały”, satyryczno-humorystycznego „Szczutka”, „Wiek Nowy”, „Słowo Polskie”.

I wiedziałem oczywiście, że przedstawicielem naszego „Expressu” na Lwów i całą Małopolskę jest Melman. Tytuł wychodzącego w Łodzi „Expressu” nie był konsekwentny. No bo „wieczorny” w tytule („Express Ilustrowany Wieczorny”), zarejestrowany jako popołudniówka, a ukazywał się o dziesiątej rano! Natomiast wszystkie wydania mutacyjne - w Krakowie, Katowicach, Gdyni, Lublinie, Lwowie itd. miały w tytule tylko „Express Ilustrowany” i były pismami porannymi. To tylko tak, dla przypomnienia.

Siedzibą redakcji i administracji lwowskiego „Expressu” było prywatne, parterowe mieszkanie Melmana, bodaj przy ul. Paderewskiego. Gdy zjawiliśmy się tam ze Stefanem, o

niedawnej przeszłości świadczył tylko jeden rekwizyt: wysłużony, biurowy remington, na którym Melman przez lata mozolnie wystukiwał sensacje - o procesie Rity Gorgon, oskarżonej o zamordowanie kilkunastoletniej Lusi, córki swego przyjaciela, architekta Zaremby, o „wampirze” Cybulskim, mordercy prostytutek, które zwabiał do kiosku gazetowego...

Przywitała nas żona Melmana, atrakcyjna, czarnooka, z pasmami siwych włosów, mimo młodego wieku (ile mogła mieć wtedy lat - chyba niewiele ponad trzydzieści). Pani Sonia serdecznie się nami zajęła.

Mąż załatwiał na mieście likwidacyjne sprawy „Expressu”. niebawem wrócił do domu.

Nie czekając na naszą prośbę, gospodarze z miejsca zaproponowali nam gościnę.

- Mamy cztery pokoje, poza nami dwojgiem mieszka tu jeszcze moja przyjaciółka, też z Łodzi. Salonik jest do dyspozycji panów. Proszę się czuć, jak u siebie w domu. - Z lubością popatrzyłem na pianino.

Można będzie czasem pobrzdakać?

- Pan gra?

- Ze słuchu, szlagiery.

- To świetnie! Będzie pan miał partnerkę w osobie Marylki. Ja się kiedyś uczyłam, nic z tego nie wyszło...

Marylka wróciła pod wieczór. Pracowała jako technolog w fabryce cukrów i czekolady „Branka”. Dogadaliśmy się, że jest siostrą mojego nieżyjącego kolegi szkolnego Julka J.

Nazajutrz poszedłem ze Stefanem do dawnej kawiarni „George’a” na placu Mariackim. Spotkaliśmy sporo łodzian, wśród nich szefów Polaka i Ołtaszewskiego. Dopytywali się o kolegów, o maszyny drukarskie „Republiki”. Potwierdzili historyjkę o Poznańskim.

Jakie mam plany? Ano trzeba się będzie rozejrzeć za jakąś pracą. Na razie zamelduję się u Mehnanów, Stefan chce wynająć mieszkanie.

- Niech pan się dowie, panie Kiepura (tak mnie nazywano w redakcji), kto mógłby nam pomóc w przedostaniu się do Wilna - powiedział Polak. - Bez przepustek nie da rady, chyba na szwarc.

Stefan siedział przy którymś już z kolei stoliku, z ożywieniem o czymś rozprawił. Wrócił w szampańskim humorze. Nie wypytywałem go o powód radości tak bardzo nie licującej z naszą sytuacją.

- Trzeba się zarejestrować - zakomunikował. - Bez tego nie ma mowy o znalezieniu jakiegoś zajęcia Jaki zawód podasz?

- Nie rozumiem...

- No, co im powiesz? Chyba nie przyznasz się do dziennikarstwa?

- Dlaczego?

- Bo dla nich każdy dziennikarz z innego kraju to szpion, szpieg, rozumiesz? Dopiero byś sobie napytał biedy! Musisz coś wymyślić.

- Przecież wiesz, że poza reporterką nic innego nie potrafię.

- A prawo jazdy na kursach samochodowych Grętkiewicza zrobiłeś? Szofer - to dobrze płatna praca.

- Jaki tam ze mnie szofer? Nie licząc próbnych jazd, nie siedziałem za kółkiem.

- To nie ma znaczenia. Poduczysz się.

- A ty? Jako kto się zarejestrujesz?

- Jeszcze nie wiem.

Zastosowałem się do jego rady. Bez gruntownej znajomości języka nie mogłem marzyć o dziennikarce. Zresztą chyba nie czekali na mnie...

Przede mną w kolejce do urzędnika rejestrującego „bieżeńców” (tak nas nazywano, niby to samo co uciekinier, ale wymowa polityczna była inna), stał znajomy facet z Łodzi. Ku memu zdumieniu podał, że jego ojciec był chałupnikiem.

- Aleś pan wymyślił! - roześmiałem się, gdy przystanęliśmy na uboczu czekając na Stefana. - Pański ojciec chałupnikiem, dobre sobie!

- A co, może nie? Miał w Łodzi dwie chałupy na Zgierskiej!

Stefan zdeklarował się jako kelner. To już było ponad moje siły.

- Czy wyście wszyscy powariowali?!

- Za dużo mówisz. Dobrze, żeś mnie posłuchał. Będzie jeszcze z ciebie Paganini kierownicy.

Ano zobaczymy. Na razie trzeba się jakoś zagospodarować, przecież z Łodzi prawie niczego nie zabrałem, a tu zima na karku.

Dworman, którego mi teść polecił, powitał mnie chłodno-grzecznie. Tak, tak, los uciekinierów jest przykry, szczerze współczuję, dobrze że pan ma dach nad głową, proszę przyjąć ten kupon materiału, wyjdzie z tego ładne ubranie...

Szlechtera znalazłem bez trudu. Z plakatu w oknie wystawowym dowiedziałem się, że występuje w kinie „Marysieńka” na placu Smółki. Był kierownikiem i duszą niewielkiego

zespołu artystycznego, ich popisy odbywały się przed seansami filmowymi. Na deskach „Marysieńki” śpiewał balladę żydowską, do której napisał polskie słowa:

Kiedy rabi Eli Meli  
Wypił wina pierwszy kielich,  
Wypił wina pierwszy kielich Eli Meli,  
To skrzypczki mu zagrały, A  
basetle wtórowały...

- Walizka Lutka jest u moich rodziców - powiedział. - Mój ojciec prowadzi restauracyjkę, proszę się tam zgłosić. Zapraszam też serdecznie na każdą premierę!

Wyjaśniła się sprawa dobrego humoru Stefana. Dogadał się z poznanymi u „George’a” krakusami: postanowili otworzyć udziałową restaurację. Więc dlatego w rubryce „zawód” przewidująco podał „kelner”!

- Już mamy lokal na Halickiej. I tak nazwiemy naszą knajpę.

- A co ze mną? - zmarkotniałem.

- Do udziału w restauracji potrzebna jest duża gotówka, a ty jesteś gołodupiec. Zobaczmy, jak z tą szoferką nic nie wyjdzie, może znajdzie się jakaś robota u nas.

Kuzyn po kilku dniach wyprowadził się od Melmanów. Trafiła mu się okazja: za małe pieniądze odkupił dwupokojowe mieszkanie. Ech, ci kelnerzy zawsze mieli łeb na karku!

U Melmanów czułem się bardzo dobrze. Krępowało mnie tylko, że nie chcą brać komornego, mało tego - podkarmiali mnie regularnie, a gdy kiedyś przyniosłem coś z miasta, pani Sonia zbeształa mnie.

- Zrewanżuje się pan w Łodzi. Chętnie państwa odwiedzimy!

Zaprzyjaźniłem się z Marylką. Zbliżyła nas pamięć o Julku i pianino. Wygrywałem jej smętne tanga, nuciłem słowa piosenek. Najchętniej słuchała „Notturmo”:

Choć nas rozdziela świat,  
W każdą noc złą i chmurną  
Słyszę tango „Notturmo”,  
Tango sprzed tylu lat.  
Ty wciąż je dla mnie grasz,  
Każdej nocy je słyszę,  
Widzę białe klawisze,  
Widzę bladą twą twarz.  
Gdybym cię ujrzeć mógł,  
Życie dać byłbym gotów,



Ale nie ma powrotu,  
Dla nas nie ma już dróg.  
Ten jeden został ślad,  
W każdą noc złą i chmurną  
Smutne tango „Notturmo”  
Za oknami gra wiatr!...

Ilekcio kładłem dłonie na klawiaturze, stawało mi przed oczyma nasze mieszkanie przy ul. Zielonej 48, na trzecim piętrze z frontu. Tam też było pianino, nie żaden Schröder, ale zagraniczne, krzyżowe. To na nim dobierałem sobie szlagiery. Pierwszy dopadł mnie blady Niko.

Miałem wtedy dziesięć, może jedenaście lat. Imię bohatera tej piosenki, śpiewanej w domach i na podwórzach, wymawiałem jak moi rówieśnicy: „Bladyniko” i odmieniałem: „Bladynika”, „Bladynikiem”, „Bladynikowi”.

Cale me szczęście i cały dla mnie świat Blady Niko, blady Niko, On był pierwszy, co posiadał miłości mojej kwiat, Blady Niko, blady Niko...

Front kamienicy, poza dwoma mieszkaniami, zajmowała moja szeroko rozgałęziona rodzina. Pianina mieli wszyscy. Instrument i czarne karkasy pani domu świadczyły o dobrym tonie, więc nawet w średnio zamożnych domach mieszczańsko-kupieckich przestrzegano tej tradycji.

Ja, niby współczesny nomada, wędrowałem od mieszkania do mieszkania, popisując się recitalami. Na gościnne występy zachodziłem i do „obcych” - na parter do Kustinów (same córki, wszystkie ogniste brunetki! oraz na pierwsze piętro, vis a vis mojej babki, gdzie mieszkała rodzina Kalmanowiczów, dla odmiany z samymi synami.

Nie wywierały mi z głowy dawne szlagiery. O kobiecie-panterze (co w złotej klatce lśni), o Dulcynei, Mary Lou, Carmencie, najcudowniejszej Cygance... Gdy podrosłem, nasze mieszkanie rozbrzmiewało innymi melodiami. Nucilem i przegrywałem na wysłużonym instrumencie piosenki z prawdziwego zdarzenia, piękne, poetyckie, pióra takich mistrzów, jak Tuwim, Hemar, Szlengel, Szlechter, Jurandot, Brzechwa, Starski, z muzyką naszych czołowych kompozytorów - Petersburskiego, Goldów, Katuszka, Karasińskiego...

Marylka opowiedziała mi pyszną historyjkę.

Oficer stacjonującej w mieście jednostki dostał przydział na pokój w mieszkaniu jakichś nowobogackich. Stał tam fortepian. Oficer, Kałmuk czy Kazach, z nabożeństwem spoglądał na instrument. Pan domu, w gruncie rzeczy zadowolony, że będzie miał u siebie

wojskowego, co dawało nadzieję na mięsne konserwy, dobre papierosy, kawę, chciał zaimponować przybyszowi, a przy okazji upokorzyć go.

- Eto, towariszcz, znajetie, fortepian...

- For... te... pian...

- Da. O, tutaj bam, bam! - gospodarz uderzył w klawisze po lewej stronie - a tutaj ti, ti! - przejechał palcem po klawiszach z prawej.

- Bam, bam... ti, ti... - wyszeptał skośnooki oficer, pogłaskał klawiaturę, usiadł i... zagrał „Etiudę rewolucyjną” Chopina.

W bazie transportowej powitano mnie z radością. Ależ, oczywiście, wprowadzie raczej są nam potrzebni mechanicy, ale i dla kierowcy znajdzie się miejsce, tylko musicie, towarzyszu, poczekać z dwa tygodnie, bo nasz zis jest w remoncie. Prawo jazdy macie?

- Niestety, zostało w Łodzi...

- To nic. Zrobimy próbną jazdę. W każdym razie od jutra jesteście naszym pracownikiem. Dostaniecie przydziałowe kartki, no i awansem trochę gotówki.

Czekać, to czekać. Tymczasem mój kuzynek krzątał się już w białym kitlu po „Halickiej”, krążąc jak meteor między salą jadalną a kuchnią.

- Befszytk po tatarsku raz! Zrazy po nelsońsku z czarną kaszą, dwa piwa!

Szybko się przekwalifikował. Przysięgłbym, że całe życie nic innego nie robił.

A moja próbna jazda odremontowaną półtoratonówką wypadła nieszczęśliwie. Nie dość, że wjechałem na ulicę jednokierunkową z przeciwnej strony, to jeszcze ze zdenerwowania zderzyłem się czołowo z kioskiem na rogu ulicy.

- Nie martw się - pocieszył mnie Stefan. - Rozmawiałem z Bochenkami i innymi współdziałowcami. Zatrudnimy cię jako pikolaka. Żarcie bezpłatne, stała pensja, no i coś ci tam zawsze kapnie z napiwków.

Mój nowy zawód miał niewątpliwe walory: Do „Halickiej” przylegał sklep galanteryjno-odzieżowy. Trafiały tam atrakcyjne towary.

Tasiemcowe kolejki nie odstraszały mnie. Stawiałem na tacy kilka szklanek herbaty i w białym kitlu szorowałem do tego przybytku, aby opuścić go z udanymi zakupami. A gdy zaspokoilem swe potrzeby, moi szefowie, panowie kelnerzy-udziałowcy, wydawali mi osobiste polecenia.

Pani Sonia zakomunikowała mi nowinę: biuro zakwaterowania przydzieliło pokój w ich mieszkaniu wojskowemu. Chociaż zapewniała, że jej i mężowi jeden pokój wystarczy, zdecydowałem rozejrzeć się za jakimś locum na mieście. Nieocenioną przysługę oddało mi nowo objęte stanowisko...

W zastępstwie kelnera, który gdzieś się zawieruszył, inkasowałem należność od jednego ze stałych bywalców.

- No to do widzenia! - podał mi rękę. - Chyba nieprędko się zobaczymy. Życzę szybkiego awansu!

Pan wyjeżdża? - teraz dopiero wzrok mój padł na stojącą obok walizkę.

- Tak, przenoszę się do Drohobycza.

- A... gdzie pan mieszkał?

- Na Małeckiego pod piątym, u pani Rippel.

- Czy ten pokój jest wolny?

- Tak, nikt się jeszcze nie zgłosił.

Zwolniłem się z pracy, pobiegłem pod wskazany adres i dogadałem się z sympatyczną staruszką. Pani Rippel, wdowa, miała dwie córki. Starsza, zamężna, mieszkała oddzielnie, młodsza, rzeźbiarka, razem z matką.

A zatem - bomba! Mam swój własny kąć. Była to olbrzymia, zagracona landara, pełna masywnych popiersi wykonanych przez młodszą latorośl rodu. Z sentymentem wspominam te dzieła sztuki. Okazały się bardzo przydatne w zimowe noce, gdy chłód wdzierał się do nieopalonego pokoju. Okrywając się kocem i paltem, układałem rzeźby na posłaniu, chroniąc grzeszne ciało przed przypadkowym obnażeniem. U mych nóg spoczywał pełen pokory Ludwig van Beethoven, boków strzegli Mozart i Moniuszko. Łoże szerokie, małżeńskie, rzeźby ciężkie, nie zdarzyło się, żeby któraś sturlała się na podłogę.

Moje kontakty z Melmanami nie osłabły. Wolny po pracy czas (pracowałem w „Halickiej” od dwunastej do ósmej wieczór) spędzałem przeważnie w ich towarzystwie.

Do Marylki przyjechał adorator z Warszawy, inżynier. Zamieszkał w drugim końcu miasta, rzadko się spotykali. A ja nadal wygrywałem jej szlagiery. Pianino przeniesiono do jadalni po wprowadzeniu się nowego sublokatora.

Był to całkiem sympatyczny komandir z Kijowa, znał trochę polski, sypał anegdotami i doraźnie wspomagał spiżarnię gospodarzy.

Miał tylko lekkiego hopsa na punkcie kobiet.

- Adam, najti mnie kakaju nibud' baryszniu. Ja priamo umiraju! (Znajdź mi jakąś dziewczynę. Ja po prostu umieram!) - zamęczał mnie.

- Wpadłem na szatański pomysł. Zegarynka! Na początku lat trzydziestych w Łodzi i w innych miastach wojewódzkich zainstalowano takie urządzenie. Panna Haeggberg, córka dyrektora szwajcarskiego koncernu telefonicznego, nauczyła się polskiego i nagrany na

płyte wdzięcznym głosem podawała dokładny czas abonentom. To ja cię, Casanowo dla ubogich, zaraz z nią połączę i róbcie sobie, co chcecie!

- Znam jedną, nawet bardzo ładna, zgrabna, cyc-wot! - wyciągnąłem ręce o pół metra do przodu, - a oczy komandira zabłyśły niezdrowym blaskiem. - Ale ona sumaszedszaja, wariatka...

- Imiennie?

- Jak ktoś do niej dzwoni, żeby umówić się na randkę, w kółko bez przerwy powtarza, która godzina...

- Nic się nie bój, Adam. Ze mną będzie rozmawiać, jak się należy. No dzwoń!

Wykręciłem numer zegarynki.

- Dzień dobry, pani Kaziu! To ja. Jakiś grażdżanin chce z panią po-rozmawiać...

- Skażi, czto iż Kijewa - odpowiedział dygocący ze zniecierpliwienia komandir.

- On przyjechał z Kijowa, mówi po polsku... Tak, zaraz go poproszę.

Wyrwał mi z rąk słuchawkę, dmuchnął w sitko mikrofonu.

-Aħo! Zdrastwujtie, pani Kazimira. Oczen' prijatno poznamomitsa. Co? Osiemnasta pięć? Bardzo dzienkuje. Spasibo. Co? Osiemnasta pięć? Wy uże skazali, ja chocz uśłowitsa s wami, randka, tancy. No ile razy można mówić która godzina?!

Jeszcze przez kilka chwil próbował porozumieć się z „panną Kazia”, wreszcie wściekły, zawiedziony, cisnął słuchawkę na widelki.

- Dura! Prawdziwa głupia! Tfu!

Nazajutrz była heca. Ktoś mu powiedział, z kim „rozmawiał”. Obrugał mnie, ile wlezie, ale po chwili roześmiał się.

- Mołodiec! Nabrałeś mnie, no i na zdrowie. A jakiejś prawdziwej panny Kazi nie znasz?

Melmanów odwiedził Wacek Polecki, jeden z pierwszych pracowników „Republiki”. Zaczynał razem z moim bratem i Passermanem w 1923 roku. Ożenił się we Lwowie z młodą bieżenką, zaprosił nas na lampkę wina do swego sublokatorskiego pokoju.

Przyjemnie upływał nam czas na pogaduszkach. A mnie po dwóch kieliszkach coś naszło. Siedziałem tuż obok Marylki. Nogą poszukałem pod stołem jej nogi. Rozmawiała z kimś, żaden muskuł nie drgnął na jej twarzy. Powtórzyłem mój manewr oskrzydający, krew napłynęła mi do twarzy, spojrzałem na zegarek.

- Pani Marylko, dochodzi ósma, spóźnimy się do „Marysieńki”!

Kąciki jej ust rozchyliły się w lekkim uśmiechu.

- Racja, pora iść.

Na schodach objąłem ją, drżąc z podniecenia. Nie broniła się, odwzajemniała pocałunki, a gdy moje pieszczoty stawały się coraz śmielsze, powstrzymała mnie.

- Nie tutaj... Jeszcze nas ktoś nakryje... Chodźmy do ciebie...

No i stało się. Leżąc koło niej uspokojony, odprężony, zapytałem:

- Nie masz wyrzutów sumienia?

- Dlaczego?

- A jeśli twój wielbiciel się zorientuje?

- Władek? To fajtłapa. Znamy się już od roku i wiesz, tylko raz mnie pocałował. W dodatku musiałam go sprowokować.

Zapewniła, że będzie mnie odwiedzać.

- Nawet codziennie. Wytrzymasz kondycyjnie?

Dotrzymała słowa. Przychodziła do mnie co wieczór. Przynosiła za każdym razem odpady masy czekoladowej, co znakomicie wzmacniało tak bardzo potrzebną mi sprawność fizyczną.

Schadzki odbywały się w ścisłej konspiracji. Wejście frontowe, prowadzące z korytarza wprost do mego pokoju, pani Rippel przeznaczyła dla mnie. Do niej chodziło się z drewnianego ganku, od kuchni.

Wystarczyło delikatne puk, puk - i już byłem przy drzwiach.

Aż raz... W najmniej odpowiednim momencie rozległ się dzwonek przy frontowych drzwiach. Marylka zaszyła się pod koc. Na wszelki wypadek przywaliłem ją jeszcze poduchą i poszedłem otworzyć. Star-sza pani w czerni przyszła odwiedzić gospodynię po dłuższej rozłące.

Wpuściłem ją do mego pokoju - cóż mogłem zrobić - i zaanonsowałem gościa. Staruszki padły sobie w objęcia. Nie ruszając się z miejsca poczęły biadać nad moim losem.

- Taki młody i sam jak ten kołek w płocie, w obcym mieście...

- To pan z Łodzi? Mój Boże, brat mojego męża nieboszczyka mieszkał tam przed pierwszą wojną. Na Mikołajewskiej, teraz chyba inaczej się nazywa. Na Główniej miał sklep z damską konfekcją...

Zerkałem co chwila na łóżko. Poducha nie poruszała się. No to koniec, zadusiłem dziewczynę na amen!

Gdy staruszki uzwały się już nade mną i opuściły pokój, pospieszyłem na ratunek. Po intensywnej reanimacji Marylka przyszła do siebie...

- Zostań dziś dłużej w „Halickiej” - powiedział Stefan. - Przyjdzie nadziany gość, możesz liczyć na suty napiwek.

Gość wyglądał niepozornie, drobny, w ciemnej marynarce, sztuczkowych spodniach. Miał przyciętą w szpic bródkę. Kelnerzy skakali koło niego jak opętani, tytułując go „panie Wacku”. Zamawiał wyszukane potrawy, najdroższe trunki. Regulując rachunek wsunął każdemu z obsługujących go po dziesięć dolarów. Na mnie nawet nie spojrzał.

- Kto to jest? - dopytywałem się. Zbyto mnie milczeniem.

Po paru dniach „pan Wacek” znowu się zjawił. Ledwo go poznałem: nosił okulary, po wypielęgnowanej bródce nie było śladu. Kilka minut po nim do lokalu weszło dwóch facetów. Pilnie rozglądali się dokoła. Jeden z braci Bochenków odciągnął mnie na stronę.

- Niech pan przenocuje pana Wacka. Nie zostanie panu dłużny. Czeka za rogiem...

Pan Wacek był nagrany, zaraz usnął. Zerwał się skoro świt, położył na stole - nie, nie, żadne dolary, kilka banknotów dziesięciorublowych, uklonił się w progu i ulotnił jak kamfora.

Miałem jeszcze sporo czasu, odwróciłem się na drugi bok.

- Jacyś panowie do pana - obudziła mnie panna Rippel.

- Posledujtie s nami - przybyły mignął mi znaczkami.

Ubrałem się i wyszedłem z gośćmi. Jeden trzymał się mojej lewej, drugi prawej strony. Przed domem stała emka z zapuszczonym silnikiem. Za szybą dojrzałem pana Wacka. Siedział z tyłu ze spuszczoną głową, w towarzystwie umundurowanego milicjanta.

- Znacie tego obywatela? - zapytał cywil, uchylając drzwiczki.

Już na schodach domyśliłem się, czemu zawdzięczam tę poranną wizytę.

- Znam, z widzenia. Przychodził do „Halickiej”, gdzie pracuję. Prosił, żeby go przenocował, spóźnił się na pociąg...

- Zawieźli nas do siedziby NKGB. (Nie wtajemniczeni mylą tę instytucję z NKWD, a to nie to samo. NKWD to Narodny Komisariat Wnutriennych Dieł, coś jak nasze Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, a NKGB - Narodny Komissariat Gosudarstwiennoj Bezopastnosti, odpowiednik Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego).

- Co was łączy z tym obywatelem? - zapytał przy konfrontacji przesłuchujący mnie oficer.

Powiedziałem, jak było, o Bochenku nie wspomniałem. Po co rozszerzać krąg podejrzanych?

- Ten człowiek ma sporo na sumieniu - powiedział oficer, gdy pana Wacka wyprowadzono. - Zajmiemy się nim szczegółowo, a wy możecie wrócić do pracy.

Zapytał mnie jeszcze, skąd pochodzę, jak się dostałem do Lwowa, jakie były nastroje w Polsce po wkroczeniu Niemców. Powiedziałem, zgodnie z prawdą, że już nazajutrz po zajęciu miasta na ulice wyjechały tramwaje z wymalowanymi na dachu tabliczkami: „Stalin

ist ein grosses Schwein, er will in Polen rein". (Stalin to wielka świnia, chce wejść do Polski). Pokiwał głową, jakby nie dając wiary moim słowom.

Myślę jednak, że mieli pełne rozeznanie w oczekiwaniach Niemców.

W „Halickiej” powitano mnie jak bohatera. Dopiero teraz zdradzono mi sekret pana Wacka. Przerzucał ludzi za wysoką opłatą do Wilna, skąd można było przedostać się na Zachód. Podobno podczas zasadzki postrzelił pogranicznika. Dla zmylenia śladów, czując że jest obserwowany, włożył poprzedniego wieczora okulary, zgolił bródkę, jednak nic mu to nie pomogło.

Stefan miał chyba wyrzuty sumienia, że mnie nie uprzedził o grożącym niebezpieczeństwie. Ostatnio żył w gorączkowym oczekiwaniu: wysłał jakiegoś łodzianina do Łodzi po swą sympatię, córkę owego pończosznika. Po paru dniach dziewczyna cała i zdrowa zjawiała się we Lwowie. Kuzyn szczerze wynagrodził umyślnego i zaprosił mnie na swój ślub z Reginką. Teraz zrozumiałem, czemu tak się wykosztował na to mieszkanie.

Ale tak całkiem to chyba nie zapomniał swej byłej sympatii...

Przechodziliśmy ulicą Saszkewicza. Koło kina „Stylowy” Stefan stanął nagle jak wryty, chwycił mnie za rękę. Jego wzrok spoczął na pożółkłym plakacie w witrynie sklepowej. „Zapraszamy na występy gwiazdorów polskiej estrady...” Bodo, Fogg, Bocheński, Bogucki...

Wera Gran!

Zespół popisywał się na deskach „Stylowego” we wrześniu, kilka tygodni przed naszym przybyciem do Lwowa. Aranżerem był Feliks Konarski (Refren), autor wielu przebojów, m.in. „Pięciu chłopców z Albatrosa”, co to przybyli na manewry do Sap Marka...

... ten pierwszy, co był chudy, I ten drugi, co był rudy, I ten trzeci, co tak wódę ciągle chlał, I ten czwarty, ten obdarty, Co miał w górę nos zadarty, Ten, co w kości o swe życie z diabłem grał...

I ten piąty, ten najmłodszy, Co w miłości był najśłodszy, Co miał oczy, jak diamenty czarne dwa...

Po wybuchu wojny artyści rozjechali się. Konarski stworzył nowy zespół, przemierzył z nim znaczną część Związku Radzieckiego. Później, jako szef artystyczny Frontowej Czołówki Teatralnej II Korpusu, przebył szlak bojowy, a w maju 1944 napisał „Czerwone maki”. Czerwone maki na Monte Cassino... Jeszcze dziś, mimo upływu pół wieku, piosenka ta wyciska łzy z oczu słuchaczy.

Jakie były dalsze dzieje atrakcyjnej Wery, dokąd los ją zagnał - nie wiem. Stefan długo stał przed plakatem, widać ożyły w nim wspomnienia, ogródek „Europejskiej” przy ul. Piotrkowskiej, gdzie poznał śliczną dziewczynę...

A Marylka dotrzymała słowa. Odwiedzała mnie regularnie. Przy którymś pożegnaniu, jakby od niechcenia, rzuciła: - Wiesz, Władek mi się oświadczył. Chce się ze mną żenić.

Poczułem drzazgę w sercu. Nie mogłem jej odradzać, byłem przecież żonaty, zresztą, jaką przyszłość miałyby ze mną?

- Między nami nic się nie zmieni. Będę nadal przychodziła...

Ślub odbył się w niedzielę. Minął poniedziałek, wtorek, środa...

Na próżno nadśluchiwałem zaszyfrowanego pukania do drzwi... nic, cisza.

Poszedłem do Melmanów. Młodożeńcy zamieszkali w pokoju Marylki. Leżała w łóżku rozpromieniona, ślicznie wyglądała w cienkiej, jedwabnej kombinacji. Gdy zostaliśmy sami, chwyciłem ją za rękę.

- Co się stało? Dlaczego nie przyszłaś? Czekałem...

- Słuchaj, on jest taki wspaniały... Taki męski...

Spotkało mnie jeszcze jedno niepowodzenie: „Halicką” upaństwowiono. Dotychczasowych współdziałowców zatrzymano w charakterze kelnerów, natomiast stanowisko pikolaka uznano za przerost burżuazyjny, etat ten uległ likwidacji.

Zostałem na lodzie. Rozpytywałem znajomych, czy nie wiedzą o jakiejś pracy. Obiecywali zasięgnąć języka, na razie dni mijały, gotówka topniała, przybyło mi sporo wolnego czasu i jeszcze więcej kłopotów.

#### CO MNIE POGRAŻYŁO?

Moja samotność nie trwała długo. Przerwała ją szczuplutka, o ptasiej twarzyczce, Sabinka, rodem z Nowego Sącza. Pracowała w „Halickiej” jako pomywaczka. Jej redukcja etatów nie objęła.

Ona też mnie podkarmiła. Miejsce dawnej pracy odwiedzałem jako gość. Sabinka zaprawiała mi herbatę mlekiem, żeby nie było widać w szklance grubego pokładu cukru, a gdy opuszczałem lokal, wsuwała do kieszeni owinięty w gazetę schaboszczak lub jakiś kotlet.

Z nią nie poszło tak gładko, jak z jej poprzedniczką. Nie chciała wejść na górę, wreszcie ją jakoś namówiłem. Skutecznie odpierała moje ataki, ustąpiła dopiero po kawaleryjskiej szarży. Też miała adoratora, na szczęście został w jej rodzinnym mieście.

Ale gdzie zarobić?

Sąsiadką pani Rippel była żona rabina, rudowłosa, postawna. Miała synka Szlamka, buzia jak z obrazka, piękne grajcarci pejsów. Rabinowa szukała dla niego nauczyciela języka



polskiego. Wybór padł na mnie. Chłopak był pojętny, szybko nauczył się poprawnie wysławiać, czytać, pisać, tylko nie odznaczał się taką zdolnością logicznego rozumowania jak ów słuchacz chederu, który zaskoczył swego melameda pytaniem:

- Jak to jest rebe? W Talmudzie stoi napisane: oko za oko, ząb za ząb, to dlaczego kurwa za pieniądze?

Belferka nie pokrywała bieżących wydatków. Za radą pani Soni (rzadziej już odwiedzałem Melmanów, wybierałem porę, kiedy Marylka była w pracy) zgłosiłem się do jakiejś świetlicy i zaoferowałem swe usługi w charakterze tapera. Bębniąc na pianinie tanga, fokstroty i inne slow-foxy, wprawiałem w ruch złąknione tańca pary. Po paru tygodniach obcięto świetlicy budżet i trzeba się było rozejrzeć za czymś innym.

Przypomniałem sobie, że we Lwowie przebywa Stanisław Zawadzki, działacz komunistyczny, brat Władysława Morana, partnera mojej bratowej - występował ongiś w duecie tanecznym. Pan Stanisław, po wojnie nasz minister, pracował w Tramwajach. Skierował mnie na kurs motorniczych. Kilka dni spędziłem za pulpitem wagonu, a gdy miałem wyruszyć samodzielnie na miasto („czwórka”, Wały Hetmańskie), obleciał mnie strach: przypomniałem sobie półtoratonówkę, rozbity kiosk i... zrejterowałem z placu boju.

Trochę podreperowałem budżet rzeczami bratowej z pozostawionej u Szlechterów walizki. Na „tołkuczce” posprzedawałem kombinacje z szermezu, biustonosze, spódniczki. Moją następną wizytę na bazarze przerwał niezwykle widok: jakaś grażdanka defilowała w kupionej u mnie halce. Myślała, że to wyjściowa sukienka.

Imałem się jeszcze innych dorywczych zajęć. Nigdzie nie potrafiłem zagrześć miejsca. Znajomi, pozostający jak ja bez pracy, urządzili się sprytnie. Wykupowali wódkę w sklepie dawnej firmy Baczewskie-go i z odpowiednim profitem odstępowali przygodnym klientom. Nie mogłem się na to zdecydować, zresztą proceder wymagał zrywania się z łóżka o świcie. Jedno mnie tylko zastanawia: jak dzisiejsi stacze i handlarze wpadli na identyczny pomysł? Przecież nie czytali tego pamiętnika...

Szlifując bruk często odwiedzałem słynny pasaż Mikolascha, podglądałem życie na gorąco. Może te obserwacje przydadzą się kiedyś?

Lwowscy batiarzy przypuścili szturm na kieszenie krasnoarmiejców, usiłując im wepchnąć, co się da. Zegarki, aparaty fotograficzne, koszule. Jakiś cwaniak wykupił w składzie aptecznym ebonitowe kraniki do lewatywy i z pełnym koszem rozlokował się w pasażu, obok kina „Uciecha”.

- A czto eto takoje? - zapytał zaintrygowany niezwykłym towarem żołnierz.

Batiar, węsząc klienta, rozkokosił się.

- Pokupajcie, towariszcz, kupujcie! Charoszaja sztuczka. Wot! - wetknął sobie kranik lewatywy do ust i przekręcił kurek. - Chociesz, kurisz! I wot! - zakręcił z powrotem. - Chociesz, nie kurisz!

Natomiast historyjki o tym, jakoby kupowano zegarki bez werku z wpuszczonymi do koperty żywymi chrabąszczami, oferowano puste koperty, a wspólnik sprzedawcy stawał za reflektantem i uderzając językiem o podniebienie imitował tykanie czasomierza, zaś potencjalny nabywca mrucał, przykładając kopertę do ucha: „Charoszyje czasy. no niemnożko gromkije” (Dobry zegarek, ale trochę za głośno chodzi) - należy włożyć między bajki.

W pasażu pojawił się stary Ukrainiec z dwiema kobiałkami jaj. Miał na sobie wpuszczone do butów spodnie i długą, ozdobioną haftem, wykładaną rubaszkę. Dwaj kręcący się już dłuższą chwilę bez celu młodzi ludzie poszeptali ze sobą i podeszli do niego.

- Sprzedajecie jaja, dziadku?

- Prodadu.

- A ile tego jest? Weźmiemy wszystkie hurtem.

Uzgodniono cenę, tylko jak policzyć towar? Reflektanci nie mieli torby, ani koszyka, na ziemię jaj nie można kłaść, jeszcze się potłuką.

- Wyciągnijcie przed siebie poły koszuli, będziemy tu odkładać policzone sztuki - zaproponowali młodzieńcy.

No i zaczęło się liczenie. Ukrainiec, trzymając kurczowo zadartą rubachę, pilnie baczył, żeby kupujący go nie oszukali. A gdy ostatnia para jaj spoczęła na koszuli, batiar błyskawicznie schylił się i spuścił dziadkowi spodnie.

- Pany... pany... szczo wy robyte? - szczękał zębami unieruchomiony Ukrainiec. Nie puści przecież koszuli, w której spoczywa jego skarb, ponad dwa mendle jaj!,

Gawiedź rechotała ze śmiechu.

- Pany... pomyłujcie...

Jego błagania nie robiły żadnego wrażenia na prześladowcach.

- Żeby ci nie było smutno, dziadku, zaśpiewamy coś! - i wzięwszy się pod rękę zaintonowali na dwa głosy:

Usil tato na łopatu, Mama na kociubu, Tato hajta, mama wišta, Jichaty do ślubu.

Prijechaty na wesile, Ne chody ty pizski, Tato mami dał kołbasu, Mama chce kiszki!

Wędrując po mieście spotkałem Władka, szwagra redaktora Polaka. Gdy powstawały wydania mutacyjne „Expressu”, redaktor Ołtaszewski powierzył przedstawicielstwo

popołudniówki na Kraków swemu szwagrowi Broniewskiemu. Rodzina Polaka też się upomniała o swoje prawa. Ale pocziwy Pój nie był tak obrotny jak Broniewski, musiał się zadowolić nadzorem przy rozdziale farby drukarskiej oraz przy przyjmowaniu bel papieru.

Władek tułał się po Lwowie kilka tygodni, nocując kątem gdzie popadło. Porozmawiałem z panią Rippel, zgodziła się przyjąć pod swój dach nowego bieżenca. Zamieszkał w moim pokoju.

W nocy podejrzany zapach uderzył mi w nozdrza. Ki diabeł?

- Władek - potrząsnąłem śpiącego za ramię. - Co się stało?

- Miałem przykrą przygodę - przetał oczy. - Mróz na dworze, włożyłem dwie pary kalesonów. Położyłem się w nich spać, w nocy zachciało mi się i zapomniałem o tej drugiej parze gaci. Przepraszam...

Przepraszam, to przepraszam.

Władek niedługo popasał pod wspólnym dachem. Przeprowadził się na prowincję, dostał tam dobrą pracę. Razem ze mną zamieszkali dwaj moi kuzyni - Jerzy z osiemnastoletnim synem Mietkiem, brat i bratanek Stefana. Uciekli po nas z Łodzi, przebyli tę samą trasę, zasiedzieli się w Białymstoku, dopiero gdy dowiedzieli się o miejscu pobytu Stefana, przywędrowali do Lwowa.

Gdybym nie wyraził zgody na to dosiedlenie, inaczej potoczyłyby się moje dzieje, zostałbym we Lwowie i... z całą pewnością nie moglibyście czytać tego pamiętnika...

Jerzy, najstarszy z pięciorga rodzeństwa, miał niepospolite zdolności matematyczne. Podsuwał znajomym kartkę papieru, prosił o napisanie kilkunastu kilkucyfrowych liczb, jedna pod drugą, i w mgnieniu oka podawał sumę. Chętnie stawiano mu kawę za te popisy.

W Łodzi był jeszcze większy fenomen w tej dziedzinie, niejaki Finkelstein. Wspomniałem go w cyklu opowiadań „Historie dawnej Łodzi”, drukowanych w „Expressie” w latach pięćdziesiątych.

Finkelstein odznaczał się niespotykaną pamięcią wzrokową i nadzwyczajną zdolnością skupienia uwagi. W kilkanaście sekund obliczał kwadrat z ciągu wybranych przez audytorium cyfr, po czym powtarzał je w kolejnym porządku: pionowym, poziomym, wzdłuż przekątnej i w kierunku spiralnym. Znał na pamięć kilkaset dat, ponad sto logarytmów, tysiące iloczynów. Zastąpił kilkunastu urzędników przy skomplikowanych obliczeniach, wykonał w ciągu tygodnia pracę, na którą tamci musieliby poświęcić ponad trzy tygodnie. Przyrównywano go do takich sław, jak: Inaudi, Diamandi, Ferrol, dr Ruecke. Aż któregoś dnia gazety doniosły o astronomicznych malwersacjach naszego rodaka w Urzędzie Pożyczek. Finkelstein powędrował za kratki, do rozwikłania popełnionych nadużyć

zaangażowano cały sztab rachmistrzów o wysokich kwalifikacjach, którzy biedzili się szereg miesięcy.

Od samego początku miałem z Jerzym na pieńku. Nie podobał mu się mój romans z Sabinką, bał się, że zdemoralizuję mu syna, a przecież tak się sprytnie urządzałem, że ani razu nie nakryli nas in flagranti!

Tymczasem nastroje w mieście pogarszały się coraz bardziej. Mówiono o nadciągającym niebezpieczeństwie. Ulicami przeciągały oddziały żołnierzy. Śpiewali patriotyczną, jakże proroczą piosenkę:

Jeśli zawtra wojna, jeśli wrag napajdiot, Jeśli tiomnaja siła nagrianiet, Kak odin czelowiek, wieś' sowietskij naród Za swobodnuju rodinu wstaniet!

Na ziemi, w niebiesach i na morie, Nasz napiew i mogucz i surow, Jeśli zawtra wojna, jeśli zawtra w pochód, Bud' siewodnia k pochodu gotów!

Pojawiły się obwieszczenia: wszyscy bieżący mają się stawić tu i tu w celu ponownej rejestracji. Zadawano nam zasadnicze pytanie' - chcecie pozostać w Związku Radzieckim, czy wrócić do Polski?

Różnie ludzie odpowiadali. Jerzy i jego syn wyrazili chęć powrotu, tęsknili do rodziny. Ja inaczej oceniłem sytuację. Chociaż musiałem się zdeklasować i było mi ciężko, miałem świadomość właściwego wy-boru. Co mnie czekało u Niemców? O ich bestialstwach było głośno.

Nie ma o czym mówić, zostaję i basta!

Minęło kilka tygodni, nadeszła upalna wiosna 1940. Skończyłem dwadzieścia siedem lat, zdrowie mi dopisywało. Dziś z przerażeniem myślę, co by to było, gdybym się wtedy rozchorował!

Wieczory spędzaliśmy z Jerzym i Mietkiem w „Halickiej” lub w „Marysieńce”. Po kolejnej premierze wróciliśmy przed północą do domu. Ledwo przyłożyliśmy głowy do poduszek, rozległ się dzwonek przy drzwiach. Kogo diabli niosą? To na pewno nie Marylka. Zawsze pukała, zresztą chyba śpi w najlepsze u boku męża, w którym odkryła tak nieograniczone możliwości.

Żaden z nas nie ruszył się. Otworzyła zaspana córka gospodyni. Do pokoju weszło dwóch enkawudystów w towarzystwie milicjanta. Starszy rangą stanął przy łóżku Jerzego.

- Priedjawitie swoi dokumenty!

Kuzyn podał mu dowód osobisty.

- Sobirajties' s wieszczami! (Zabierajcie się z rzeczami!)

Jerzy spoglądał na przybyłych półprzytomnym wzrokiem. Ów starszy ranga potrząsnął za ramię drzemiącego Mietka.

- A wy kto?

- Syn...

- Toże sobirajties'!

Jerzy wszedł do gospodyni, wrócił z dwoma workami, do których przy pomocy Mietka począł upychać ich majdan.

Moje łóżko stało przy oknie. Z przyzwyczajenia leżałem z wtuloną pod kocem głową. Chyba nie wiedzieli, że jeszcze ktoś jest w pokoju.

Zrobiło mi się głupio. Nie można przecież być niemym świadkiem takich wydarzeń! Wychyliłem się spod koca.

- Co się stało, towarzysze? Dlaczego ich zabieracie?

Obrócili się w moją stronę.

- Nie wmieszajwajties'!

- Jak mam się nie wtrącać, kiedy zabieracie moich kuzynów!

Zamienili z sobą kilka słów. Ten starszy zapytał:

- A kak wasza familija?

Wymieniłem swe nazwisko.

- Togda sobirajties' wmiestie!

- Nie macie prawa. Pójdę gdzie należy i złożę skargę!

- Ładno, ładno, no poka sobirajties', poskoriejie!

Pani Rippel przyniosła trzeci worek. Klnąc na czym świat stoi, wy-ciągnąłem z szafy swoje rzeczy. Nie podejmowałem już prób dalszej konwersacji. Jaki jest powód ich wizyty? Nie poczuwałem się do nicze-go, Jerzy i Mietek też z pewnością byli czyści.

Po upływie kilku minut, żegnani pełnymi współczucia spojrzeniami mi pani Rippel i jej córki, z workami na plecach wyszliśmy na ulicę.

Przed domem stała ciężarówka, półtoratonowy zis. Przysięgłbym, że to ten, na którym próbowałem swych umiejętności szoferskich. Tyl-ko wewnątrz stały ławki, wtedy ich nie było. Obsiedli je sami mężczyźni, którzy podobnie jak my nie zamawiali żadnego transportu. Były jeszcze wolne miejsca, ale gdy zajechaliśmy pod dalsze dwa adresy, samochód wypełnił się i z kompletem pasażerów pomknął uśpionymi ulicami miasta.

Zis zatrzymał się przed budynkami dawnych koszar wojskowych przy ul. Piotra i Pawła. Sprawnie rozlokowano nas na dwupoziomowych pryczach. Pachniały świeżym

drewnem. Chyba je zbito tuż przed naszym przybyciem. Na podłodze jeszcze wały się wióry.

Pomieszczenia rozległych koszar roily się od narodu, ludzi wciąż przybywało, samochód za samochodem zajeżdżał na dziedziniec.

- Poka łożyties', odychajcie, zawtra w szest' utra połuczicie zawtrak (Na razie kładźcie się, odpoczywajcie, jutro o szóstej rano otrzymacie śniadanie) - obwieścił cywil z koszarowej służby.

Mimo późnej pory nikt nie myślał o śnie. Snuliśmy głośno różne domysły.

- Lwów to wojewódzkie miasto, nie każdy może się tu zameldować na stały pobyt. Co innego ci, co mieszkają od lat. Na pewno przewiozą nas do innego miasta...

- To nie to - pokręcił głową starszy mężczyzna, z wyglądu inteligent. - Według mnie to całkiem inna sprawa... Zarejestrował się pan na powrót do Polski? - zwrócił się do tamtego.

- Tak.

- Ja też. I wielu innych. Niech pan się przedstawi w ich sytuacji. To musiało wzbudzić podejrzenia. Jak to? Najpierw uciekacie do nas od Niemców, potem chcecie do nich wracać?

- Ja się zarejestrowałem na pozostanie! - przyłączyłem się do rozmowy i opowiedziałem o tym, co się wydarzyło w naszym pokoju.

- Niepotrzebnie pan się wtrącał, za dużo z nimi rozmawiał. Oni tego nie lubią...

- Może zabierają tylko tych, co nie pracują? - wyraził swą opinię kto inny. - Znacnie stalinowską zasadę: ktonierabotajet, totniekuszajet! (kto nie pracuje, ten nie je).

- Co pan wygaduje? - zamachał rękoma barczysty młodzian. - Pracowałem do ostatniego dnia, przy obrabiarkach. Na pierwszego maja dostałem premię jako stachanowiec!

W drzwiach stanął ten sam cywil.

- Prekratitie razgowory! Łožyties', uże pozdno. Zawtra budietie razgowariwat'! (Skończcie z tym gadaniem. Kładźcie się, już późno. Jutro porozmawiacie sobie!)

Rano każdy dostał po dziewięćset gramów czarnego, komiśnego chleba. Z przywiezionego na wózku kotła dymiła zupa. Niektórzy mieli manierki i łyżki, ci najpierw zostali obsłużeni, innym rozlano zupę do cynowych talerzy, było ich za mało, pożyczaliśmy sobie naczynia.

Wilgotny, nie dopieczony chleb nie smakował nam. Nietknięte pajdki wyrzucaliśmy przez okno na dziedziniec.

Po obiedzie odwiedził nas komendant, zaznajomił z przepisami porządkowymi. O naszym dalszym losie nie wspomniął ani słowem, a kiedy wychodził, zatrzymał się na chwilę w drzwiach.

- Wyrzucacie chleb, wasza sprawa. Ale pamiętajcie, przyjdzie dzień, gdy każdy kęs będzie dla was na wagę złota...

Jakże szybko miała się spełnić ta przepowiednia!

Co jakiś czas na dziedzińcu zajeżdżały ruchome larki, bufety na kółkach. Można było kupić nadziewane grochem, trójkątne pierożki, papierosy, słodycze. Tymi pierożkami uzupełniałem przydziałowe menu, bo i ja, wstyd się przyznać, należałem do malkontentów, co tak niefrasobliwie rozstawali się z chlebem. To nie była demonstracja po-lityczna, po prostu ten chleb nam nie smakował. Byliśmy jeszcze syci, przyzwyczajeni do białego pieczywa.

Jak długo będą nas tu trzymać?

Niewola ciążyła bardzo. Fala czerwcowych upałów nawiedziła miasto. Mimo otwartych okien w pomieszczeniu panował zaduch.

Spaliśmy w tym, co kto miał na sobie. Może ktoś tam przeprał skarpetki pod zimną wodą, obmył się pod kranem, ale nie załatwiało to sprawy.

W co się bawić, w co się bawić? - zaśpiewalibyśmy, gdyby Wojciech Młynarski o te czterdzieści lat wcześniej napisał tę piosenkę. Ktoś zaproponował karty. Znalazło się kilka talii, kilka zespołów zasiadło do pokera. Karta waliła mi niesłychanie. Kareta, strit, full, poker! Zgarniałem banknoty do kieszeni, a gdy były pełne, za koszulę. Miałem już dość, ale jak tu odejść od stołu z taką wygraną? Blefowałem nieprzytomnie, co miało taki skutek, że doszczętnie ogołociłem partnerów z gotówki. Jeden, chcąc się odegrać, postawił parę butów „Bata” z kwadratowymi noskami. I zmieniły one właściciela.

Nurtowała mnie zagadka: gdzie się podziali Jerzy i Mietek? Przecież przyjechaliśmy tym samym samochodem! Obiegnęłam kilka razy koszary - na próżno.

Jedni z pokorą i rezygnacją znosili swą dolę, inni się buntowali.

- Nie mam zamiaru kiblować tu dłużej! - oświadczył młodzik z dolnej pryczy. - Przy pierwszej okazji zwiewam!

Plan ucieczki, przyznać trzeba, obmyślił znakomicie, w najdrobniejszych szczegółach. Śmiało mógłby go wykorzystać scenarzysta sensacyjnego filmu.

Tam, gdzie jest taka masa ludzi, gromadzą się sterty śmieci, odpadki jedzenia, szmaty. Do obowiązku dniwalnych - dziennych dyżurnych, wybieranych spośród nas na zmianę, należało utrzymywanie porządku i czystości: mycie podłóg, sprzątanie oraz zbiórka śmieci, które wynosiliśmy pod strażą, w drewnianych pojemnikach poza teren koszar. Pomysłowy młodzian umówił się z kolegami: położę się na spodzie, przywalicie mnie, czym się da, i wysypiecie na śmietniku. Dalej sam sobie poradzę...

Strażnicy wyprowadzili chłopców uginających się pod ciężarem nosilek. Ci pozbyli się balastu i na wszelki wypadek przysypali swego kompaniona dodatkową warstwą odpadków z sąsiedniej sterty. Udało się!

Wiadomość o ucieczce zelektryzowała koszary. Z ust do ust podawano sobie szczegóły brawurowego czynu, zazdrozczono szczęśliwcowi, który w tej chwili delectuje się już wolnością i nie musi patrzeć na ten wstrętny, wilgotny chleb!

Nie pamiętam, czy naczalstwo doliczyło się braku jednego pensjonariusza. Wtedy nie przeprowadzano jeszcze ustawicznych kontroli, kiedy to strażnik co jakiś czas chodzi od celi do celi ze spisem aresztantów i po kolei wywołuje nazwiska.

A na drugi dzień na wartowni zjawił się nasz bohater i ledwo zapiąć oświadczył:

- Nie mam już sił... Wracam z własnej woli. Odprowadźcie mnie do celi...

Opowiedział nam o swych przeżyciach. Nikt go nie zauważył, gdy wygrzebywał się spod śmieci. Tramwajem pojechał do mieszkania, skąd go zabrano. Na jego widok gospodyni zatrzasnęła drzwi, nie pozwoliła mu nawet umyć się i zabrać reszty rzeczy. Podobnie przyjęto go w innych domach. Tułał się bezradny po mieście, szukał bratniej duszy. Pieniądzy nie miał, wyżebrał kilka rubli, kupił butelkę mleka i bułki. Przenocował na ławce w parku, dobrze, że nie przechodziły tamtędy patrole milicji, a rano zziębnięty, głodny przywłókł się na wartownię.

Lojalnie oświadczam, że nie spotkały go żadne represje. O ile pamiętam, dostał na obiad podwójną porcję kaszy z sosem.

Po tygodniu, gdy układaliśmy się wieczorem do snu, w budynku zahuczało jak w ulu. Strażnicy rozbiegli się po wszystkich celach i ponaglali nas:

- Za pół godziny zbiórka na dziedzińcu! Szybko, pakować się!

Ogarnęło nas nerwowe podniecenie. Coś się dzieje, ale co?

Samochodami przetransportowano wszystkich lokatorów' koszar na dworzec kolejowy, na oddaloną bocznice. Za sapiącą lokomotywą ciągnął się długi sznur krytych wagonów, z małymi, zakratowanymi okienkami. Dokoła ani żywego ducha, usunięto nawet obsługę kolejarską. Wchodziliśmy gęsiego. Oheblowane ławki, rozłożona na podłodze słoma, wiadra z wodą.

Dokąd nas wiozą? Pytanie to absorbowało wszystkich bez reszty.

Bawiliśmy się we wróżbitów Sybir, Kamczatka, Biegun... Znaleźli się domorośli astrologowie, chcieli zorientować się w kierunku jazdy po gwiazdnych konstelacjach.

Pociąg nabierał szybkości. Mijaliśmy pogrążone we śnie wioski, te-reny ogołocone z wszelkiej roślinności. Za okienkami rozpościerała się głucha, ciemna noc.



Po kilku godzinach pociąg stanął. To tu? Otworzyły się drzwi wagonu. Strażnik wsunął głowę.

- Dziesięć minut postoj. Kto ma potrzebę, może wyjść, tylko pamiętajcie, bez żadnych sztuczek! - i jakby mimo woli położył rękę na kaburze pistoletu.

Wzdłuż wagonów, po obu stronach, rozciągnął się kordon milicjantów i żołnierzy. Dokładnie po dziesięciu minutach maszynista dał, sygnał, zatrzaśnięto drzwi, koła wagonów potoczyły się po szynach.

Po kilku dniach tej mordęgi nasza podróż dobiegła końca. Z ciekawością rozglądaliśmy się dokoła. Może jakaś tablica z nazwą miejscowości. Jacyś ludzie, od których można będzie zasięgnąć informacji?

Nic z tego. Wysadzono nas w pustkowiu, gdzie diabeł mówi „dobranoc”. Jak okiem sięgnąć - pola i majaczący na horyzoncie las... i Pomaszzerowaliśmy czwórkami. Z przodu, po bokach i z tyłu nasi opiekunowie. Za zakrętem wyłoniły się baraki. Wpuszczono nas do środka, nie omieszkając sprawdzić, czy nikt nie wybył po drodze.

- Obmyjcie się z kurzu i przygotujcie na wizytę lekarza.

- Co mamy zrobić?

- Nie byliście jeszcze nigdy u doktora? Rozebrać się.

- Do pasa?

- Całkiem. Do naga.

Pierwszy raz w życiu widziałem taką rewię golasów. Wśród młodych” dobrze zbudowanych mężczyzn przewijały się sylwetki ludzi starszych, o zwiotczących mięśniach, z nabrzmiałymi na rękach i nogach żyłami.

Otworzyły się drzwi. Wszedł doktor w spódnicy. Była to, jak się później dowiedziałem, felczerka, pełniąca funkcje lekarza. Młoda, zgrabna, z burzliwym biustem, z falą ciemnych, niesfornych loków opadających na pyszny kark.

I stała się rzecz straszna, przerażająca. Jej widok podziałał na mnie jak uderzenie pioruna. Mistrz Sztaudynger biadolił w swej fraszce, że patrząc na apetyczną dziewczynę, nie mieści się w portkach. A ja nawet tych nieszczęsnych portek nie miałem na sobie.

Felczerka oszcypywała defilujących przed nią, jakby to były manekiny, i obojętnym głosem wydawała polecenia towarzyszącemu jej mężczyźnie:

- Ten do brygady pięćdziesięcioprocentowej. Ten sto procent...

Na co się uskarżacie? Aha, siedemdziesiąt pięć procent...

Płonąc ze wstydu pod drwiącymi spojrzeniami towarzyszy cofałem się krok za krokiem przed zbliżającą się dziewczyną, obrócony do niej tyłem. Aż przyszedł moment, gdy już dalej nie mogłem iść: oparłem się, no nie zupełnie, o ścianę. Ścigały mnie jej dyspozycje:

- Pięćdziesiąt, sto, dwadzieścia pięć, pięćdziesiąt...

A tu nic, bez zmian. Za swymi plecami usłyszałem zniecierpliwiony głos:

- A nuka, odwróćcie się wreszcie!

Popatrzyła na mnie z dołu do góry, z cezurą na środku mej cielesnej powłoki, przygryzła wargi.

- Zdorowiennyj paren! Piszitie - zwróciła się do łapiducha - stoprocentnaja brigada!

I tak oto zostałem po dwakroć pogrążony: raz za swój nieposkromiony, długi język, i dwa za... no właśnie.

**RAZ, DWA, WZIALI!**

Staliśmy w karnym ordynku za wrotami obozu, w oczekiwaniu wy-marszu do pracy. Strażnik zlustrował nas rutynowanym spojrzeniem, sprawdził, czy jesteśmy w komplecie, i beznamiętnym głosem obwieścił:

- Wnimanije! Szag w liewo, szag w prawo, szag w pieriod, szag nazad, a budu primieniat' oruzije bież prieduprieżdzenija! Poniatno?

- Poniatno! - odkrzyknęliśmy chórem, Formułkę tę, ostrzegającą, że strażnik bez uprzedzenia użyje broni przy najmniejszej próbie ucieczki, znaliśmy już na pamięć. Tydzień minął od przybycia do łagru. Powitał nas komendant całego obozu (podobno też „zakliuczonnij”, resztę kary pozwolono mu odbyć na tym stanowisku).

- Przypadł wam w udziale nie lada zaszczyt uczestniczenia w historycznym dziele, w budowie elektrowni wodnej, która powstaje dzięki wysiłkowi całej armii ludzi pracy i służyć będzie narodowi. Będziecie pracować w zdrowych warunkach, przy wycinaniu drzew. Teren przed zatopieniem musi zostać oczyszczony i wyrównany. Czego od was wymagamy? Karności, zdyscyplinowania i dobrej roboty. Kto nie będzie szczędził wysiłków, nie położy się głodny spać!

Prorab, proizwoditel raboty, czyli kierownik robót, ujął to dosadniej w rozmowie z którymś z naszych:

- Żit' budiesz, no jebat' nie zachocziesz!

Komendant nie wymienił nazwy miejscowości, dokąd nas zagnał los, nie określił ze zrozumiałych względów geograficznego położenia łagru. Mimo to już po paru dniach mieliśmy pełne rozeznanie, gdzie się znajdujemy. Obóz odwiedzali w różnych sprawach wolnonajemni - pracownicy z wolnego najmu; inżynierowie, majstrowie mieszkający w

okolicy. Przyjeżdżały ciężarówki z materiałami budowlanymi. Od kogo się dało, wyciągaliśmy słowo po słowie, resztę dopowiedzieli nam więźniowie z rosyjskich obozów pracy.

Ich i nas obowiązywał zakaz kontaktowania się. Nie wolno było opuszczać swych żon (na miłość boską, nie stawiajcie kropki nad „z”, tu chodzi o strefy!), obie - polską i rosyjską, oddzielały zasieki, dodatkowo stałą służbę pełnili wartownicy. Ale nasze i rosyjskie brygady pracowały w bliskim sąsiedztwie. W czasie pieriekurok - przerw na papierosa - ucinaliśmy krótkie rozmowy, a że nie brak było wśród nas łebskich facetów - szybko zorientowaliśmy się, co i gdzie.

Miejscem naszej pracy był Rybińsk, port nad Wołgą, w obwodzie jarosławskim (jeśli ktoś jest słaby w geografii - między Moskwą a Leningradem). W pobliżu Rybińska znajdował się potężny zbiornik wodny, sztuczne jezioro powstałe w wyniku przegrodzenia Wołgi tamą.

Wody z tego akwenu miały być skierowane na tereny, gdzie nas przywieziono, gdzie powstawała elektrownia wodna, a nasz uczałek nazywał się „Rybińskij Hydrouziel”.

Dzięki niezapomnianej felczerce, a po trosze i hojności natury, przydzielono mnie do najcięższych prac. Razem z trzydziestoma byczkami z różnych stron Polski znalazłem się w brygadzie Eljana, którego wybraliśmy za swego przywódcę. Polskich brygad było kilkanaście, na czele całej polskiej kolonii stanął Feichenfeld (zdaje się, że przekręciłem jego nazwisko), krakus z nastroszonym, krótkim wąsem, w średnim wieku, o postawie zawodowego kaprała. Nominacja była trafna.

Nasz szef w korbach trzymał podopiecznych, ale jak lew walczył o lepsze warunki bytowania, o większe pajdki chleba.

Pierwszy dzień darowano nam na zaaklimatyzowanie się, drugiego wyprowadzono do karczowania lasu. Nawet Sybiracy, naród jak mało który zahartowany i zawzięty, wysiadali przy karczowce, bo też była to piekielna robota! Pnie drzew należało tak wykopywać, żeby w ziemi nie został najmniejszy pęd. I w efekcie wyrobiliśmy kilkanaście procent normy. A w obozie obowiązywały żelazne zasady: za wykonanie normy w stu procentach dostawało się kilogram chleba, za dziewięćdziesiąt procent - dziewięćset gramów, za osiemdziesiąt - osiemset i tak dalej. Jeżeli schodziło się poniżej 26 procent - pajdki kurczyły się do trzystu gramów, zupę nalewano więźniom z najgorszego kotła, wodnistą bałandę, w dodatku na noc zamykano w karczerze. Tak karano tych, którzy wykręcali się od roboty.

Wiele, wiele lat później opowiadałem znajomemu o moich przeżyciach w obozie rybińskim. Chwycił się za głowę.

- Człowieku, to wyście siedzieli w sanatorium! Myśmy dostawali po trzysta gramów chleba za całodzienną pracę w kopalni!

To prawda, tak było. Znajomy został aresztowany po zakończeniu wojny za przynależność do AK i mimo że walczył z hitlerowskim okupantem z bronią w ręku, przelewał krew, skazano go na piętnaście lat więzienia, zesłano pod koło podbiegunowe do Workuty, skąd wrócił w 1956 roku po dziesięcioletniej odsiadce. Taki los spotkał wielu Polaków. Nas nie potraktowano jako „politycznych” i stąd te „cieplarniane” warunki.

Nawet nie zamknięto nas owego dnia w karczerze za wpadkę na karczowce. No bo jak umieścić trzydziestu chłopów w piwniczce przystosowanej na przyjęcie kilku osób?

Komendant obozu podjął decyzję: przerzucono nas na liesopowal - do ścinania drzew. Piłowało się je ręcznymi piłami we dwóch. To też nie lada sztuka. Najpierw należy ustalić naturalny pochył drzewa, zrobić z tej strony od dołu nacięcie toporem, żeby spadające drzewo nie wyrwało szczap, dopiero potem z drugiej strony wprawić piłę w ruch.

Często zdarzało się, że drzewo „siadało” na pile, musieliśmy wtedy wbijać kliny. Powaloną sztukę obskakiwała inna grupa, jedni obcinali gałęzie, inni transportowali drzewa na plecach i układali je w piramidę - warstwa wszerz, warstwa wzdłuż, żeby powietrze miało dostęp.

Robotę nadzorowali dziesiątnicy. Prorab, przechadzając się od brygady do brygady, kontrolował, jak się uwijamy.

- Raz, dwa, wziali! - komenderował, a widząc, że nie możemy sobie poradzić z dźwignieniem drzewa dodawał: - chuj podniali, po czym, żeby nas zachęcić do dalszych wysiłków: raz, dwa, drużno, jeszcze nużno!

Jakoś szło. Wypracowaliśmy po dziewięćset gramów chleba i talony do lepszego kotła, co gwarantowało gęstą, zawieszistą zupę na śniadanie, taką samą na kolację po powrocie z pracy, do tego na drugie po-rcję grochu puree, kaszy czy okraszonych ziemniaków.

Za ponad sto procent normy mogliśmy wykupywać po pięćdziesiąt kopiejek talony na priembliudu. W czasie pracy na „proizwodztwo” przyjeżdżała ruchoma kuchnia z dymiącymi beczkami. Na każdy talon kucharz wydzieliał porcję tak gęstego grochu, że łyżka stawała, i po białej bułce. Na te bułki polowali więźniowie z rosyjskich brygad, sprzedawaliśmy je po kilka rubli sztuka, grochem objadaliśmy się po uszy (priembliudowych talonów wydajni drwale mogli kupić, ile kto chciał), a po powrocie do obozu opylaliśmy normalne kolacyjne talony.

Nasze kosztowności - zegarki, obrączki, pieniądze, oddaliśmy na przechowanie do obozowego magazynu. Wręczono nam pokwitowania, zapewniono, że gdy wyjdziemy na wolność, wszystko otrzymamy z powrotem.

Z ufnością przekazaliśmy do depozytu i inne rzeczy. Do łagru wjechała ciężarówka i jacyś grażdanie, niektórzy mieli na sobie wojskowe bluzy. Chodząc od baraku do baraku, namawiali nas do oddania ubrań, butów, które w obozie jakoby nam się nie przydadzą, a mogą paść łupem rzezimieszków z sąsiednich brygad. Ja też pozbyłem się ubrania z pepity, które tak irytowało redaktora Ołtaszewskiego: „Panie Kieपुरa, zrzuć pan z siebie tę pepitę, bo w oczach mi miga, nie mogę na pana patrzeć!” W zamian za nasze rzeczy przybyli wręczyli nam kartki z adnotacją: odin kostium, odna para sapogow, odin switer itp.

Do roboty wyprowadzano nas o szóstej rano. O piątej do baraku wchodził Makutoni (chyba nie Włoch?) i donośnym głosem zrywał nas z pryczy:

- Podjom! Zbierać się!

Makutoni był dniewalnym. Jego obowiązki polegały na budzeniu nas, a gdy baraki pustoszały, na sprzątaniu. Lukratywne zajęcie zawdzięczał parze pięknych, glansowanych butów z cholewami (niemal identyczne miał na nogach mój Stefan!). Ofiarował je komu trzeba i zadekował się jak u pana Boga za piecem - ani razu nie wyszedł poza wrota.

Spaliśmy w długim baraku z dwupoziomowymi pryczami, gęsto, je-den przy drugim. Gołe deski pod plecami, głowy spoczywały na workach z naszym dobytkiem. Kładliśmy się w roboczej odzieży - drelichowych bluzach i spodniach, okrywaliśmy się - czym kto miał, przeważnie paltami. Mój długi, niemal do kostek płaszcz, taka była moda przed wojną, oddawał nieocenione usługi. Jedną nogę wsuwałem w rękaw, w drugi rękę i owinięty jak rolmops spałem w takiej pozycji kamiennym snem do wejścia Makutoniego.

Pracowaliśmy do szóstej wieczór, z przerwami na pieriekurki. Strażnicy, na ogół wyrozumiali, dość często zarządzali przerwy. Po każdej ustawiali nas w dwuszeregu i sprawdzali, czy stan liczbowy zgadza się z ich wykazami na tabliczkach z dykty.

Któregoś dnia strażnik nie mógł się nas doliczyć. Kilka razy obszedł dwuszereg, zaklął „po matuszkie”, zabronił ruszyć się z miejsca i wystrzelił w powietrze z gwintówki. Nie trwało długo, gdy z zony przybiegło kilku jego kolegów w towarzystwie potężnych wilczurów.

Ruszyła pogoń za zbiegami. Na przedzie znudzone beczynnością psy, za nimi strażnicy.

- To Szlama i Kuba dali nogę... - poszło po brygadzie.

- Nie zajdą daleko - pokręcił któryś głową. - Tu takie numery nie mają szans. Wiecie, jak daleko stąd do najbliższych osiedli? Zresztą kto przyjmie uciekiniera z obozu? Mają na sobie kazionne specówki...

Po upływie niespełna pół godziny ukazał się kondukt. Otwierały go zadowolone, merdające ogonami pieski, za nimi dreptali obaj delikwenci, z przodu i z tyłu strażnicy. Ich karabiny opierały się o plecy Szlamy i Kuby.

Psy obozowe przeszły odpowiednie przeszkolenie. Nie zrobiły krzywdy zbiegom. Powaliły ich na ziemię i przytrzymały zębami za pludry, póki nie zjawili się ich panowie. To nie to, co owczarki w niemieckich obozach, przyuczane do rozszarpywania uciekających więźniów. Chociaż i tam bywały wyjątki...

Oto autentyczna historia, jaka wydarzyła się w latach wojny w jednym z hitlerowskich obozów.

Komendant katowni wyhodował wyjątkowo groźnego psa. Nawet Niemcy omijali go z daleka. Hitlerowiec dbał o swego pupila, podsuwał mu co najlepsze kąski z oficerskiej kuchni. Więzień z rosyjskiego baraku pod wpływem głodu zdobył się na desperacki krok: podczołgał się do legowiska zwierzęcia, obżerającego się właśnie kaszą z mięsem, porwał mu sprzed nosa miskę i łapczywie rzucił się na jadło. Pies z wrażenia znieruchomiał, nawet nie warknął, przyglądając się spokojnie więźniowi, który po nasyceniu głodu, a raczej po opróżnieniu miski, wrócił do baraku. Wieczorem komendant ze zdumieniem stwierdził, że jego ulubieniec skomłę, wyraźnie dopominając się o strawę. Pusta, porzucona o kilka metrów dalej od miejsca, gdzie zawsze stała, miska, wytłumaczyła wszystko. Komendant obszedł baraki więźniów i obiecał, że temu, kto zdobył się na taki wyczyn, nie tylko nic nie zrobi, ale mu da jeszcze bochenek chleba, niech tylko się przyzna.

Epilogu nie znam, może więzień przyznał się, a hitlerowiec wyjątkowo dotrzymał słowa?

Wieczorem nasz komendant zwołał wszystkie polskie brygady i wśród grobowej ciszy powiedział:

- U nas, w Sowieckim Sojuszu, nikt nie ucieka, a jeżeli ucieka, ścigamy go jak wściekłego psa. Nie zobaczycie już swych towarzyszy.

Zwiesiliśmy głowy, co pobożniejsi odmówili w duchu modlitwę „Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie” i „El mole rachmim”...

Długo ten incydent był tematem rozmów. Żalowaliśmy obydwu kozaków. Nikt nawet nie przypuszczał, w jakich okolicznościach przyjdzie się z nimi spotkać!

Życie obozowe zbliżyło nas. Zatarły się różnice klasowe, religijne, rasowe. Zawiązały się przyjaźnie, pomagaliśmy sobie wzajemnie.

Przyłgnałem do dwóch chłopców z naszej brygady: Józka Bartosika i Topfa. Stanowiliśmy nierozłączną trójkę. Józek, poczciwe rosłe chłopisko, pracował do wojny jako

farbiarz. Wyrecał mnie często na „proizwodztwie”. Widział, z jakim trudem się schylam. Po przebytej w dzieciństwie dwukrotnej trepanacji czaszki mam uszkodzony błędnik w prawym uchu, na które nie słyszę, najłżejsza praca w pozycji pochylonej przyprawia mnie o zawroty głowy, co było też powodem otrzymania na komisji poborowej kategorii „D”. A jak piłować nie schylając się?

Dzieliłem się z Józkiem machorką. Namiętnie palił, a że gotówki nie posiadał, zdany był na cudzą dobroć. Drugi mój kompanion, Topf, jak na warunki obozowe był krezusem. Ani rubla nie oddał na przechowanie, grubszą sumę zaszył w bluzie. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego tak panicznie boi się łaźni. Ani razu tam nie poszedł, zawsze się jakoś wykręcał, choć naczalstwo pilnie baczyło, abyśmy co dwa tygodnie obmywali grzeszne ciała.

Właściwie nikt nie chodził tam chętnie. Baliśmy się brudu, to prawda, ale w bani czyhało inne niebezpieczeństwo. Nasza odzież wędrowała na druciane obręcze, po czym poddana działaniu wrzącej pary wracała do pomieszczenia, gdzie na golasa, nieraz godzinę, wyczekiwaliśmy po obmyciu się. Obręcze z odzieżą rzucano na kupę, ci, co docisnęli się najbliżej, łapali najlepsze bluzy i spodnie, a te sfatygowane dostawały się ostatnim.

Raz i mnie przypadło w udziale poplamione, podarte odzienie.

Mało tego: po kilku dniach odczułem potworne swędzenie w kroczu, w miejscu, które Niemcy nazywają figlarnie „Eierplatztantz”. Złapałem mendoweszki. Maść sabadylowa nie pomogła. Poczciwy Józek scyzorykiem (ukrył go, bo ostrych narzędzi nie wolno było mieć) przy migotliwym świetle lampki elektrycznej wydłubywał wstrętne insekty. Wessały się w ciało na głębokość kilku milimetrów.

W barakach zakwitł drobny handelek. Sprzedawano i kupowano najróżniejsze rzeczy. Największym popytem cieszył się chleb. Już nikt nie wybrzydzał na zły smak. Rano przy rozdziale wyklócaliśmy się o garbuszki, przylepki. Miały najwięcej twardej, wypieczonej skórki.

Sprawdzała się przepowiednia komendanta koszar we Lwowie...

W cenie była też machorka. I ta ukraińska, z wiewiórką na opakowaniu, i „samosiejka” z prywatnych plantacji, zielona, tak ostra, że przy zaciąganiu się szarpała wnętrzności. Jednostkę miary stanowiło puste pudełko od zapalek. Za taką porcję machorki żądano pół pajdki chleba!

Nabywców nie brakowało. Patrzyli uważnie na ręce sprzedające-go, wołając:

- Ubijaj, ubijaj, sknero! To nie puch na kołdrę!

O machorkę nie było trudno. Zaopatrywali nas więźniowie z rosyjskich baraków, otrzymywali paczki od rodzin. Należało mieć się na baczności. Niektórzy dostawcy napelniali

fabryczne opakowania trocinami, tylko na wierzchu znajdowała się cienka warstwa machorki, i tak spreparowany towar wkręcali nam za naszą krwawicę Kłopoty mieliśmy z papierem na skręty. Czasem udało się wyprosić od proraba czy dziesiątnika skrawek gazety, najczęściej jednak kręciliśmy papierosy w strzępkach kartonowych opakowań po cemencie.

Mozolnie oddzielaliśmy warstwy tej bumagi, sklejaliśmy je śliną i wciągaliśmy w płuca nie bardzo wonny dymek.

O tym, żeby samemu wypalić do końca, nie było mowy. Na widok skręcane go papierosa (gdy zdobyło się gazetę, formowaliśmy tzw. „kozio nóżki”) ustawiała się kolejka: jeden przez drugiego zamawiał kilka cugów, skręt wędrował z ust do ust, parząc wargi i palce ostatnim.

Po wojnie żołnierz radziecki wrócił z Warszawy do rodzinnej wsi.

Zasypano go pytaniami o to i owo.

- Nu a kak na szczot pieczati? Izdajut gaziety? (A jak tam z prasą? Wydają gazety?).

- Konieczne. Oczen' choroszaja „Życie Warszawy”...

- Podobno wychodzi też „Słowo Ludu”? - wtrącił politruk.

- „Słowo Ludu”? Nie znaju, nie kurił...

Przy wyczytywaniu listy sąsiedniej brygady usłyszałem znajome nazwisko.

- Czy pan jest lekarzem z Poznania? - zapytałem wywołanego.

- Tak...

- Bardzo mi przyjemnie - wyciągnąłem rękę i przedstawiłem się.

- Przed dwoma laty poznałem w Krynicy pańską żonę i synka...

- Ach, to pan! Żona wspominała mi często o panu. Co za spotkanie!

To było latem 1937. Urlop spędzałem solo w pensjonacie pani Rubinstein, matki mojego kolegi Romka. Cóż to był za pensjonat! Na śniadanie stół zastawiony różnymi frykasami, do wyboru, ile kto chciał. Wędliny, jajka, sery, miód, pomidory... Na obiad też do wyboru zupy i drugie dania. Chyba osiem złotych płaciłem za dzienny pobyt z wyżywieniem.

Poznałem tam panią Elżbietę. W podwórzu na Piotrkowskiej 67, gdzie dzisiaj mieści się kino „Polonia” (wtedy „Casino”), znajdowała się wypożyczalnia książek. Jej właścicielką była świeżo poznana pensjonariuszka pani Rubinsteinowej. Ucieszyła się z zawarcia znajomości z tak obiecującym partnerem do tańca i spacerów.

- Romek ma samochód, będziemy wyjeżdżać na wycieczki!

W tańcu prowokowała mnie wyraźnie, poddając ciało do przodu.

A gdy wyszliśmy ochłonąć, przytuliła się namiętnie.

- Tak się cieszę, naprawdę tak się cieszę...



Nie pozostawałem jej dłużny w pieszczotach. Jak to Ordonówna śpiewała? „Tylko jabłoń to widziała, ilem się nacałowała z królewiczem moich snów...”. Topole w zacienionym zakątku parku krynickiego też niejedno widziały tego wieczora i następnych.

Pani Elżbieta odwiedziła mnie w moim pokoju, pozwoliła się rozebrać, a gdy chciałem sfinalizować swe manewry, nieoczekiwanie stawiała opór.

- Co to, to nie, mój maleńki...

Na „nie” to ja mam Gretę Garbo! - pomyślałem i postanowiłem zakrzętnąć się koło innej pensjonariuszki.

Jakoż okazja nadarzyła się szybko. Do Krynicy przyjechała z synkiem młodsza siostra pani Elżbiety, Irena, rodem z Poznania, żona lekarza, którego rękę teraz ściszałem. Mieszkała w innym pensjonacie, składałem jej wizyty, narzekała na złe pożycie z mężem, poświęcał jej mało uwagi. Gdy nieletnie dziecię zasnęło, zabrałem się do dzieła. Nie broniła się jak siostra, ale w decydującym momencie opadł... mnie strach i wysiadłem o stację za wcześnie.

- Tak czasem bywa - pocieszała mnie. - Byłeś za bardzo rozpalony, głowa do góry, następnym razem będzie lepiej...

Często jeździliśmy samochodem Romka (odkryty steyer z podnoszoną budą) do „Złotego Rogu”, cukierenki należącej do ojca Jana Kiepurcy, do „Cichego Kącika”. Zawsze w czworo: pani Elżbieta, Irena, Romek przy kierownicy i ja. Siadałem między obiema paniami. Jedną ręką podszczypywałem Elżbietę, drugą jej siostrę, dyskretnie, i żeby tamta nie widziała. Nie mogę zrozumieć, co mną kierowało: przecież Irena okazała się łaskawsza, przystępna, a Elżbieta mnie rekuzowała! Po powrocie do Łodzi zmieniłem wypożyczalnię książek. Irena słała mi list za listem, serdeczne listy, pełne oddania. Adresowała je na redakcję (miałem żonę), nazywała mnie „kochanym kogucikiem”, jej synek gryzmolił ukłony. Ile lat może mieć dzisiaj ten chłoptys, którego huśtałem na kolanach? Chyba już szósty krzyżyk włożył mu na kark...

Bez specjalnych emocji rozpamiętywałem mój krynicki romans.

Słowa proraba potwierdziły się: nie myśleliśmy o tamtych sprawach.

Podobno do potraw dosypywano sodkę czy jakieś inne świństwo, co skutecznie hamowało naturalne popędy. To nasze „desinteressement” seksualne lapidarnie określił dwudziestoletni najlepszy drwal w naszej brygadzie:

- Nie mam głowy do dupy!

Zdarzało się, że i w nocy budzono nas do roboty. Przyjeżdżały pociągi z cementem, który trzeba było wyładować do stojących obok na rampie pustych wagonów. Mordęga nie z tej ziemi! Cement wywoziło się taczkami po drewnianej, uginającej się kładce, przerzuconej z

załadowanego do pustego wagonu. Na początku robota szła składnie, dopiero później, gdy wagon do połowy był już załadowany, gdy nogi grzęzły w sytkim cemencie wdzierającym się do płuc, opadaliśmy z sił.'

Choć za ponadplanową, nocną pracę podkarmiano nas, każdy wolałby zrezygnować z dodatkowych racji chleba, byle tylko nie przeładowywać cementu.

Stwierdziłem u siebie pierwsze objawy cyngi, szkorbutu. Dziaśła obsunęły się, obnażone korzenie zębów bolały. Wielu zapadało na tę chorobę. Dostawaliśmy antidotum - „cyngutnoje”, sałatkę z surowych jarzyn: marchwi, pietruszki, porów, cebuli, buraków, niewiele jednak-to pomagało.

Wydajność pracy zaczęła spadać, wraz z nią zmniejszyły się porcje chleba. Nie wszyscy w brygadzie spisywali się jednakowo. Jedni harowali w pocie czoła, inni objali się. Ktoś zaproponował: wydajność obliczać indywidualnie, ten co więcej z siebie daje, niech otrzymuje więcej chleba, ci co markirują, muszą się zadowolić mniejszymi racjami.

Wniosek przegłosowano. Nasz Eljan nie nosił głowy od parady, wpadł na jeszcze lepszy pomysł.

- Zrobimy tak. Trzysta gramów chleba dostaje zarówno ten, co dociągnie do 26 procent normy, jak i ten, który palcem nie kiwnie w pracy. Tych mało wydajnych podamy jako też wymigujących się od roboty, a ich procenty doliczymy tym najlepszym. W ten sposób najlepsi dostaną większe pajdki i talony na priembiudę, a tamtym każdy z nich dorzuci kromkę ze swego przydziału. Wilk będzie syty i owca cała!

I tak też się stało. Nygusi byli zadowoleni, bo chociaż przychodziło im nocować w karcerze, to chleba mieli więcej.

Również i ja błysnąłem conceptem. W bok od lasu rósł zagajnik brzozowy. Dwa rozległe pasy drzewek oddzielała duża polana.

- Panie Eljan - zagadnąłem brygadiera - a gdyby tak skłonić nariadczyka, żeby nas zatrudnił przy wyrębie tych brzózek? Naniesiemy gałązki na polanę, między drzewkami, nariadczyk zmierzy laufmetry, zaliczy kawałek polany i wyrobotka będzie na cacy!

- Dobry pomysł, tylko trzeba mu dać rebuchem - łapówkę.

Ktoś zaofiarował tweedową marynarkę, złożyliśmy się po kilka rubli dla właściciela kapoty. Nariadczyk przystał na naszą propozycję (najpierw przymierzył marynarkę, czy dobrze na nim leży) i ruszyliśmy do brzozowego gaju.

Na nogach miałem owe buty „Bata”, wygrane w pokera w koszarach. Uratowały mnie przed kalectwem: gdy chwyciłem siekierę i zamachnąłem się, żeby ściąć brzózkę przy samej ziemi, ostrze zawadziło o moją zbyt do przodu wysuniętą kończynę i razem z brzózką poleciał

szpic buta. Gdybym był w zwykłych kapciach, nie doliczyłbym się przynajmniej jednego palca.

Wieczorem w kantorze zawrzało! Brygada Eljana wykonała normę w 130 procentach! Tego jeszcze nie było, jak długo „Hydrouzieł” istniał. Za owe 130 procent przez kilka dni - dokąd udawało się pokrywać polanę gałązkami - wydzielano nam po kilogramie i trzysta gramów chleba, zupę i drugie z kotła dla otliczników. Tak nas nazywano, lub udarnikami. Miano stachanowców przysługiwało tylko tym z wolnego najmu.

A kiedy rozstawaliśmy się, acz bardzo niechętnie, z chlebobajnym zagajnikiem, dziesiątnik poklepał Eljana po ramieniu.

- Mołodcy! Opiat' połuczicie choroszuju rabotu. Budietie relsy taskat'! (Zuchy! Znowu dostaniecie dobrą robotę. Będziecie przenosić szyny!)

Szyny, podobnie jak przedtem drzewa, przenosiliśmy na barkach. Dowcip polegał na tym, żeby wszyscy trzymali je na tym samym ramieniu, bo gdy balast zrzucało się z rozmachem na ziemię, temu, co pomylił się, mogło urwać głowę.

Ta praca nie odpowiadała mi. Co innego drzewa, lżejsze, pachnące żywicą. No i brak mi było owych mobilizujących komend proraba, który na tę robotę nie przychodził: „Raz, dwa, wziali”...

Wziali, bo wziali. Raz, dwa. Ale - nas... ze Lwowa.

## MUZY W OBOZIE

Więźniowie, skazani na mocy wyroku sądowego, odliczają z niecierpliwością dni i godziny dzielące ich od wyjścia na wolność. Z nami było odwrotnie: rachowaliśmy tygodnie i miesiące przebyte w zamknięciu. Jak długo jeszcze? I za co siedzimy?

Na te pytania nie potrafiliśmy sobie odpowiedzieć, a próby uzyskania jakichś informacji od funkcjonariuszy obozu spełzły na niczym. Jeszcze nas obrugano na perłowo: „Pieriestantie naprasno bołtat' jazykom!” (Przestańcie na próżno obracać jęzorem!)

Ogarniało nas coraz większe rozgoryczenie, zwątpienie, rezygnacja...

Szybko minęła jesień, uderzyły pierwsze przymrozki. Zima zagościła wyjątkowo wcześnie owego 1940 roku. Wydano nam ciepłą odzież - fufajki, watowane spodnie, małachajki na głowę i walonki. Chyba nigdzie nie wymyślono praktyczniejszego obuwia na zimę. Filcowe buty sięgające powyżej łydek znakomicie chroniły nogi przed mrozem, łatwo je było wkładać i zdejmować. Z innymi częściami ubioru nie rozstawaliśmy się całą dobę, bo chociaż w baraku stała „koza” z przeciągniętą na dach długą rurą i opału mieliśmy pod

dostatkiem (byliśmy drwalami, a słyszał kto, żeby szewc chodził bez butów?), chłód dawał się w nocy we znaki.

Podobnie jak pozostałe polskie brygady pracowaliśmy już wyłącznie na liesopowale. Po ścięciu i obróbce drzew zostawało mnóstwo gałęzi. Znosiliśmy je w jedno miejsce, formowaliśmy wielgachny stos, a gdy sięgał kilku metrów, wkraczali podpalacze. Ogień krzesano się jak w epoce kamienia łupanego przez pocieranie dwóch krzemieni. Iskry padały na długi, wysuszony sznur konopny, tłący się koniec podtykaliśmy pod kępkę mchu, jedno, drugie dmuchnięcie i ogień począł pełzać po gałęziach. Podpalacze wędrowali do następnych stosów. Nie musieli już krzesać ognia, sznur żarzył się cały dzień.

Wyklócaliśmy się z brygadierem o miejsce koło ogniska. To była wielka frajda! Żadne bumelanctwo, bo i tutaj czekała praca. Gałęzie trzeba było wciąż podrzucać, ani jedna nie mogła zostać na pogorzeliisku. Żar buchał jak z pieca hutniczego. Zdejmowaliśmy walonki, suszyliśmy zwilgotniałe onuce, trzymając je dla osłony przed twarzą.

Prosto z pracy szarżowaliśmy na kuchnię. Rozmodlonym wzrokiem wpatrywał się człek w kucharzy rozlewających zupę do manierek i blaszanek i w to, co kto miał.

- Po głubiej, towarzyszc powar, po głubiej! (Sięgajcie głubiej, towarzyszu kucharzu, głubiej!)

Bo na dnie kotłów spoczywały gałuszki, ziemniaki, kasza, a kucharzy mogliśmy śmiało tytułować „towarzyszczi”, byli tak samo jak my „zakliuczonyje”.

Mrozy i wymęczająca praca zaostrzyły apetyty. Nawet kilogram chleba nie zaspokajał głodu. Każdy mógłby spałaszować dwa razy tyle-. I pomyśleć, że jeszcze tak niedawno wyrzucaliśmy chleb przez okno...

Poza chlebem i machorką handlowano talonami do kuchni. Ceny ich kształtowały się wprost proporcjonalnie do kategorii kotła. Co ja-kiś czas zmieniano serie talonów - przez parę tygodni te najgorsze, białe, dostawali najmniej wydajni, żółte - brygady z dobrym dorobkiem, zielone - otlicznicy. Potem na odwrót: te białe były najlepsze. Podpatrzyliśmy owe praktyki i co sprytniejszy kupował za kopiejki najgorsze talony, przetrzymywał je jakiś czas, a gdy zobaczył takie same w ręku najtęższych robotników, wyciągał przechowane karteluski i maszerował pod kuchnię.

Należało mieć się na baczności. Bo gdy kucharz zorientował się po numerach i serii, co mu podsunęto, talon odbierał, zanurzał chochlę w kotle i - chlust! - wylewał zawartość przez okienko. Jeśli delikwent nie schylił się w porę (każdy na wszelki wypadek stał na lekko ugiętych nogach, żeby w razie czego wykonać unik), mógł z poparzeniami wylądować w przyobozowym szpitaliku.

W barakach ustawiono beczki z kilkami, małymi suszonymi, słonymi jak wielkie nieszczęście rybkami. Dziś chętnie położyłbym sobie takie dwie, trzy kilki na grubo posmarowany masłem chleb, ale wtedy nie służyły one za przekąskę...

Szybko odczuliśmy skutki tego obżarstwa. Męczyło nas pragnienie, pochłanialiśmy nadmierne ilości wody (kipiatok!), w nocy po kilkanaście razy wybiegaliśmy na dwór, żeby sobie ulżyć.

Wszyscy mieli rozwalone pęcherze. Częste wyskakiwanie na mróz potęgowało jeszcze parcie. Do latryn nikt nie chodził, za daleko, potrzeby swe załatwialiśmy na miejscu, przed samym barakiem. A że luda było sporo, rankiem witały nas ostro zakończone stalagmity, podobne do tych na dnie jaskiń, tylko nie tak przezroczyste, o żółtozielonej barwie. Kto chciał, mógł się zgłosić na ochotnika, zamiast wyjść do lasu zostać w obozie i wyrąbywać oblodzone skutki naszych nocnych wypadów. Robota paskudna, odpryski stalagmitów lądowały na twarz, oblepiały odzież, toteż chętnych nie było wielu.

Mnie również dokuczał pęcherz. Postanowiłem wykurować się własnym przemysłem. Zdobyłem dwulitrową puszkę po farbie olejnej, sikałem do niej w nocy, odstawiając naczynie na półkę górnej pry-czy, gdzie znajdowało się moje legowisko.

Rano przy rozdziale chleba rozległ się krzyk leżącego pode mną kolegi:

- Do cholery jasnej! Jaki ten chleb dzisiaj mokry!

Tknięty złym przecuciem odwróciłem głowę w kierunku mego prowizorycznego nocnika. Struchlałem: puszka leżała przewrócona...

Aż wstyd, nie powiedziałem koledze, co się stało. Dziś wiem, że postąpiłem jak skończony drań. Powinienem się przyznać, oddać mu mój suchy chleb, ale ja byłem taki głodny!

Mróz tężał z dnia na dzień. Czekaliśmy z upragnieniem, żeby słupek zabarwionego na fioletowo spirytusu w termometrze spadł poniżej czterdziestu stopni, wtedy nie wyprowadzano do lasu.

Kilka razy szczęście się do nas uśmiechnęło. Zostaliśmy w baraku.

Ale naczałstwo niechętnym okiem patrzyło na naszą beczynność, zaproponowano więc wyprawę po chrust, kusząc nas dodatkowymi pajdkami chleba. Zgłosiło się kilkunastu ochotników. Jeden oddalił się za daleko, zawędrował do grupy rosyjskich dobrowalców. Ściągnęli z niego nową fufajkę, sweter, koszulę, spodnie i chromowe buty z cholewami, które przywiózł z Polski. Szczękając zębami, w samych trusikach, krótkich majtkach, boso, przebiegł parę kilometrów do obozu - i nawet kataru nie złapał!

W taki tęgi mróz generał radziecki wybrał się na lustrację oddziałów żołnierzy odbywających ćwiczenia bojowe na dalekiej północy.

Była przerwa, opatuleni w szynele bojcy odpoczywali w barakach.

Chcąc ich podnieść na duchu, generał wszczynał pokrzepiające rozmowy.

- Zdrastwujcie, towarzyszy bojcy!

- Zdrastwujcie, towarzyszu gienierał!

- Purga na dworze, mietiel mietielitsa...

- Da, towarzyszu gienierał!

- Niczewo, skoro bojoywe uprażnienija konczatsa, wiernioties' domoj...

I tak barak po baraku, wszędzie takie same odzywki, aż wreszcie generał zawędrował do ostatniej lepianki, gdzie również zastał pokurzone z zimna postacie, w nasuniętych na oczy małachajkach.

- Zdrastwujcie, rebiata!

- Zdrastwujcie, towarzyszu gienierał!

- Pizdit na dworze?

- Pizdit, towarzyszu gienierał!

- Niczewo, skoro wiernioties' domoj. A jajca promierzli?

- Nikak, towarzyszu gienierał!

- Kak nikak? - zdziwił się generał.

- Wied' my dziewczki!

Kilka dni po przybyciu do obozu napisałem do Melmanów, poprosiłem o przysłanie paczki z żywnością. Listy mogliśmy wysyłać, nawet nie trzeba było nalepiać znaczków. I kiedy już o tym zapomniałem, wywołano mnie do kancelarii.

- Pieriedacza dla was. Połuczajcie! (Paczka dla was. Zabierajcie!)

Były tam dwie tabliczki czekolady, kilka paczek machorki, suchy placek (moja pocziwa pani Sonia, sama go na pewno upiekła), skarpetki, jakieś drobiazgi.

Nie zdążyłem nacieszyć się tymi darami: odkrycie, jakiego dokonałem w bani, odebrało mi chęć do wszystkiego. Na nogach utworzyły mi się potężne otioki, obrzęki. Łydki miały grubość ud, nad udami jakby wyrosła nowa warstwa ciała. Nacisnąłem opuchliznę palcem - powstało wgłębienie, jak w cieście.

- Wot tiebie choroszo - powiedział na ten widok bańszczik. - Skoro podochniesz, nie budiesz bolsze muczitsa! (Tobie to dobrze, wkrótce zdechniesz, już nie będziesz się dłużej męczył!)

„Żebyś się zatchnął swoją parą” - pomyślałem i w te pędy pobiegłem do Eljana.

- Panie brygadierze, niech pan popatrzy! - opuściłem spodnie.

- Niedobrze - pokręcił głową. - To chyba serce, zaraz zawiadomię dziesiątnika, żeby skierował pana do szpitala.

Dziesiątnik wydał polecenie na piśmie, a ja przy okazji ubiłem z nim interes: za tabliczkę czekolady (z fabryki „Branka”!) i parę skarpet dał mi kilogram cukru, rąbanej, bielutkiej rafinady. Rano zaniósłem swój worek z manelami na przechowanie do kancelarii i pod opieką strażnika, z torebką cukru w garści, poczłapałem do znajdującego się za wrotami szpitalika.

Brygady stały gotowe do wymarszu. Jedni spoglądali na mnie ze współczuciem, inni z ciekawością, byli i tacy, we wzroku których wyczytałem zazdrość.

Jaki jest ten lekarz? Chłop do rzeczy czy konował? Co stwierdzi?

Zostawi w szpitalu, czy odeśle z powrotem do pracy?

W korytarzu dwaj pacjenci czekali na przyjęcie u lekarza. Jeden miał zranioną nogę, zaciął się przy rąbaniu drzewa, drugi, starszy, pojękiwał, trzymając się za brzuch. Obrzęki pod oczyma wskazywały na dolegliwości wątroby. Powiedział mi o swoich przeżyciach. Najpierw, gdy Hitler rozpętał falę prześladowań „podludzi”, uciekł z Berlina, zamieszkał w Wiedniu, po Anschlussie salwował się ucieczką do Pragi czeskiej, do swojej siostry, po zajęciu Czechosłowacji przez hitlerowców przedostał się do Krakowa, stąd po napaści Niemców na Polskę do Lwowa, gdzie podzielił los innych bieżęńców.

Wreszcie przysłała na mnie kolej. Wszedłem do pokoju i... zdębiałem: przy stoliku, w białym kitlu, siedziała moja felczerka!

- Na co się uskarżacie? - zapytała, nie podnosząc oczu znad rozłożonego wykazu. - Nu, na czto żałujeties’? - oderwała wzrok od papierów.

- Ja... ja... spuchłem... Nawierno sierdce...

Ośluchała mnie, kazała obnażyć nogi.

- To nie serce. Piliście za dużo wody, puchlina wodna - przyjrzała mi się badawczo. - Otkuda ja was znaju! Kak bud’ to wasze lico znakomyje... (Skąd ja was znam? Twarz wydaje mi się znajoma).

Skąd mnie znasz, ślicznotko? Chciałem jej zaproponować: spuszczę portki, może przypomni sobie ten fatalny przegląd?

- Poza tym, graždanko wracz, cierpię na zawroty głowy, gołowokrużenije. Jako dziecko przeszedłem dwukrotną trepanację czerepa, czaszki, nie słyszę na jedno ucho, błędnik dokucza...

- Ładno. Zatrzymamy was na parę dni w szpitalu.

Wypisała imię, nazwisko, numer brygady i przydzielonego mi łóżka. W magazynie zafasowałem pasiasty strój - spodnie na wielkoluda, bluzę z innego kompletu, ledwo się w nią wcisnąłem.

Szpitalik mieścił się w kiszkatym baraku. Po lewej stronie korytarza „sale”, oddzielone od siebie przepierzeniami z dykty, po prawej pomieszczenia służbowe - izba przyjęć, będąca jednocześnie gabinetem lekarskim, magazyn, kuchnia, pralnia, prywatne mieszkanie felczerki i coś tam jeszcze.

Obok mnie leżał starszy mężczyzna, z zawodu inżynier, doraźnie drwał w brygadzie rosyjskiej. Na moje „dobryj dien”, zapytał szeptem:

- Amchu?

Pytanie to, żądające odpowiedzi, czy się jest Żydem, ma kosmopolityczny charakter. Na całej kuli ziemskiej można dogadać się ze współplemieńcem z pomocą tego jednego słowa. Co ono oznacza, nie mam pojęcia. Podobno to skrót dwóch wyrazów hebrajskich określających pochodzenie, więc zapewniłem: „Amchu”.

Inżynier cierpiał na wrzód żołądka. Oddawał mi potrawy nie służące jego zdrowiu, rewanżowałem się mianą kaszką, gotowanymi ziemniakami, białym pieczywem.

W baraku było ciepło, przytulnie. Już pierwszego wieczora pochłonałem na prikusku kilka kawałków rafinady, popijając wrzątkiem z domieszką smażonego cukru, co nawet kolorem nie przypominało herbaty. W myśl hasła Wańkowicza „Cukier krzepi” kilka razy dziennie delektowałem się nabytkiem od dziesiątnika. Gdy trzeciego dnia popatrzyłem na nogi, stwierdziłem ku swemu przerażeniu, że wyraźnie odtęchły.

To ci heca! Dzień, dwa i wypiszą mnie ze Szpitala! Ze zgrozą spojrzalem na zamrożone szyby, nie widać było zza nich świata bożego.

Podenerwowany krążyłem po korytarzu. Z pokoju felczerki dobiegały tony granej na pianinie dumki ukraińskiej. Przystanąłem, uchyliłem drzwi, wsunąłem głowę do środka.

- A wy czego tu szukacie? - felczerka oderwała ręce od klawiatury. - Tutaj nie wolno wchodzić, to prywatne mieszkanie!

- Ja izwiniajus', przepraszam... Chciałem posłuchać muzyki. Ja tożę igraju...

Twarz jej złagodniała.

- No to wejdźcie. Zamknijcie drzwi. Proszę, zagrajcie mi coś z waszego repertuaru...

Popisałem się serią tang. Te zawsze wychodziły mi najlepiej. „Tango Milonga”, „Oczy czarne”; „Czy ty wiesz, moja mała”. Na jej życzenie zanuciłem słowa cant i refrenów. Po koncercie poczęstowała mnie herbatą (prawdziwą!), kanapkami z szynką, pomidorami.

- Idźcie już. Jutro też możecie przyjść... I żeby nikt nie widział...



W miarę upływu dni moje nogi wracały do dawnego kształtu, a ja coraz później do swego łóżka. Katia Iwanowna była czarująca. Mówiliśmy już sobie po imieniu i otczestwije. Z biblioteczki wyszperała jakąś mądrą książkę i wtajemniczyła mnie:

- Ta twoja dolegliwość z błędnikiem to epitimponit, albo łabirintit. Zapamiętaj te nazwy.

Wyczuwałem, że nie byłaby przeciwna dalszemu zbliżeniu. Ale skończyło się na niewinnych pocałunkach. A gdybyś, czarnooka, nie zaaplikowała mi wtedy na przeglądzie tej stuprocentowej brygady, to może nawet ta przeklęta sodka nie podziałałaby tak skutecznie! Sama nawarzyłaś sobie piwa, cierp ciało, kiedyś chciało!

Po dwóch tygodniach, gdy na nogach nie pozostało śladu po opuchliznie, do szpitala zwała się komisja z autentycznym lekarzem.

Wracz popatrzył na moją pucułowatą jak księżyc w pełni gębę, i wytrzeszczył oczy.

- A ten osiłek co tu robi?

Katia coś mu tłumaczyła po swojemu, lekarz kręcił głową z dezaprobatą, opukał mnie i polecił wypisać ze szpitala.

Rozstanie było krótkie, serdeczne. Katia Iwanowna otarła łzę rękawem kitla, ucałowała mnie i wręczyła solidną wałowę.

- Nie zabywaj, proszczaj! (Nie zapomnij, żegnaj!)

Koledzy nie mogli się nadziwić memu wyglądowi. Brygadier wyznaczył mi na okres rekonwalescencji lżejszą robotę przy uprzątnięciu i paleniu gałęzi.

- Podczas pańskiej nieobecności zawiązało się tu, jakby to powiedzieć, kółko artystyczne. Nic specjalnego, deklamacje, piosenki, co kto umie. Doszłusuje pan?

Generalny popis odbył się w najbliższy wychodnej, dzień wolny od pracy. Ładne mi wychodnyje! A dokąd to, proszę naczalstwa, mieliśmy wyjść?

Pierwszy zebrał oklaski skoczny jak pchła Popiel z podkrakowskiej mieściny. Bezbłędnie zacytował wierszyk pióra Adolfa Kitschmana, lwowskiego aktora, autora licznych utworów humorystycznych, poświęconych folklorowi żydowskiemu.

Śliczny miasto sobi stoi, Tysiąc Żydków na sto goji,

Trzy kupcowy na dwie jajki, Handel zboża, dziegdziu, fajki, Sztyry karczmy na trzy chłopy, Co za wódki przędą snopy, Poczta, urząd podatkowy, Chajder i sąd powiatowy, I kasyno z siedem członki, I pan burmyszcz z gruby żonki...

W kolejce niecierpliwili się kolejni wykonawcy. Namiętny palacz Józek, który oddawał chleb za szczyptę machorki, uzalił się nad losem dziadka.

Mój dziadek, gdy był młody, Był bardzo hardy, Miał wszystkie członki miękkie, Ten jeden twardy.

A kiedy się zestarzał, To cierpiał męki, Miał wszystkie członki twarde, Ten jeden miękki...

Tak jak się spodziewałem, repertuar nie był wybredny. Nic z klasyki, to by nie chwyciło, więc dostosowałem się do otoczenia i chcąc podnieść poziom zadeklamowałem kilka utworów mego przyjaciela, którego cały zbiorek znam na pamięć. A więc smętną balladę o owym wesołym dziewczęciu: „Deszcz zimny pada, wichura świszcze, Wlecze się drogą biedne kurwiszczce, Próżno wystawia dupę na sprzedaż, Więc lamentuje bieda-ż, oj bieda-ż...”, potem rapsod rycerski;

„Dominikańskich kronik strzep się znalazł u mnie;

Na śmierć się zadupczywszy spoczął książkę w trumnie.

Na sarkofagu zasię mistrz, biegły w rzemiośle,

Posąg z głazu położył, ażeby wyniośle

Na wieków zmierzch spozierał

Po znoju miłostek...”

Pamięć wróblem wyleci - a mendą powraca!

Na bis uraczyłem zacne grono fraszką o rabinie i mendzie tegoż autora:

Rabin mendę, co w zad go ugryzła głęboko, Dusił, mrużąc: „Ząb za ząb, a oko za oko!”

Aż ją kwilić menda, chwycona w potrzaski: „Śmiercią karzesz mą winę.? Mam rodzinę: łaski!

Chcesz słusznej zemsty! Bierz ją, lecz nie przykręć śrubki:

I tak, jako ja ciebie - ugryź mnie w półdupki!”

Audytorium było przekonane, że to utwory mego pióra, wiedzieli, że jestem dziennikarzem. Przez skromność ani nie zaprzeczałem, ani nie potwierdzałem swego autorstwa.

Wśród słuchaczy było kilku pobożnych chasydów, nawet jeden podrabinek. Gdy padały mocne słowa, odwracali się z obrzydzeniem lub pluli artystom pod nogi, co wywoływało jeszcze większą wesołość.

A jednak znalazło się coś z „klasyki”! Przyszła kolej na „Marię” Malczewskiego, „Ojca zadżumionych” Słowackiego i „Czaty” Mickiewicza, co prawda w nieco zmienionej formie. Wykonawcą był nauczyciel z powszechnej szkoły, chyba z Warszawy.

- Malczewski's Małkie! - obwieścił, przybierając artystyczną pozę.

Hetno, a panie kozak!

Wo lajfst du rysiste, Has du haze gewidzial skiken aufder wiste,

Oder entlojft di cigiel wilst du, o myszigen, Mit ukrainer wiater machen a wyścigen?

Po czym w przepelnionym baraku (słuchacze zbiegli się z całej naszej zony) zaanonsował: „A zasadzkies”!

Fyn di gartenaltane, der marszelik zdiszane

Łojft ins cytadel duzejgen, Ufgemiszt a fajrankie, kikt in betfyn kochankie, \

Hat a mojre, ys gunyś gelejgent!

- Jeszcze! Jeszcze! - publiczność była nienasycona.

Nauczyciel, kłaniając się, zapowiedział:

- Der fater fyn di zadzumiones!

Dra mal a golmond wechselte manatkes, Seit na ten piasek ich geszteltpaätkes, Drei kleine kinder hat di Sura leben, A gance miszptiche ys sion beklejben!

Recytowane parodie i trawestacje znałem na pamięć jeszcze ze szkolnych czasów. Drukowały je „Wolne Żarty”, może jakiś inny „Pociąg”. Autorem ich jest wcześniej wspomniany Kitschman, którego twórczość uwiecznił K. Laskowski w „Próbkach antologii żargonowej”.

Jednakże gwoździem programu były popisy niezastąpionego Chaima z Krakowa. Nie czekając na takie okazje jak dzień wolny, wprawiał nas w szampański humor przebojową piosenką o Kasi i Jasiu. Toteż, gdy rozległy się wywoływania „Chaim, Chaim” - zeskoczył z pryczy, stanął pośrodku baraku i zaśpiewał:

Pytała sze Kasza, nadobnego Jasza, Ile Jaszu pól ty masz?

Ile Jaszu pól ty masz?

Mam ja jedno pole, na którym pierdole, Jestem sobie gospodarz!

Przy ostatnich słowach Chaim ujmował się dziarsko pod boki, zadzierał głowę i wyrzucał nogę w górę.

Za czasów austro-węgierskich protoplasta Chaima, stary, pobożny Żyd, w czapce lisiej, czarnym surducie, w białych pończochach do kolan, z fantazyjnie kręconymi pejsami, wyjechał na kurację do Karlsbadu. Przechodnie ze zdumieniem przyglądali się kroczącemu po deptaku patriarsze. Ten odwrócił się i zapytał:

- Co jest? Krakowiaczka nie widżeliszcz?

Zima ustąpiła szybko, jak nadeszła. Znieśliśmy ją w niezłej kondycji. Nie imaly się nas zapalenia płuc ani tyfus, choć mimo odwszenia odzieży w bani ten i ów podejrzanie się drapał. Zdarzały się natomiast często zachorowania na krwawą biegunkę. Jeden barak

zamieniono na podręczny lazaret, szpitalik już nie mieścił chorych. Myślałem, że w przybyłej ekipie sanitarnej zobaczę moją Katię, ale została na swym posterunku.

Chorzy szybciej wracaliby do zdrowia, gdyby nie anty-sanitarne warunki i jedzenie. Przy tego rodzaju chorobie konieczna jest ścisła dieta, a pacjentów lazaretu karmiono tym samym, co zdrowych, pracujących więźniów. A że kucharz z upodobaniem serwował grochówkę, skutki były opłakane: chorzy dostawali krwotoków, co nierzadko kończyło się śmiercią.

Pierwsze dni wiosny wlały w nasze serca otuchę. Może już wreszcie? A tu nic. Monotonia, szarzyzna... Codziennie wymarsze o szóstej rano do roboty, z tym, że już nie w ciemnościach niekończącej się nocy, i powroty w pełni dnia.

Jeden powrót utkwił mi w pamięci na całe życie. Humory nam dopisywały, robota poszła wyjątkowo składnie. Maszerując, śpiewaliśmy sparafrazowaną przez lwowiaków piosenkę:

W dzień deszczowy i ponury, W portkach, w których świecą dziury, Szeregami dzieci  
Lwowa

Idą znów na liesopował!

Hej, koledzy, piły w ręce, Może dadzą chleba więcej, Może da mi Bóg, że powrócę  
znów, I zobaczę miasto Lwów!...

- Skorieje uwiditie swoju żopu bież zierkała! (Prędzej zobaczycie swoją dupę bez lustra!) - zarechotał strażnik. - "A nuka - sposępniał - dawajcie czto to drugoje! (Zaśpiewajcie coś innego!)

Więc my:

Hej, siup, noga w nogę

I jajcami o podłogę!,

- Wot, eto chorosza! - pochwalił i obiecał dodatkową pieriekurkę w następnym dniu.

Przy wrotach zaskoczyła nas nerwowa krzątanka i marsowe miny rozprawiających z ożywieniem strażników. Coś się musiało wydarzyć.

To „coś” poraziło nas przy wieczornym apelu: Niemcy napadli na Związek Radziecki!

Zarządzeniem komendanta okna baraków zaciemniono. Z niepokojem spoglądaliśmy w niebo. Miałem w pamięci niedawne naloty na Łódź i Warszawę. Wtedy chociaż można było szukać schronienia, uciekać do „bezpiecznych” miast.

Opanował nas strach, zdwojony smutek. Nikt już nie myślał o urządzaniu wieczorów humoru. Inter arma silent Musae - w czasie wojny milkną Muzy...

**ZA BRAMĄ BEZ STRAŻY!**

Niespełna dwa lata minęło jak rozstałem się z maszyną do pisania i krajem, a w ilu już zawodach próbowałem swych sił! Szofer (pół godziny), taper, motorniczy (kilka dni), pikolak, drwał, tragarz. Byłem jeszcze poganiaczem wielbłądów, woźnicą, nauczycielem, skoczbruzdą, ale to dalsze dzieje mojej wojennej wędrówki. Na razie, pracując na liesopowale, przyjąłem pół etatu u pana Krawca, jako jego osobisty służący.

Racja, przecież nie wiecie, kto zacz. Imć pan Krawiec również wykonywał obowiązki drwała u Eljana, poza tym codziennie rano z kimś jeszcze, za lepsze talony i garbuszki, taskał kilkadziesiąt kilogramów chleba dla całej brygady, a że apetyt miał nieposkromiony, po powrocie z robót zgłaszał się do skrobania kartofli. Fasował za to z kuchni resztki jedzenia - zupę, groch, kaszę, omaszczone ziemniaki. Z pełnym naczyniem wracał do baraku i zabierał się do konsumpcji, ćkając i mlaszcząc potwornie.

- Panie Krawiec - zwróciłem mu kiedyś uwagę - niech pan je trochę ciszej, tu leżą głodni, to denerwuje...

- Jak się komuś nie podoba, niech się nie patrzy! Zastrany inteligent!

Z nikim nigdy się nie podzielił. Rano wyrzucał na śmietnik nie dojedzone, skwaśniałe żarcie, szedł do roboty, ażeby wieczorem, gdy zmordowani kładliśmy się spać, znowu odbyć pielgrzymkę do kuchni.

Utykał na jedną nogę, jego chód przypominał dreptanie kaczki.

Bez względu na pogodę nie rozstawał się z wytłuszczoną czapą małachajką, a wyszczerbioną, drewnianą łyżkę zatykał za cholewę walonek.

- Panie inteligent! - zawołał kiedyś z wysokości swej pryczy - mam dla pana propozycję. Nie chce mi się chodzić z talonami po jedzenie. Pan będziesz mi przynosił ja będę pana podkarmił. Tu pan masz zadatek! - cisnął mi kromkę czerstwego chleba.

„Gdzie woda była, tam woda będzie” - pomyślałem i ofertę przyjąłem. Gdy humor mu dopisywał, tytułował mnie „panie inteligent”. Gdy go coś ugryzło, dodawał „zastrany”. Przy lada okazji rzucał mięsem. Żeby to chociaż była cielęcina, kawałek schabu, ale, niestety, takimi smakołykami nas nie karmiono. Wziąłem srogi odwet na moim prześladowcy, ale to było później dopiero po kilku latach.

Narzędzia do pracy - piły, topory, kliny, pobieraliśmy i oddawaliśmy na miejscu robót, w instrumentarce. Władał nią diadia Siemion, siwowłosy starzec, ze śmiesznie sterczącymi na czubku nosa okularami.

Był nieocenionym źródłem informacji o tym, co się dzieje na świecie.

Wprawdzie przed kancelarią, w gablotach za szkłem, wylepiano gazety, ale przychodziły z opóźnieniem, a diadia miał najświeższe wiadomości z „radiotoczki”. Poza tym

nie każdy z nas umiał czytać po rosyjsku. - Niechoroszo, riebiata - kręcił głową. - Germańcy nastupajut. Idą przez Białoruś i matuszkę Ukrainę. Wczoraj zajęli Lwów...

Przed oczyma stanęła mi postać kochanej pani Soni, jej męża. Czy zdążyli uciec? Niestety, jak się później dowiedziałem, obydwójce zginęli z rąk hitlerowskich siepaczy. Gdyby mnie wtedy we Lwowie przypadkowo nie zgarnięto razem z Jerzym i Mietkiem, niechybnie podzieliłbym los Melmanów.

Wojna trwała już kilka tygodni. Zaskoczone armie radzieckie cofały się, oddając miasto za miastem. Nad nami niebo było czyste, ale na jak długo? Każdej chwili można się było spodziewać nalotu i bombardowania.

W drodze po jedzenie jak zwykle zatrzymałem się przed gablotą z „Prawdą” i „Izwiestiami”. Konfrontowałem uzyskane od diadi Siemiona informacje z komunikatami Sowinformbiura o wydarzeniach na frontach walk. Prześliznąłem się wzrokiem po nieatrakcyjnie łamanych kolumnach: artykuły mobilizujące do wytężonej pracy przy zbiórce zboża nie interesowały mnie, tak samo posiedzenia komitetów partyjnych - „moja chata skraja, niczewo nie znaju”.

Już chciałem zawrócić, gdy uwagę moją przykuła krótka notatka, wciśnięta między problemowy artykuł na dwie szpalty a doniesienia z zagranicy: w imieniu polskiego rządu emigracyjnego generał Sikorski podpisał ze Związkiem Radzieckim układ o wznowieniu stosunków dyplomatycznych! Gazeta była z lipca 1941 roku.

- Panowie. - zawołałem, wpadając jak bomba do baraku. - Sensacja! Zostały nawiązane stosunki dyplomatyczne między polskim i sowieckim rządem!

Nowina nie wywołała entuzjazmu, jakiego się spodziewałem.

- Co to nam da? - wyraził ktoś swe wątpliwości, wybierając łyżką resztki kaszy z manierki. - Czy to jest dobre dla nas?

Przypomniała mi się moja babcia. Gdy dziadek wracał z miasta z jakąś nowiną, a mogła to być wiadomość o zamachu na cara albo o za-instalowaniu latarni gazowej na naszej ulicy czy o przeprowadzce znajomych, babcia nieodmiennie zadawała jedno i to samo pytanie: „A czy to jest dobrze dla Żydów?”.

- To jest bardzo dobre dla nas wszystkich! Nie rozumiecie, że w ślad za tą umową zmieni się kurs w obozie, będą nas lepiej traktować, możemy oczekiwać aktu łaski, wyjścia na wolność!

Ten i ów sceptycznie pokręcił głową.

- Obóz opuścimy, to pewne. Niemcy nacierają ze wszystkich stron. Przeniosą nas gdzie indziej, dalej od działań wojennych. Może na Sybir?

Nie byłem nigdy zbyt mocny w polityce, słabo orientowałem się w zawitych meandrach dyplomatycznych, jednakże ta wiadomość miała dla mnie niezaprzeczalny ciężar gatunkowy.

Na razie w naszej sytuacji nic się nie zmieniało. Chciałem się wykręcić od pracy fizycznej. Zaproponowałem prorabowi - będę redagował gazetkę obozową: aktualne wiadomości, zarządzenia, wierszyki dla pokrzepienia ducha. Zapalił się do tego nie mniej niż ja.

- Oczen' choroszo! Dam ci tyle, ile trzeba papieru i atramentu. Po przyjściu z lasu pisz sobie, ile chcesz!

Toś ty taki cwaniak? Śmierć frajerom! Z gazetki zrezygnowałem, za to po paru dniach błysnąłem nowym pomysłem, który miał mnie wydzwignąć w hierarchii obozowej bardzo wysoko i podporządkować mojej skromnej osobie wszystkie polskie brygady.

Wyznaczono nam nowy odcinek pracy: budowę nasypu pod kolejkę wąskotorową przeznaczoną do przewozu budulca. Teren, na którym pracowaliśmy, był nierówny, miejscami wznosił się nad ustalony poziom, miejscami opadał. Ziemię ze wzniesień przewoziliśmy taczkami, wysypywaliśmy w pobliżu, skąd zabierały ją inne grupy i również taczkami transportowały do nizinnych miejsc, gdzie ziemi brakowało.

Pomyślałem: a gdyby tak ziemię od razu wozić ze wzniesień do nizin, z pominięciem bezproduktywnego wysypywania po drodze? Dało to kolosalne oszczędności czasu. W dodatku piorunem obliczyłem, ile metrów sześciennych ziemi zawierać będzie formowany nasyp. Gdy prorab biedził się nad liczydłami, przerzucając nerwowo drewniane paciorki na drutach, zastosowałem wzór geometryczny, jedyny zresztą, jaki mi został ze szkolnej edukacji. Dodałem podstawę nasypu do jego wierzchołka, otrzymaną sumę pomnożyłem przez laufmetry, podzieliłem przez dwa i obwieściłem triumfalnie:

- Etowo budiet, grażdanin prorab, dwadcat' czetyre tysiaczi piafsot kubików! (Będzie tego dwadzieścia cztery tysiące pięćset kubików!).

Jeszcze kilka minut męczył się z liczydłami i z uznaniem poklepał mnie po ramieniu.

- Mołodiec! Toczno ugadał!

Po czym odwołał mnie na stronę, zapytał o to i owo.

- Zaproponuję, żebyś został dziesiątnikiem. Masz łeb na karku.

Prorab już wcześniej zwrócił na mnie uwagę. Na liesopowale nie było szaletów. Zastępowały je kopane przez nas doły, które dla przyzwoitości zasłaniało się szczytami - dwuskrzydłowymi parawanikami.

- Ciekawe, kiedy te doły się zapelniają? - medytował głośno któryś z naszych drwali.

- To zależy od tego, ile będziemy dostawali chleba - dorzucił mądrze inny i zaczął obliczać: dół ma tyle a tyle metrów sześciennych, jest nas dwudziestu czterech, licząc po kilogramie chleba na każdego, to...

Wtrąciłem się do dyskusji, wytłumaczyłem, że kilogram zjedzonego chleba to nie kilogram tego, co oddamy, że proces spalania, wpływy atmosferyczne...

Prorab przysłuchiwał się naszej rozmowie, potakiwał moim słowom, a gdy jeszcze teraz zaimponowałem mu nowatorskim pomysłem i dokładnym wyliczeniem kubików nasypu, nie miał żadnych co do mnie wątpliwości.

Do awansu nie doszło. Wieczorem komendant wezwał do siebie Feichenfelda, a gdy ten wrócił z kancelarii, nie mógł z siebie wydobyć słowa, dygotał na całym ciele.

- Pan... panowie... wychodzimy... na wolność!!!

W polskiej zonie zakotłowało się. Radosna nowina lotem błyskawicy obiegła baraki. Bractwo obiegło Feichenfelda, prosząc o szczegóły, termin.

- W najbliższych godzinach mają nadejść szczegółowe instrukcje.

O, Boże!... Koniec naszej udręki. Wolność, wolność!

Twarda sztuka Feichenfeld, który nieraz nie szczędził nam ostrych słów i w ryzach trzymał brygadę, rozkleił się jak dziecko. Łzy ciekły mu po poranych bruzdami policzkach. Wszyscy pociągali nosami, padaliśmy sobie w objęcia.

Nazajutrz już nie wyprowadzono nas do pracy. Ustawiliśmy się przed kancelarią, sam komendant wywoływał po nazwisku i uroczyście wręczał zaświadczenia o zwolnieniu z obozu pracy przymusowej.

Postaram się z pamięci odtworzyć treść tego historycznego dokumentu.

„Na osnovaniu dogowora miezdu sowietskimi a polskimi pravitelstwom amnistirujetsja polskowo grazhdanina... Imiejjet on prawo swobodnowo proziwanija na territorii Sowietkowo Sojuza za iskluczenijem oblastnych gorodow, zaprietnych zon i miestnosti obrazowannyh na wojennom polozenii”.

Chyba nie trzeba tłumaczyć. Zostaliśmy objęci amnestią i mamy prawo przebywania w dowolnie wybranej miejscowości na ziemiach radzieckich z wyjątkiem miast wojewódzkich, zamkniętych stref i terenów objętych działaniami wojennymi.

Dokąd chcecie jechać? W zależności od wybranej trasy wyliczano dni podróży, od tego zależała suma wypłacanych pieniędzy na bilety kolejowe i ilość chleba na drogę.

Różnie różni wybierali. Jednemu spodobały się okolice Astrachania, innego znącił obwód kujbyszewski, jeszcze komuś przypadła do gustu Gruzja. Postanowiłem zdać się na



zrządzenie losu. Podszedłem do wiszącej na ścianie mapy, zamknąłem oczy i wycelowałem palec.

- Machaczkała!

- Co cię ciągnie w tamte strony? - zdziwił się komendant.

- Od lat mieszka tam moja ciotka. Dawno nie miałem od niej wiadomości...

Machaczkała, to Machaczkała! Wydano mi skierowanie, wypłacono diety, po chleb kazano się zgłosić w dniu opuszczenia obozu.

Kilku stojących za mną kolegów wiodło ożywioną rozmowę.

- Słyszałeś? Adam jedzie do jakiejś Machaczkały. Jedźmy tam też, to cwaniak, miał zostać naszym dziesiątnikiem!

Poprosiłem proraba o podręcznik geografii. Muszę przecież wiedzieć coś bliższego o miejscowości, do której, Bóg wie na jak długo, mam się udać. I po kwadransie byłem obkuty jak przed egzaminem w szkole.

- Dlaczego pan wybrałeś akurat to miejsce? - dopytywali się ci, co poszli za moim przykładem. - Co tam jest? Można się będzie za coś załapać? Gdzie leży ta cała Machaczkała?

- Nie wiecie? To słynny port nad Morzem Kaspijskim, zatrzesienie ryb, wytwórnie win. Bogate złoża ropy naftowej, a gdzie nafta, tam dobrobyt. To stolica Dagestańskiej Autonomicznej Republiki Rad! - popisałem się z nieukrywaną dumą.

- Pan wybrałeś, pan wiesz najlepiej - orzekli moi przyszli towarzysze podróży. Było ich ośmiu może dziewięciu. Żałowałem, że Krawiec z nami nie pojedzie, dałbym mu szkołę.

Zgłosiliśmy się do magazynu po odbiór oddanych na przechowanie rzeczy. Odzyskałem kieszonkową „Cymę” ze srebrnym łańcuszkiem i dewizką, złotą obrączkę i kilkaset rubli, z których bezceremonialnie ogołociłem kolegów w koszarach na Piotra i Pawła. Gdy okazałem karteluszek z pokwitowaniem przyjęcia mego ubrania z pepity, które wręczyłem ekipie przybyłej do obozu ciężarówką, magazynier pokręcił głową.

- Ty też? Już kilku przed tobą miało takie „pokwitowania”. To jakaś afera, powiadomię komendanta.

Komendant o niczym nie wiedział. Zrozumieliśmy, że tamte rzeczy przepadły. Padliśmy ofiarą bandyckiego najazdu rabunkowego - i to gdzie! W pilnie strzeżonym obozie, skąd nikt nie mógł wyjść. Nie ulega wątpliwości, że członkowie tej ekipy działali w zмовie ze strażnikami, no bo jak inaczej dostaliby się do tak obstawionego obozu?

Niektórzy z nas zachowali swoje cywilne ubrania, koszule, obuwie. Przebrali się, a ja, niestety, zostałem w tym, co miałem na sobie - w drelichowych spodniach, takiejż bluzie i

trzewikach na podeszwie z opony samochodowej. W podobnych, choć nie było wówczas samochodów, wędrowali Żydzi z Egiptu.

Po południu komendant wezwał mnie do kancelarii.

- Prorab dużo dobrego mówił o tobie. Zostań z nami jako wolnonajomnyj. Dostaniesz stałą pensję, dobre jedzenie, urządzone pokój, niklirowannuju krowat' i i tufli na rezinowym chodu... (łóżko niklowe i pantofle na gumowej podeszwie...)

- Bardzo dziękuję, ale nie skorzystam. Chcę być razem z moimi towarzyszami. A w Polsce też miałem swój pokój w dużym mieszkaniu, szafę pełną ubrań, kilka par pantofli na skórzanej podeszwie, a zamiast na niklowym łóżku spałem na wygodnym tapczanie! - oznajmiłem z nieukrywaną satysfakcją.

Twarz komendanta zasępiła się.

- Opiat' naczinajesz? Wychwalasz życie w sanacyjnej Polsce? Mało ci było?

Spokorniałem. Swą decyzję opuszczenia obozu poparłem innymi argumentami. Wojna niebawem się skończy, armia radziecka odniesie bezapelacyjne zwycięstwo nad Hitlerem, wrócę do swej ojczyzny, do rodziny, do swego zawodu.

- Twoja sprawa. Nu, proszczaj, nie pomnij lichowo! (Żegnaj, nie wspominaj nas źle!)

Wymarsz wyznaczono na następny dzień. Któż zdoła opisać nasze uczucia, gdy po raz pierwszy przekraczaliśmy wrota obozu bez straży?

Maszerowaliśmy z przyzwyczajenia czwórkami, jak uskrzydleni, toboły na plecach nie ciążyły.

Stacja kolejowa znajdowała się w odległości kilku kilometrów. Feichenfeld, nadal uważaliśmy go za swego przywódcę, zarządził krótki popas na polanie koło lasu. I kiedy leżeliśmy pokotem na ziemi, gorączkowo rozprawiając o swoich dalszych planach, nagle ktoś zawołał:

- Patrzcie, kto idzie!

Polną dróżką szło dwóch wyelegantowanych facetów ubranych jak z igły, w pięknie skrojonych marynarkach, koszulach, pod krawatami, wysokich błyszczących butach z wpuszczonymi spodniami golife.

- Szlama! Kuba!

Przypadli do nas, ściskając wszystkich po kolei.

- Co się z wami działo? Oplakiwaliśmy was!

Obaj po niefortunnej ucieczce trafili do więzienia. A że jeden był dobrym krawcem, drugi nie mniej wykwalifikowanym mistrzem kopyta, zatrudniono ich przy szyciu odzieży i obuwia dla naczalstwa.

- Ptasiego mleka nam nie brakowało. Żarcia ot tak! - Kuba sięgnął palcem po dziurki nosa. - Dostawaliśmy pieniądze, trochę się kupiło, trochę zaoszczędziło, no i sami widzicie - okręcił się dumnie na pięcie.

Na skraju lasu, na kępie mchu, wypoczywał, wyciągnięty jak długi, podrabinek z naszej brygady. Przypomnił mi się inżynier z obozowego szpitalika.

- Znam fraszkę o panu. Żyd odpoczywający na leśnym runie, to „Amchu na mchu”!

Na pociąg do Iwanowa, gdzie mieliśmy się poprzesiadać na zestawy wagonów zdążających w wybranych kierunkach, czekaliśmy kilka godzin. Podróż odbyliśmy w komforcie, w osobowych przedziałach, rozpierając się wygodnie na ławkach. W jakże innych warunkach i innych nastrojach jechaliśmy w tę stronę! Za oknami roztaczał się dawno nie widziany krajobraz: uprawne pola, zagrody wiejskie, pasące się kro-wy, kury, i ludzie, ludzie, tacy sami jak my - wolni!

Czas jazdy skracaliśmy snuciem planów na najbliższą przyszłość, opowiadaniem dowcipów, piosenkami. Chaim zaśpiewał jeszcze raz smętną balladę o Kasi i Jasiu, co miał tylko jedno pole, a ja uczyłem towarzyszy piosenek, które przyswoiłem sobie u Melmanów, słuchając popisów wokalnych komandira z Kijowa.

Kompania podchwytywała ostatnie wersy, przedział tętnił gwarem i śmiechem. I aniśmy się obejrżeli, jak pociąg wysadził nas w Iwanowie, dawnym Iwanowo-Wozniesieńsku, słynącym z przemysłu włókienniczego.. Przenocowaliśmy w „ewakopunkcie”, a rano całą grupą udaliśmy się na śniadanie do fabryki-kuchni.

Ulicami defilowały oddziały krasnoarmiejców. Śpiewali znajomą piosenkę, ale ze zmienionymi słowami:

Jeśli zawtra wojna, piele jeszcze wczera, a siewodnia wojna nastąpiła...

Fabryka-kuchnia, gigantyczna stołówka obliczona na kilkuset konsumentów, serwowała kaszę jaglaną okraszoną roślinnym tłuszczem.

Zamówiłem bodaj jedenaście porcji, inni podobnie. Miski ustawiliśmy w szeregu na stole i ku zdumieniu obecnych opróżnialiśmy je taśmowo, zagryzając zafasowanym w obozie chlebem. Szybko zorientowano się, jacy to goście zwalili się do stołówki. Kilka kobiet podeszło do najbliższej siedzących, jedna rozdzieliła pomidory, inna opróżniła z owoców i ogórków swą ceratową torbę.

Nadszedł moment rozstania. Wymieniliśmy swoje domowe adresy w Polsce. Jak się wojna skończy, koniecznie musimy się spotkać, po-wspominać przeżyte wspólnie dni.

Pociąg do Machaczkały odchodził pierwszy. Sporo nas jechało w tym kierunku, po drodze czekały przesiadki. Ja i moja grupa podopiecznych zajęliśmy cały przedział.

Współtowarzysze wyprawy prześcigali się w świadczeniu mi różnych usług - widzieli we mnie swego przyszłego przywódcę.

Machaczkała przywitała nas niebywałym gwarem. Perony, poczekalnie dworca kłębiły się od tłumów. Pociąg za pociągiem wysadzał uciekinierów z terenów zagrożonych najazdem Niemców. Dyżurujący pracownicy „Ewakopunktu” skierowali nas do tymczasowego miejsca pobytu.

- Dostaniecie noclegi, a tych, co zechcą tu pozostać, zatrudnimy, w rejonie. Dla nikogo nie braknie roboty?

Ano zobaczymy. Najpierw musimy odpocząć, podjeść, dopiero potem rozejrzemy się w sytuacji.

Baraki „ewakopunktu” okazały się komfortem w porównaniu z obozowymi. Niezbyt duże pokoje, wygodne sienniki, poduszki, szafki na osobiste rzeczy, umywalki z bieżącą wodą, ubikacje na korytarzu.

Rano odbyliśmy krótką naradę. W Machaczkałe nas nie zameldują (miasto wojewódzkie), zanim jednak przeniesiemy się do rejonu, warto podreperować trochę budżety. Ktoś doradził: „rybnyj zawód”, wytwórnia konserw rybnych. Pojechaliśmy tramwajem, wykupując bilety, jak przystało na przyzwoitych obywateli, bo do Iwanowa podróżowaliśmy na gapę.

Dyrektor wytwórni (dotarliśmy do niego dzięki moim perswazjom, że grupa polskich grażdan, amnestirowanych na osnowanii itd. ma do niego bardzo pilny interes) wysłuchał nas życzliwie i powiedział:

- Nie dacie rady zarobić tu na życie. Praca trudna, wymagająca znajomości fachu. Pokaleczycie sobie ręce, rany, do których dostanie się jad rybi, goją się ciężko. Radzę z całego serca - poszukajcie sobie czegoś innego.

Wizyta w fabryce włókienniczej również zakończyła się fiaskiem.

Owszem, poszukują robotników - specjalistów: tkaczy, przędzalników, snowaczy, farbiarzy, a nikt z nas nie miał pojęcia o tych zawodach.

- Mam pomysł - powiedziałem na widok zawiedzionych min moich podopiecznych. - Widzieliście te tłumy przyjezdnych na dworcu? Będzie przybywać coraz więcej ludzi, każdy wiezie ciężkie walizy, to nie to, co my. Pomożemy im w przenoszeniu bagaży. Zostaniemy nosilszcznikami!

- A czy tutejsi tragarze nas nie przegonią? - wyraził obawę Popiel, ten sam, co deklamował wierszyk o mieścinie, w której mieszka „tysiąc Żydków na sto goji”.

- Nic się pan nie bój. Nie widziałem ani jednego zawodowego tragarza na dworcu. Co zdrowszych wzięto do wojska, a jeśli nawet jeden czy dwóch się zjawi, będzie to kropla w morzu potrzeb. Idziemy!

Pomysł okazał się trafny. Podróżni ustawiali się do nas w kolejce.

- Nosilszczik! Nosilszczik! - wołano ze wszystkich stron, a my chętnie świadczyliśmy usługi przenosząc bagaże do ewakopunktu. O znalezieniu wolnego miejsca w hotelach, nawet za bajonkie sumy, nie było co marzyć. Poza pieniędzmi wpychano nam do ręki kiełbasy, białe pieczywo, masło śmietankowe, owoce, czekoladę. Każdy już dysponował sporą gotówką. Pieniądze chowaliśmy za koszulę w obawie zetknięcia się z „karmanszczikami”, masowo grasującymi złodziejami kieszonkowymi.

Tak więc do okazałej listy wykonywanych zawodów życie dopisało mi jeszcze jeden: nosilszczik. A propos...

Na dworzec wtoczył się przepełniony pociąg. W oknie wagonu stanął zażyły obywatel.

- Nosilszczik! Nosilszczik! - zawołał.

Podszedł tragarz.

- Pobolsze, pobolsze!

„Ten to dopiero musi wieźć bagaż” - pomyśleli tragarze i jeden za drugim zmierzali do pociągu.

- Wsie! Wsie nosilszcziki ka mnie!

A gdy przy wagonie skupiło się dwudziestu kilku tragarzy, grażdanin z okna zawołał, wznosząc rękę w powitalnym geście:

- Płamiennyj priwiet ot wsiech nosilszczikow iz Taganroga! (Gorące pozdrowienia od wszystkich tragarzy z Taganrogu!)

Nam na szczęście trafiali się lepsi klienci.

INDŻIBIO, AKA!

Przedwojenna fama głosiła, że miastem najgłupszych na świecie Żydów jest nasz Chełm. Na poparcie tej tezy kursowało mnóstwo anegdot. Oto jedna z nich.

W chełmskim kahale ktoś doszedł do wniosku, iż całą okolicę szpeci podmiejski pagórek. Zaapelowano zatem do członków gminy, żeby go przesunęli jak najdalej od miasta. Zebrało się kilkuset ochotników i dawaj - popychać z wszystkich stron! A że upał doskwierał, rzucili z siebie płaszcze i marynarki na kupę. Podpatrzyli to miejscowi złodzieje i unieśli całą garderobę. Inicjator przedsięwzięcia odwrócił się w pewnej chwili i triumfalnie obwieścił:

- Sy git, chewajrim! Odepchnęliśmy pagórek o ładny kawałek. Spójrzcie, już nie widać naszych ubrań!

Jeśli idzie o mnie, mam pewne wątpliwości, czy rzeczywiście palmę pierwszeństwa za głupotę przyznano właściwie. Moimi kandydatami są raczej współplemieńcy chełmian z Buchary, zwłaszcza jeden, z którym los mnie zetknął. I biję się pokornie w piersi - bezczelnie wykorzystałem tę jego ułomność...

Na linii kolejowej przebiegającej przez Machaczkałę stał kiosk z pieczywem. Sprzedawcą był Żyd z Buchary, cieszącej się podobną sławą jak nasz Chełm. Postronne osoby nie mogły korzystać z tego punktu dystrybucyjnego. Przeznaczony był wyłącznie dla żołnierzy jadących tą trasą na front. Gdy pociąg zatrzymywał się na stacji, mogli oni bez kartek, w dowolnych ilościach, kupować nieosiągalne w normalnej sprzedaży białe pieczywo.

- Coś mi się widzi - powiedziałem do mojej gromadki - że dzisiaj na kolację zjemy biały chlebuś z pszennej mąki, jak u mamy przed wojną! Podeszedłem do kiosku i zagadnąłem sprzedawcę:

- Amchu?

- Amchu - potwierdził, a że znał również odpowiednik tego słowa w języku jidysz, wycelował we mnie palec.

- AJid?

- A Jid - przytaknąłem. - Z Polski...

- Co tu robi Żyd z Polski?

Rozejrzałem się dokoła konspiracyjnie, przyłożyłem palec do ust i szepnąłem:

- Tsss... Jestem polskim generałem...

- A Jid polskij gienierał... - cmoknął z podziwu. - A gdzie twoja armia?

Wskazałem na stłoczoną gromadkę zuchów.

- Formuje się. To pododdział, przyprowadziłem ich na ćwiczenia.

Kazałem chłopcom wziąć na ramię przygotowane kije i strzeliłem rozkazem:

- Na moją komendę - biegiem marsz!

Obiegli dwa razy kiosk dokoła, stanęli na baczność i znowu biegiem marsz.

- Rozenkranc, padnij!

- Dlaczego coś ja? Ja mam wątrobę, niech padnie Popiel, on jest młodszy.

- Padnij, bo zamiast białego chleba dostaniesz...

Po kwadransie ćwiczeń kioskarz przywołał mnie skinieniem głowy.

- Czewo choczieta polskij gienierał?

- Daj nam białego pieczywa, po dwa bochenki dla każdego!

Bez szemrania spełnił polecenie. Nazajutrz zjawiliśmy się w komplecie z workami. Uginając się pod ciężarem zafasowanego pieczywa wróciliśmy do „ewakopunktu”, sprzedawszy część łupu po drodze.

Ale trzeciego dnia kioskarcz z Buchary widać skapował się, że coś tu nie tak, bo zażądał okazania legitymacji oficerskiej. Może więc jednak zbyt pochopnie pozbawiłem ziomków z Chełma palmy pierwszeństwa?

Wypadki po białe pieczywo stanowiły drobny epizod w naszym zawodzie nosilszczików. Nadal obsługiwaliśmy pasażerów przybywających do Machaczkały z odległych zakątków Rosji.

Gdy przy pomocy kolegi ładowałem sobie na plecy dwie walizy, usłyszałem za sobą:

- Przepraszam, czy pan Adaś z Łodzi?

Z wrażenia ładunek o mało nie wylądował na betonie peronu.

-.Tak... to ja...

- Pan mnie nie zna, chodziłam w Łodzi do gimnazjum Hochsteinowej na rogu Zielonej i Wólczańskiej. Pamiętam pańskie siostry...

Tak poznałem Ludmiłę, moją przyszlą żonę i matkę dwojga naszych dzieci. Przyjechała tu razem z wujkiem i jego żoną.

A CO panią tu sprowadza? To znaczy...

- Chcemy się udać dalej, do Azji Środkowej. W Machaczkałe też może być gorąco. Niemcy ostrzą sobie apetyt na Baku, zagłębienie naftowe, to niedaleko stąd. A co pan zamierza?

- Sam jeszcze nie wiem. Na razie tutaj się zatrzymaliśmy. Pracuję jako... - spuściłem wstydliwie głowę. - Przed wojną robiłem coś innego...

- Wiem, pracował pan w „Expressie”. A Mamusię Fiszman pan pamięta? Miała takie śliczne warkocze. Zastrzelił ją na Wiśniowej Górze malarz... - Oczywiście, że pamiętam! I Rutę Klasner, jej Ojciec też był malarzem, ale pokojowym, Dolkę Szenwald... Pani do ewakopunktu?

- Tak. Proszę, państwo się poznają. Masja, moja ciocia, Grisza, mój wujek...

Po drodze, w krótkich, urywanych słowach, przypominaliśmy sobie wspólnych kolegów, koleżanki ze szkoły, sklepy, ulice...

Ludmiła opuściła Łódź zaraz po wkroczeniu Niemców, pojechała do Odessy, do swojej rodziny, dostała paszport radziecki z paragrafem, jej też nie wolno było zamieszkać w miastach wojewódzkich, zapietnych zonach itd.

- Chcemy się przedostać przez Morze Kaspijskie do Tadżykistanu, nad afgańską granicę. Może pan się z nami zabierze?

- Wątpię, czy na moje udostowierenijsze sprzedadzą mi bilet na statek.

- Zobaczymy, może da się coś załatwić...

Perspektywa eskapady do Tadżykistanu nęciła mnie. Kraj granicy nie tylko z Afganistanem, ale i Kirgizją, Chinami... Egzotyka, o jakiej często marzyłem. No i tak daleko Niemcy się chyba nie zapuszczają...

Nazajutrz nieoczekiwanie wylądowałem na dziedzińcu miejscowych koszar. Wszyscy Polacy w wieku poborowym zostali tu doprowadzeni. Miała przecież powstać na terytorium Związku Radzieckiego armia polska i każdy obywatel polski powinien stanąć przed komisją lekarską. Jak inne, podobne akcje w tym czasie, i ta miała charakter penitencjarny - dziedzińca nie wolno było opuścić bez dokumentu komisji, co deprymująco na nas wpłynęło. Mieliśmy świeżo w pamięci Rybińskij Hydrouzieł...

Dziedziniec okolony był płotem o wysokich sztachetach. Na ulicy gromadziły się grupki ciekawskich. Ujrzałem wśród nich Ludmiłę.

Wiedziała, co się stało, przyniosła mi coś do jedzenia. Porozmawialiśmy chwilę, po czym poprosiłem kolegę, żeby mnie podsadził i smyrnąłem na drugą stronę. Nie pali się, na komisję zgłoszę się w innym mieście, i tak mam kategorię „D”!

Wujek Ludmiły bez trudu dostał trzy bilety na statek płynący do Krasnowodzka, portu z drugiej strony morza. Miał odznaczenia, odpowiednie dokumenty podróży. Mnie odprawiono z kwitkiem. Nie przejąłem się tym zbytnio, wierzyłem w swoją szczęśliwą gwiazdę.

Ułożyłem plan dostania się na statek bez biletu. Masja, Ludmiła i Grisza przejdą na pokład, przeczekać kilka chwil, Grisza będzie trzymał w pogotowiu jeden z ich biletów, pobiegnę za nimi, wezmę bilet i okażę milicjantom kontrolującym razem z marynarzami pasażerów, a jak się przedostanę, przez kordon, moja w tym głowa.

Zobaczywszy Ludmiłę, Masję i Griszę na trapie, podniosłem wrzask:

- Karau! Utaszczili moi dokumenty!!

Utrata dokumentów w czasie wojny i to przez młodego mężczyznę w wieku poborowym to tak, jak cywilna śmierć. Powstało zamieszanie, milicjanci stracili na moment głowę, przepuścili mnie. Z workiem na plecach pobiegłem do Griszy, wyrwałem mu bilet, wróciłem i okazując dokument podróży przedstawicielom ładu publicznego zawołałem:

- Wsio w poriadku! Mój towarzysz przez pomyłkę zabrał bilet i udostowierenijsze! Pożałsta, prowiertie!

Sprawdzili - i droga wolna! Sapiąc ze zmęczenia, pobrnąłem na statek. Grisza pokręcił z uznaniem głową.



- To był numer jak z filmu sensacyjnego. Już cię stąd nie ruszą, ale na wszelki wypadek zaszyj się w jakimś zakamarku.

Przycupnąłem za zwojem lin okrętowych. Nikt mnie nie niepokoił..

Ciągniony przez holowniki statek odbił od brzegu i wypłynął na pełne morze.

Nie pamiętam, jak długo trwała ta podróż. Dobę, dwie? I uleciało mi z pamięci, czy mieliśmy kajutę, czy nocowaliśmy pod gołym niebem, na pokładzie. Całą drogę trzęsło niesamowicie. Pasażerowie na wyścigi biegali do burty, karmili ryby, czym kto miał w żołądku. Na mnie kołysanie statku nie sprawiało żadnego wrażenia. W sukurs przyszedł mój uszkodzony błędnik. Nie reagował na przechyły, na martwą falę, tak samo jak pozostaje obojętny na wypity alkohol. I to jedna z przyczyn mojej abstynencji. Po prostu wódka na mnie nie działa.

Krasnowodzk pękał w szwach. Na przystani było tłoczno jak na wiecu. Ledwo spuszczone trapy, na pokład wdarli się ludzie z naczyniami w rękę.

- Dajcie nam słodkiej wody!

Wody nie ma? Nie mogłem tego pojąć. Wszystko stało się jasne, gdy na dole chciałem obmyć ręce pod hydrantem. Mydło nie pieniało się! Słona, morska woda pozbawia je tej właściwości.

To ci dopiero heca! Jak wytrzymamy bez zwykłej wody? Pragnienie można ugasić, dokoła pełno wózków, sprzedają „Mors”, znakomity napój orzeźwiający z płatków róży, ale w czym się myć, jak wypłukać naczynia po jedzeniu?

Masja, Ludmiła i Grisza zawierzili memu sprytowi. Nie zawiedli się. Zdobyłem dwie „bakłaszki”, takie większe manierki, i z Griszą udałem się na polowanie. On z wiaderkiem w rękę czekał na ulicy, ja odwiedzałem różne przedsiębiorstwa i urzędy, mówiłem, że szukam pracy, podawałem się to za inżyniera, to za księgowego, a gdy zostawałem sam w pokoju czy na korytarzu, odkręcałem kurki stojących tam pojemników ze słodką wodą, napełniałem naczynia i zawartość ich wlewałem do trzymanego przez Griszę wiaderka, po czym wracaliśmy do naszych pań.

Pragnąc uniknąć nieprzyjemności w dalszych etapach wędrówki, zgłosiłem się na ochotnika do Wojenkomatu. Stałem przed komisją. Wydano mi dokument stwierdzający, że nadaję się do pospolitego ruszenia bez broni.

- Jaki jest wasz zawód?

- Szofer - odparłem bez zająknięcia.

Na ulicy przeczytałem, że zakwalifikowano mnie jako szofera-aktorzystę! No cóż, widać na aktorzystów jest tu duży popyt...

- Jutro chcemy jechać dalej - powiedział Grisza. - Bezpośrednie-go połączenia ze Stalinabadem nie ma, czeka nas przesiadka w Taszkencie. Ja na moją komandirówkę dostanę trzy bilety, ale co z tobą?

Nie chcielibyśmy się rozstawać, a tu ludzie tygodniami oblegają kasy na dworcu...

Nieraz zadaję sobie pytanie, jak mi się udawało wówczas wychodzić obronną ręką z tych wszystkich tarapatów. Niewątpliwie pomagał tupet graniczący z bezczelnością. Jednak i na pomysłach mi nie zbywało. Właśnie nowy koncept strzelił mi do łepetyny.

Wróciłem do Wojenkomatu, gdzie kilka godzin temu poddałem się, oględzinom lekarskim, i w swym stroju obozowym wtargnąłem do pokoju komendanta. Był chyba w randze pułkownika.

- Jestem polskim obywatelem, objętym amnestią na podstawie... - wyrecytowałem znaną na pamięć treść mego zaświadczenia.

- W czom mogu byt' poliezen? (W czym mogę być pomocny?)

- Chcę się dostać do Tadżykistanu, pojechało tam sporo naszych. Łatwiej mi będzie urządzić się wśród nich, przeżyć razem lata wojny...

- Nie widzę przeszkód.

- Tak, ale jak się docisnąć do kasy kolejowej? Mrowie narodu, a ja nie mogę tu dłużej zostać, pieniądze mi się kończą. Sami rozumiecie, towarzyszu, więc proszę o jakieś pisemko, żeby mi od ręki, bez kolejki, sprzedali bilet...

Wojenkom - komendant wojskowy miasta Krasnowodzk wypisał zaświadczenie, upoważniające do bezpłatnego przejazdu do Stalinabadu (Duszanbe). przyłożył okrągłą pieczętkę, życzył szybkiego do-tarcia do swoich i polecił zaopatrzyć mnie w wiktuały na drogę.

I tak znowu doszłusowałem do obu pań i Griszy.

O Taszkencie, najbliższej naszej stacji przesiadkowej, miałem mętne pojęcie. Owszem, czytałem przed laty książkę, „Taszkient, chlebnyj gorod”, ale nawet nazwisko autora nie utrzymało się w pamięci.

Wiedziałem tylko tyle, że to stolica Uzbekistanu, że ongiś panowali tu Arabowie, że pamiątki kultury, architektury - i na tym kończyła się moja wiedza o tym największym mieście w azjatyckiej części Związku Radzieckiego.

I chociaż spędziliśmy tam dwa dni, nic właściwie nie zobaczyłem, bo w oczekiwaniu na pociąg do Stalinabadu na krok nie ruszyliśmy się z poczekalni dworca kolejowego.

Natomiast na temat Samarkandy, drugiego co do wielkości miasta Uzbekistanu, przez które również wiodła nasza trasa, mój zasób wiadomości był znacznie szerszy. Zawdzięczam

to Tamerlanowi, a właściwie piosence o nim, grałem ją i śpiewałem w szkolnych latach. Jak ona brzmiała?

Tamerlan to dziki był Azjata, Kirgizów wielki księżę, ich wódz i pan,

Tamerlan przez miasta gnał jak szatan, Gdzie stąpnął nogą, tam już kwiatów więdnął łan.

Miasta, padał dziewcząt biały kwiat...

Kuternoga Tamerlan, zwany też z racji swego kalectwa Timorem Chromym, po podbiciu sąsiednich państw przeniósł się do Samarkandy, odbudował ją od podstaw, bowiem jego poprzednik, okrutny Czingis-chan, zrównał był to miasto z ziemią, a mieszkańców wyrznął w pień.

To wszystko pod wpływem owej piosenki przypomniało mi się w pociągu, który opuściwszy wreszcie Taszcent, po krótkim postoju w Samarkandzie ruszył w kierunku górzystych terenów Tadżykistanu, uwożąc naszą czwórkę i moje rozbudzone wspomnienia ze szkolnych lat...

Urzędnik Gorispołkomu - Gorodskowo Ispołnitielnowo Komitietu goroda Stalinabad, odpowiednika naszego Urzędu Miasta, popatrzył na dokumenty.

- Tutaj nie macie czego szukać, tym bardziej że towarzysz - wskazał na mnie - nie ma prawa stałego pobytu w mieście wojewódzkim, tak samo towarzysza - obrócił wzrok na Ludmiłę. - Ale cała okolica jest do waszej dyspozycji. Praca tam czeka, a wy - znowu obdarzył mnie spojrzeniem - macie wspaniały zawód. Traktorzysta, ho, ho! Na rękach będą was nosić!

I wypisał skierowania do kołchozu w miejscowości Czeptura, oddalonej od stolicy o kilkanaście kilometrów. W moim jak byk „stało napisane”: „Kieruję do was traktorzystę-mechanika (co za błyskawiczny awans!), zapewnijcie mu odpowiednie warunki pracy, kwaterę i zaprowiantowanie”. Podpis, okrągła pieczęć, bez której, jak nieraz miałem okazję przekonać się, żaden dokument nie miał ciężaru gatunkowego.

Przyjął nas przewodniczący kołchozu, Tadżyk około sześćdziesiąt-ki, we wzorzystym, jedwabnym chałacie, bajecznie kolorowej tiubiatejce na głowie. Przeczytał skierowanie, na kobiety ledwo spojrzał, Griszy potrząsnął rękę po europejsku, a mnie o mało nie zadusił w objęciach.

- Indzibio, aka! (Witaj, bracie, bywaj!),

Ceremonia przywitania się i zawarcia ze mną znajomości przebiegła według rytuału. Najpierw Tadżyk objął mnie w pasie opierając swój korpus na moim prawym, potem na

lewym barku, cofnął się o krok i schyliwszy kornie głowę potarł kilkakrotnie podbródek, następnie przyłożył sobie rękę do serca.

- Sam Allach cię zesłał. Właśnie w najgorętszym okresie robót polnych stanął traktor. Nasz traktorzysta na zwolnieniu, choruje, nie ma go kim zastąpić i doprowadzić maszynę do porządku!

Ładna historia, jak wybrnąć z tej kabały? Postanowiłem grać na zwłokę.

- Najpierw musimy wypocząć. Przebyliśmy bardzo daleką i męczącą drogę. A o traktorze później porozmawiamy...

Ulokował nas w jednym z nielicznych domków drewnianych, z kuchnią, kominem na dachu, oszklonymi oknami. Członkowie kołchozu, pobratymcy przewodniczącego, mieszkali w prymitywnych lepiankach o glinianych podłogach. W otworach okiennych zamiast szyb przeciągnięte były mało przezroczyste pęcherze zwierzęce, a zamiast kominów - okrągłe otwory w dachu, które walały w niebo dym...

- Zjecie u mnie posiłek - zaprosił nas do swego saraju.

Rozsiedliśmy się w kucki na pokrytej słomianymi matami podłodze. Mardżion, żona gospodarza, przyniosła lepioski, wspaniałe, smakowite placki pieczone domowym przemysłem, postawiła przed nami wielgachną micę z pilawem - i znikła.

Żadnych nakryć, łyżek, talerzy. Jak się zabrać do jedzenia?

Gospodarz wybawił nas z kłopotu. Zanurzył dłoń w misce, nabrał spracowaną ręką garść ryżu, włożył w usta i uczynił zapraszający gest.

- Jedzcie, proszę, jedzcie!

Pilaw to ryż z kawałkami baraniny, smażony w oliwie, przyprawiony pikantnymi korzeniami. Po zdjęciu potrawy z pieca trzyma się ją jakiś czas pod kołdrą, żeby „doszła”, a cała ta procedura sprawia, że ryż jest sypki jak w stanie surowym, każde ziarenko, przesycone tłuszczem, wielkości pęczaku.

Ale tak rękami, wprost z miczy, wszyscy z jednej? Chwila wahania i... poszliśmy za przykładem Tadżyka. Mardżion, żona, wniosła pijałki, zdobne porcelanowe miseczki, dzban z kuk-czajem, czyli zieloną herbatą, tradycyjnym napojem, niezawodnym w upalne dni - i znowu się ulotniła, bo kobiety nie mogą zasiadać przy wspólnym „stole” z mężczyznami, zwłaszcza obcymi.

Nazajutrz poszedłem przyjrzeć się z bliska stojącemu samotnie w polu traktorowi. Sam jego widok mógł przyprawić o drżenie łydek.

Był to „Staliniec”, na gąsienicach, potworny, olbrzymi jak smok. Z przodu koło zamachowe z okrągłymi otworami. Żeby zapuścić silnik, należało w jeden z tych otworów wsadzić dzidę i szarpnąć z całej siły do dołu. Brr!

Kręcący się w pobliżu czaban - pastuch owiec uświadomił mnie, że przy spóźnionym zapłonie koło zamachowe daje raptownie do tyłu. Kiedyś wyrzucona dzida przebiła na wylot pasącą się opodal krowę. Na pewno drań przesadził, ale wystarczyło, żeby dusza uciekła mi w pięty.

Gdy tak krążyłem w bezpiecznej odległości dokoła potwora, podeszło kilku chłopców, uczniów FZU (Fabryczesko zawodskoję ucziliszcze), sposobiącego do zawodu kierowców i traktorzystów..

Wybrałem najśmielszego.

- Chcesz zarobić dychę?

- Chcę.

- To zapuść silnik!

Chłopak pogmerał w maszynierii, wyjął monetę dwudziestokopiejkową, potarł nią magneto, wskoczył na siodełko, coś tam nacisnął - silnik zagrał!

- Wsiadajcie, wujku, wszystko w porządeczku!

Warkot traktora zwabił przewodniczącego i kilku kołchoźników.

- Mołodiec! - zawołał gospodarz. Opuścił brony i przekrzykując szum silnika polecił mi przejechać wzdłuż bruzd. - Pachaj, aka, pachaj! (Orz, bracie, orz!) Dokoła!

Kierować umiałem. Objechałem kilka razy płataninę bruzd, wreszcie przewodniczący dał znak ręką: chwatit!

Ba, ale jak zatrzymać tego smoka?

- Chwatit! - wołał Tadżyk, biegnąc za traktorem i załamując ręce.

- Złaż! Słyszysz? Złaż!!

Dobrze powiedzieć, tylko zapomniałem spytać owego chłopca, co należy nacisnąć, za co pociągnąć, żeby osadzić w miejscu to bydlę.

I byłbym nie wiem jak długo krążył po polu, ryjąc się coraz głębiej, gdyby nie skończył się zapas ligroiny w baku. Silnik zrobił pyk\* pyk - i traktor stanął.

Co było potem, lepiej nie mówić. Przewodniczący kołchozu kazał nam migiem wynosić się. Nawet nie zapamiętałem, jak po tadżycku brzmi „Żegnaj, bracie!”. W uszach brzmiało mi przyjemne, powitalne „Indżibio, aka”...

U STÓP PAMIRU

Popatrzcie na mapę fizyczną Azji. Ten ciemnobrązowy łańcuch górski na granicy Tadżykistanu i Afganistanu - to Pamir, dach świata, po-kryty wiecznymi lodowcami i śniegiem. U podnóża tego giganta, z najwyższym szczytem sięgającym siedmiu i pół tysiąca metrów nad poziomem morza, przycupnęła niewielka osada w rejonie gissarskim - Chanaka. To tutaj autor tych wspomnień sprzed pół wieku przeżył trzy długie lata, z dala od swego rodzinnego miasta i zgiełku wojny.

Z nietajonym wzruszeniem przywodzę na pamięć pobyt w tej zagubionej w sercu Azji Środkowej miejscowości, gdzie różnie los mnie darzył: raz nawozie, raz pod wozem (dosłownie!), ale przecież przeżyliśmy tu z Ludmiłą najszczęśliwsze chwile, bo tutaj przyszła na świat nasza kochana córka...

Nie okłamałem komendanta wojskowego Krasnowodzka, kiedy to, jakby wiedziony intuicją, wyraziłem chęć dołączenia do swoich. W Chanaka przed naszym przybyciem osiedliła się spora kolonia polska. Ponad dwadzieścia rodzin z małymi i dorastającymi dziećmi znalazło tu przystań życiową. Wałkucy, Pobereźni, Jabłonkowie, Wąchoccy, Wajzerowie...

Już na stacji kolejowej usłyszałem znajomą mowę i po chwili paru rodaków ścisnęło nam ręce.

- Witajcie w dalekiej obczyźnie! Jesteśmy tu już od dwóch tygodni. Można żyć, o mieszkanie nie trudno. Rosjanki, których mężowie poszli na front, chętnie odstępują pokoje. Tadżycy są gościnni, tylko trudno się z nimi porozumieć. Poza tym ich tryb życia, obyczaje, różnią się bardzo od naszych...

Opowiedzieli o swych przeżyciach od chwili aresztowania pamiętnego lata 1940. Rodziny, w odróżnieniu od samotnych, internowano w posesjach - zamkniętych wioskach. Mieli większą swobodę, mogli poruszać się na dość dużym terenie. Za pracę wynagradzano ich w gotówce, częściowo w prowiantach. Spali wygodnie, nie jak my w obozie jeden przy drugim na pryzkach, ale gdy nam kuchnia obozowa wyda-wała gotowe potrawy, żony, siostry i matki same musiały się troszczyć o jedzenie. Mężczyźni pracowali, na barkach kobiet spoczywał ciężar prowadzenia gospodarstwa domowego. Znajomy wojskowy powiedział im, że wszyscy mieliśmy zaoczne wyroki po osiem lat za... nielegalne przekroczenie granicy. A przecież wtedy, jesienią 1939, przepuszczano nas masowo z okupowanej przez Niemców Polski!

Tu aż się prosi anegdotka z owych lat, z ponurego okresu stalinowsko-beriowskiego.

Spotyka się dwóch obywateli:.

- Kopę lat, kopę lat! A gdzie to szanowny się podziewał?

- Siedziałem...
- Coś takiego. Jak długo?
- Pięć lat.
- Za co?
- Za nic...
- Niemożliwe! Za nic dają dziesięć!

A z mieszkaniem rzeczywiście poszło gładko. Naszą czwórkę przygarnęła pod swój dach Marusia, rodem z Ufy. Jeden pokój zajęli Grisza z Masją, w drugim rozlokowaliśmy się z Ludmiłą. Gospodyni okazała nam dużo serca i wyrozumiałości. Była epileptyczką, cierpiała na chorobę św. Wita. Chciała mieć koło siebie życzliwe dusze, bała się samotności-. Nie zawiodła się na nas. Podczas ataków Ludmiła i Masja otaczały ją troskliwą opieką.

Po niefortunnych debiutach za kółkiem we Lwowie i Czeptura postanowiłem nie próbować już szczęścia w zawodzie kierowcy, zwłaszcza traktorzysty. Do pracy nie spieszyłem się „Mieliśmy trochę oszczędności, na przydziały kartkowe starczało, było co włożyć do garnka, tylko nie było czym... napalić pod kuchnią.

Kłopoty z opałem okazały się problemem numer jeden. Węgla w ciągu tych kilku lat nie widziałem na oczy. Drewna - ani na lekarstwo.

Tadżykistan jest zalesiony zaledwie w kilku procentach, a w najbliższej okolicy, bogatej w sady owocowe, nie rosło ani jedno drzewo na opał.

Dziwny jest ten świat! W Rybińsku lasy przytłaczały nas swą obecnością, gdzie się człowiek ruszył - sosny, brzozy, buki, po nocach śniły się nam potwornie rozgałęzione drzewa, a tu nic, pustka...

Miejscowa ludność radziła sobie jakoś. Pod piecami spalano ścięte, wysuszone krzaczki bawełny. Za wiązkę takiego chuzopaju trzeba było słono płacić. Poza tym Tadżycy, z natury leniwi, niezbyt chętnie trudnili się obnośną sprzedażą opału.

- Zabierz się do lepienia kiziaków - doradziła Marusia.

Kiziaki to prasowane cegły z gnoju, dają sporo żaru. Mieszkańcy Chanaka produkowali je domowym sposobem, na własne potrzeby. Rano, gdy krowy wychodziły na pastwisko, wędrowały za nimi gromady kobiet, przeważnie Rosjanki, i skrzętnie podbierały placki pozostawione przez ich karmicielki. Dochodziło do kłótni, nieraz kobiety darły się za włosy.

- To moja krowa! Uchodi!
- Nieprawda, sama widziałam, że to z mojej krowy!

A ja, jak ten wróbelek, ca przy stadzie gruchających gołębi zawsze coś sobie uszczknie, krążyłem z wiaderkiem wśród klójących się i nigdy z pustymi rękoma do domu nie wracałem.

Produkcję kiziaków oparłem na recepcie udzielonej przez gospodynię. Dół w ziemi wypełniałem krowim i końskim nawozem, w proporcji pół na pół i zaprawiałem to sieczką słomy. Gdy inni miesili masę nogami, używałem do tego celu starej warząchwi, po czym surowiec wkładałem do blaszanej miski i, jak bawiące się w piasku dzieci, stawiałem babki. W promieniach silnie operującego słońca kiziaki szybko twardniały, już na trzeci dzień nadawały się do użytku. Dzięki mym wytężonym wysiłkom komórka Marusi nigdy nie świeciła pustkami.

Pokoju nie trzeba było opalać. Lato w Tadżykistanie trwa długo, zima przypomina naszą wczesną jesień, temperatura prawie nigdy nie spada niżej zera. Śnieg widziałem bodaj dwa, trzy razy w ciągu całego pobytu.

Suchy, podzwrotnikowy klimat dawał się Polakom we znaki.

Deszcz tygodniami nie zraszał popękanej ziemi, a przecież rośliny bez wilgoci więdną, życie zamiera, tutaj zaś - gdzie sięgnąć okiem - złociste łany pszenicy, wybujale nacie ziemniaków, wszystko rośnie, kwitnie, dojrzewa.

Sprawnie działał system irygacyjny zasilany przez liczne rzeczki, płynące do tej największej Amu-darii. Nawet właściciele przyzagrodowych działek nie narzekali na brak wody. Cały teren osady przerzynały aryki - kanały, do których spływa woda z topniejącego śniegu na zboczach gór. Tadżycy opasują swoje działki spiralnymi bruzdami i gdy chcą wpuścić na nie wodę, wstawiają zaporę w poprzek aryku za swoją ziemią. Woda, nie mając naturalnego ujścia, opływa ich działkę, a gdy ją już obficie zrosi, zaporę wyjmuje się, woda płynie dalej, by zapewnić po drodze wegetację roślinności sąsiadom.

Wodę z kanałów czerpaliśmy do celów jadalnych. Nawet w największe upały była świeża, chłodna, podobnie jak ta, co płynie w naszych górskich potokach. Zdarzały się komplikacje. Gdy nabierałem wodę, akurat jakiejś krowie czy owcy zachciało się wejść do aryku i załatwiać swe potrzeby. Jeśli działo się to za mną, nie przejmowałem się tym, ale jeśli zwierzę rozkraczyło się przede mną, musiałem zmieniać miejsce, omijając niesforne stworzenie.

Szybko przyswoiłem sobie tadżyckie słowa, zwłaszcza te najważniejsze, do użytku na co dzień. Non - to chleb, bilmajdi - nie rozumiem, beladi - rozumiem, bór - tak, jog - nie, apa - siostra, aka - brat, ata - ojciec, ama - matka, kizynka - dziewczynka, barańczuk - chłopiec,



kursak - żołądek. Nauczyłem się biegle liczyć: bir, ikki, ucz, tur, biesz... sakkis... tukkus... Udawało mi się nawet klecić całe zdania.

To otrzaskanie się z tak trudnym do opanowania dla Europejczyka językiem oddawało mi szczególne usługi przy transakcjach handlowych. Bo chociaż Tadzycy rozumieli i mówili od biedy po rosyjsku, chętniej szli na ustępstwa, kiedy zwracano się do nich w ich rodzimym języku. A w ogóle to oni i my we wzajemnych kontaktach posługiwaliśmy się swoistym volapiikiem, przypominającym mowę Kalego z „W pustyni i puszczy” - bez uwzględniania przypadków, czasów, rodzajników.

Gdy powołano Tadzyców na ćwiczenia wojskowe, jeden z poborowych uzalił się przede mną:

- Moja niczewo nie ponimajet. Odin czelowiek - odin wintowka, odin chlieb - czetyry czelowiek! (Moja nie rozumie. Jeden człowiek - jeden karabin, jeden chleb - czterech ludzi!)

Największe pole do popisania się erudycją miałem na targowisku, centralnym miejscu zakupów. Pojedynczy sprzedawcy przychodzili codziennie, jednakże dniem uświęconych tradycją targów był piątek.

Rynek wypełniał się mrowiem sprzedających i kupujących. Produktów dostarczały zarówno kołchozy i sowchozy, jak i właściciele działek, na których hodowano różne warzywa, owoce, kukurydzę. Nie wolno było tylko uprawiać na działkach zboża, na to monopole miały spółdzielnie produkcyjne i państwowe gospodarstwa rolne.

Od samego rana ciągnęły ze wszystkich stron ciężarówki i zaprzęgnięte w konie wozy. Działkowicze przywozili towar na iszakach, osłach, większych i silniejszych niż nasze kłapouchy. Objuczonego workami osła dosiadał Tadzyc, ponaglając go kluciem patyka w grzbiet i cmokaniem „Chch, cv, cy”, a z tyłu dreptała za nim mardzion, żona w szarawarach, chałacie i pokorze wobec swego pana i władcy.

Stragany z brzoza zajmowali sprzedawcy mięsa. Przy jednym Rosjanin oferował wieprzowinę, tuż obok Tadzyc - baraninę. Tadzyc na widok połci świńskiego mięsa spluwał pod nogi Rosjaninowi wołając: „Ciućka, tfui”, na co Rosjanin odwzajemniał się: „Baraszka, tfu!”.

Mogli się tak zabawiać kilka minut. Nie było w tym nienawiści, po prostu przekomarzali się jak dzieci.

Dalej był sektor mleczny. W długim rzędzie stali sprzedawcy katyku, specjału madę in Tadzycistan. Katyk to gatunek mleka, tak gęsty, że daje się kroić nożem. Fantastyczny w smaku przypomina kisiel mliako, jakim delektowałem się w późniejszych latach w Bułgarii. Jak to Tadzycy przyrządzają - dokładnie nie wiem. Podobno mieszają surowe mleko z

gotowanym, dodają jakąś narośl z żołądka jagnięcia, żeby przyspieszyć fermentację i nadać kатыkowi specyficzny smak. Resztki takiego mleka służą do dalszej produkcji.

Nasi szybko opanowali metodę zajadania się kатыkiem za frajer. Ten i ów podchodził do sprzedawcy i mówił:

- A nu-ka, dawaj apa (przeważnie kobiety zajmowały się sprzedażą nabiału) poprobowat'!

Apa posłusznie wlewała pół łyżki kатыku na wyciągniętą dłoń potencjalnego nabywcy. Ten kosztował, krzywił się i wybrzydzał:

- Kатыk choroszyj, no niemnożko kisły... (kатыk dobry, ale trochę kwaśny) - i szedł do następnego stoiska. Tutaj stwierdzał, że kатыk jest za słodki, w trzecim - za rzadki, w czwartym - za gęsty. Obszedłszy tak kilkanaście sprzedawczyń, nasycał głód i...: kатыku nie kupował.

Koronnym degustatorem tego napoju był inżynier z Warszawy, schorowany, w podeszłym wieku. Przed wojną pracował jako wybitny specjalista w stołecznej elektrowni. Do Chanaka przywędrował samotnie z obozu pracy przymusowej, jego rodzina pozostała w kraju. Nie potrafił urządzić się jak inni, załamał się fizycznie i psychicznie. Pod koniec wystawał przed sklepem i żebrał o kawałek chleba.

Największym rarytasem, na wspomnienie którego ślinka cieknie mi do ust, były „lepioszki” z bielutkiej jak śnieg mąki pszennej, okrągłe, w środku cienkie, wypukłe po brzegach. Żyta w Tadżykistanie prawie wcale nie uprawiano. Podpatrzyłem technikę wypieku smakołyków. Celowi temu służą gliniane piece, kształtem przypominające ule. Wewnętrzne ścianki oblepia się uformowanymi plackami, do pieca wkłada chuzopaj, podpala, a gdy lepioszki mają już dość, same odpadają. Gorące, prosto z pieca, są najsmaczniejsze. Gdy jeszcze położy się na wierzchu kawałek masła - niebo w gębie! Toteż polowaliśmy na te świeże, ciepłe, pachnące.

- Goriaczy leposzka! Goriaczy leposzka! - zachęcała do kupna może stuletnia apa.

Byłem po śniadaniu, postanowiłem uraczyć się tym delikatesem w drodze powrotnej, przecież coraz to nowe zastępy Tadżyczek przybywały na targ z pełnymi koszykami. Po jakiejś godzinie ze zdziwieniem dostrzegłem tę samą starowinę, która nadal wołała: „Goriaczy leposzka! Goriaczy leposzka!”.

Co u licha? W jaki sposób udaje się jej tak długo utrzymywać temperaturę smakowitych placków?

- A nu-ka, apa, dawaj ikki leposzka! - wyjąłem dwadzieścia rubli.

Podniosła się znad koszyka, na którym siedziała, i spod pupy wyjęła dwie ciepłe lepioszki! A więc, jak kwoka swe pisklęta, ogrzewała placki własnym ciałem.

Ceny lepioszek, kатыku, zwykłego mleka i innych drobnych artykułów u wszystkich sprzedawców były jednakowe. Tutaj nic nie dawało targowanie się. Natomiast przy nabywaniu mięsa, drobiu, owoców nie tylko można było, ale należało się potargować. Tadzycy za nic miał-by klienta, który od razu zapłaci żadaną sumę. A ubijanie interesu odbywało się w następujący sposób.

- Czam pul? (ile to kosztuje?) - pytał reflektant, wskazując upatrzony towar, a gdy sprzedawca podawał cenę, tamten chwycił go za rękę i potrząsając nią wymieniał swoją cenę. Tadzycy obniżał, kupujący podwyższał, ręce cały czas wędrowały coraz szybciej w górę i w dół, aż wreszcie po kilku minutach tych zapasów dobijano targu.

Zajadaliśmy się arbusami. Te, które się u nas pojawiają, to w porównaniu z tamtymi, jak piłeczka pingpongowa przy futbolówce. Tak wielkich okazów nie widziałem w życiu. Niektóre ważyły po dwadzieścia kilogramów. Tadzycy nauczyli mnie, jak bezbłędnie, bez przekrawania owocu, sprawdzić, czy jest soczysty. Przykłada się go do ucha, a właściwie ze względu na wagę - ucho do arbuza, i bębni po nim palcem. Niedojrzały wydaje głuchy odgłos, te najczerwieńsze w środku - dźwięczny jak dzwon.

Bazar odwiedzali też sprzedawcy oryginalnych „lodów”, lub jak kto woli „cassate”. W skórzanych workach przynosili zgarnięty ze zboczy Pamiru śnieg, mieszały go z sokiem owoców, albo nadziewali suszonymi plasterkami melonów i sprzedawali na porcje. Wspaniały to przysmak, choć mówiąc szczerze, wolałem same melony, bez śniegu, żółto-zielone, o delikatnym, aromatycznym miąższu, tak soczyste, że aż rozplływające się w ustach.

Na uboczu rozłożył się z koszem pełnym zielonych ogórków stary Ormianin. Ogórcy to narodowy przysmak Rosjan, nie brakowało więc klientek. Jedna trafiła się wyjątkowo kapryśna. Przebierała w koszu jak w ulęgalkach. Każdy ogórek brała do ręki, miętoszyła, obmacywała ze wszystkich stron, odkładała, sięgała po następny. Ormianin flegmatycznie żuł tabakę, przyglądając się spokojnie tym manipulacjom.

Wreszcie jego cierpliwość się wyczerpała.

- Ne mnyj, ne mnyj - wycedził, wypluwając tabakę. - Eto ne...bolszyj uże ne budet. (Nie mnij, nie mnij, to nie... większy już nie będzie).

Razem ze mną przypatrywał się tej scenie sympatyczny rudzielec.

Na odzywkę Ormianina zareagował wybuchem śmiechu. Ktoś powiedział, że nic tak nie zbliża ludzi jak wspólne poczucie humoru. No i tak poznaliśmy się.

Borys był magazynierem w miejscowej piekarni. Zaprosił mnie do siebie. Poznałem jego żonę (rudą), synka (rudego), nawet leżące w kołysce maleństwo też miało włoski koloru miedzi. Zupełnie jak w piosence:

Rudy ojciec, ruda matka, łe, Rudy dziadek, ruda babka, łe, I to także rude było, łe

Co się wczoraj urodziło, łe!

Gospodarz sypał kawałami jak z rękawa. A że i ja pamiętałem mnóstwo dowcipów, nie nudziłem się w swoim towarzystwie.

- Jakich znasz sławnych Iwanów? - zapytał.

- Iwan Groźny, Iwan Miczurin... - zaciukałem się.

- No, dalej...

- Iwan Mozzuchin, przedwojenny aktor filmowy...

- No?... I van Goch - odpowiedział.

Zrewanżowałem się historyjką o mądrym cadyku, do którego przyszedł młody Żyd i w chwili szczerości wyznał, iż zamierza otruć swoją żonę, ponieważ na śmierć zakochał się w urodziwej gojce, z którą pragnie razem zamieszkać.

Na to cadyk:

- Nabożny Żyd nie może pozbawić życia swojej żony. Pan Bóg nigdy by ci tego nie wybaczył.

- To co ja mam zrobić?

Cadyk pogładził siwą brodę.

- Żyj z nią dwa razy dziennie, rano i w nocy, a zobaczysz - za tydzień ona sama ci umrze.

Po kilku dniach cadyk udał się do swego współwyznawcy, ciekawy jak poskutkowało rada. Młody Żyd siedział na kanapce z obolałą miną, podkrążonymi oczyma, z kompresem na brzuchu i na głowie, zaś jego żona z wawo krzątała się po pokoju, kręcąc kuperkiem.

- No i co? - zapytał cadyk, gdy zostali sami.

- Rebe, serce mi się kraje, kiedy na nią patrzę. Ona biedna nie wie, że za dwa dni musi umrzeć!

Za dobre dowcipy Borys odplacał połówkami chleba. Prostokątne bochenki, cegiełki, przekrawał wzdłuż, żeby za bardzo nie wypychały mojej wewnętrznej kieszeni fufajki. Wystarał mi się o dorywczą pracę w „chleboriezce” magazynów zbożowych - Zagotziernie, gdzie wyda-wałem pracownikom tego przedsiębiorstwa pieczywo na kartki.

Już trzeciego dnia wpadłem z kretelem. Chleb dostarczono prosto z pieca, parujący, pracownicy odebrali go po kilku godzinach, bo było zebranie. Bochenki zdążyły w tym czasie

ostygnać, straciły na wadze, zabrakło mi kilku kilogramów. Borys poratował mnie w biedzie, podesłał brakujące bochenki i poradził, żebym poszukał sobie innego zajęcia. Pragnął, bowiem, abym mógł mu nadal opowiadać kawały...

Nie wszyscy Polacy zdecydowali się na stałą pracę. Kilku od przypadku do przypadku rozładowywało wagony ze zbożem, zaś w wolnym czasie jeździli do pobliskiego Stalinabadu (Duszanbe) na jeszcze większy niż nasz bazar. Tam kupowali u zdemobilizowanych żołnierzy bluzy, spodnie, szynele, które, po poprawkach wykonywanych przez żony, z odpowiednim profitem sprzedawali na targowisku w Chanaka.

Inni nastawili się na wzorzyste tkaniny jedwabne, rozchwytywane przez Tadżyków szyjących sobie z nich chałaty. Sprzedawali je nasi handlowcy... w cenie kupna! Nie mogłem tego pojąć: to po co wydają na bilety kolejowe, trudzą się, tracą czas, żeby nic z tych transakcji nie mieć?

Zagadka wyjaśniła się. Kupiony dziesięciometrowy kupon jedwabiu spryciarze składali w jedenaście fałd. Tadżycy nie nosili z sobą centymetra. Metr odmierzali przykładając koniec tkaniny do wyciągniętej ręki, drugi - do końca drugiego ramienia. Gdy „metr” był ciut, ciut krótszy, nie robili kwestii, płacili i odchodzili zadowoleni. Aż któryś z naszych wpadł i to haniebnie.

Polak połakomił się na jeszcze większy zysk. Kupił kupon trzynastometrowy i złożył go na piętnaście kawałków. Podszedł amator wzorzystego jedwabiu, wielkolud, o łapskach sięgających za kolana. Ujrzawszy go, handlarz chciał zwinąć interes, uciec gdzie pieprz rośnie.

Tadżyk zatrzymał go.

- Czewo twoja! Ja mieć pieniądze, smotri! Czam pul? - zapytał o cenę i przyłożył kupon do ramienia: „metr” nie sięgnął mu nawet do połowy klatki piersiowej. - Karabczuk! (złodziej!) - rozwścieklił się i byłby z pewnością solidnie przyłożył nieszczęsnemu kombinatorowi, ten na szczęście uciekł się do wybiegu.

- Ponimajesz, aka, odin czelowiek imiejet bolszuju ruku, drugoj korotkiju. Ty kak raz poriadocznyj paren', u tiebia choroszaja, dlinnaja ruka! (Jeden człowiek ma długą rękę, inny krótką. Z ciebie fajny chłop, masz dobrą, długą rękę!)

Udobruchany wielkolud bez szemrania zapłacił za piętnaście metrów i dołożył jeszcze lepioszkę.

Pocziwi byli ci Tadżycy, łatwowierni jak dzieci. Udając się na bazar wkładali pieniądze w zwoje szala, którym opasywali się dokoła tak, że ruble i czerwonce znajdowały się z tyłu. Miejscowi złodzieje czekali na nich uzbrojeni w żyłki i w dogodnym momencie

podcinali szal, wyłuskując gotówkę. Tadzycy nie przejmował się tym zbytnio - uważał, że to Allah go tak ukarał...

Nasi regularnie odwiedzali bazyry piątkowe. Przychodzili całymi rodzinami, z dziećmi. I właśnie widok dzieciarni podsunął mi pomysł.

Udzielałem korepetycji synkowi rabinowej we Lwowie? To czemu nie mógłbym się zająć edukacją naszych dziewczynek i chłopców, którzy pisać ani czytać po polsku nie umieją, a ci, co opanowali jako tako tę sztukę w Polsce w powszechnych szkołach, zdążyli wszystko zapomnieć?

Rodzice byli zachwyceni.

- Bardzo chętnie! Nieraz myśleliśmy o tym, ale jakoś było nam głupio zwracać się do pana... To dobrze, że się pan zaofiarował!

Podzieliłem dzieciarnię na dwie grupy: na tych, co nieco liznęli abecadła i pisowni, oraz na tych, co jeszcze nie odróżniali liter. Niektórzy rodzice dobrze zarabiali, nie żał mi było pobierać od nich pieniędzy, natomiast odmówiłem przyjmowania zapłaty od pracujących w ciężkich warunkach w Zagotziernie tragarzy. Za swe trudy, jak mi się żalili, lichy ich wynagradzano.

Lekcje odbywały się w naszym mieszkaniu lub na wolnym powietrzu. Z braku podręczników uczyłem dzieciaki wierszy, czytania z zapisanych przeze mnie kartek. Po lekcji wyciągałem się na łożu, dwa krzyżaki drewniane, deski i siennik. Słuchałem „radiotoczki”, która nadawała pokrzepiające wiadomości z frontów walk. Ofensywa niemiecka została zatrzymana na przedpolach Moskwy i Rostowa, przeciwnatarcie wojsk radzieckich zadało pierwszą, strategiczną klęskę Niemcom, powodując załamanie się Blitzkriegu.

Uchyliły się drzwi. Wszedł ojciec dwojga moich uczniów, tragarz z Zagotzierna. Uderzył mnie jego wygląd. Był najwyraźniej spuchnięty, ledwo się poruszał.

- Czy pan jest sam? - rozejrzał się konspiracyjnie dokoła.

- Tak... A o co chodzi?

Schylił się, odwiązał tasienki w kalesonach - na podłogę posypała się pszenica! Nie zdążyłem ochłonąć z wrażenia, gdy uczynił to samo z drugą nogawką kalesonów, potem rozwiązał sznur w pasie i spod bluzy sypnęło jeszcze większą porcją ziarna.

- Pan nam pomaga, to my też pomożemy panu. Może pan to sprzedać, albo zemleć w młynie na mąkę.

Jakoś nie zdobyłem się na odmowę, nie kazałem mu zabrać pszenicy, poprosiłem tylko, żeby więcej nie narażał siebie i mnie.

No tak, ja tu się rozwodzę nad różnymi sprawami, a nie opisałem jeszcze topografii naszej osady, co i gdzie się znajdowało.

Domek Marusi stał w bok od skrzyżowania dwóch głównych ulic. Na rogu sklep warzywno-owocowy - prowadzili dwaj bracia Bekow, Tadźycy. Jeden był ożeniony z Żydówką z Odessy. Po tej samej stronie, nieco dalej, wykupywaliśmy kartkowy chleb, na przeciwko Finotdiel z bankiem, klub, gdzie odbywały się potańcówki, szkoła, po lewej stronie herbaciarnia - czaj chana, pełna zawsze Tadźyków popijających zieloną herbatę. Na prostopadłej ulicy miały swe siedziby: stołówka, Wojenkomat, Zagotzierno, Raispołkom (jakby nasza rada narodowa), nieco dalej, gdzie bielily się wysokie góry bawełny, naturalnego bogactwa Tadźykistanu, rozlokował się Chłopkowyj Zawód. Bawełna po rosyjsku to chłopek, po tadźycku - pachta. W sięgających kilkunastu metrów wysokości kopcach przekopywano korytarzyki, żeby biały puch nie zajął się ogniem od promieni słońca.

W pobliżu stacji kolejowej funkcjonowała skrętnie przez nas omijana jednostka milicji, obok był szpital z przychodnią lekarską i - bania, gdzie na zmianę kąpali się mężczyźni i kobiety.

Gdy Polki po raz pierwszy przekroczyły próg łaźni, doszło tam niemal do paniki. Tadźyczki od okresu pokwitania starannie usuwają sobie zarost z całego ciała, z wyjątkiem głowy. Nawet malutkim dziewczynkom goli się brwi zastępując je kreskami henny. Toteż łatwo sobie wyobrazić, co się działo w bani na widok naszych kobiet, obficie owłosionych w najwstydlivszych miejscach. Młoda mężatka, w ślicznie splecionych warkoczykach, chwyciła za rękę jedną z Polek i, pokazując na jej łono, zawołała z nietajoną zgrozą i ciekawością:

- A kak choziain smożet tuda-siuda?!

Ja również dokonałem sensacyjnego odkrycia, gdy przyszła na nas mężczyzn kolej wyparzenia się. Jakiś Tadźyk mikrej postury, kurdupel, po biczu parowym polewał się zimną wodą, a to, co dyndało mu u kolan, poraziło mnie.

- Posmotri! - złapałem za rękę leżącego obok mnie, w kłębach pary, babaja, siwowłosego starca. - Czto eto za bezobrazije? Taki mały aka, a jaki ma interes! Ogier mniejszym płodzi żrebaki!

Babaj uśmiechnął się wyrozumiale, potarł brodę i uraczył mnie pyszną opowieścią.

- Widzisz, to było tak. Kiedy ziemia już się zaludniła, mężczyźni, przy wtórce kobiet, podnieśli krzyk, dlaczego jeden ma tylko tyle, a drugi dwa razy więcej. Bo upodobania były różne. Niektórym te długie zawadzały, innym przeciwnie. Wtedy Allah kazał swym sługom poobcinać wszystkim mężczyznom te interesy, zawiesił je na sznurze i powiedział: „Teraz

każdy może wybrać sobie, co mu odpowiada”. Mężczyźni rzucili się do sznura i poczęli łapać, co było najbliżej ich rąk. I tak tym najniższym dostały się te najdłuższe, a wysokim - najkrótsze. Oto masz wytłumaczenie zagadki.

Babaj, jak się jeszcze wiele razy przekonałem, zawsze miał na wszystko gotową przypowieść, niczym nasz niezapomniany Horacy Safrin, chociaż nigdy w Stanisławowie nie był. A ja na podstawie mego odkrycia w bani też wysnułem filozoficzny wniosek: mężczyźni są jak motyle - jeden mo tyle, a drugi mo tyle...

#### ŁAPIĘ ŻÓŁWIE, GUBIĘ WIELBŁĄDY

Siostra naszej gospodyni, Lola, wyszła za Tadżyka. Żyli szczęśliwie, w dostatku. Mąż Loli zajmował eksponowane stanowisko, mieli w Chanaka własny domek, działkę, hodowali barany.

Azjatycki baran en face wygląda jak nasz z hal tatrzańskich, tylko zad ma inny. Jego grzbiet kończy się kurdiukiem, zwałem tłuszczu, przypominającym garb wielbłądzi. A te kurdiuki bywają tak ogromniaste, że paraliżują ruchy zwierzęcia, ciągną barana do dołu, toteż przystawia mu się z tyłu drewniane podpórki na kółkach, inaczej nie zrobiłby kroku. Przy transakcjach kupna Tadżyk ujmuje oburącz kurdiuk, waży go w dłoniach, żeby przekonać się, ile baran jest wart.

Taki najokazalszy egzemplarz poszedł pod nóż w obejściu Loli. Z okazji „baranobicia” zaproszono nas na ucztę. Wśród gości byli Uzbegy. Sporo ich osiadło przed wiekami w Chanaka i w innych miejscowościach Tadżykistanu. Mowa Uzbeków brzmiała w naszych uszach identycznie jak mowa Tadżyków, choć to całkiem inne grupy etniczne i ich języki różnią się. Znakiem rozpoznawczym były dla nas nakrycia głowy. Tiubiatejki tadżyckie są wielobarwne, uzbeckie mają ozdoby w jednolitym, czarnym kolorze.

Musiałem świecić oczyma wśród odświętnie ubranego towarzystwa. Mój strój z obozu rozleciał się. Miałem na sobie damskie spodnie, bez rozporka, własność Ludmiły. Kaptcie z Rybińska na gumowych spodach też się wysłużyły, chodziłem w „tapoczkach”, które moja towarzyszka życia wiązała z grubych włókien bawełny. Co kilkanaście dni sięgała po szydełko, bo jak długo może wytrzymać takie obuwie przy ciągłych wędrówkach?

Stół uginał się pod półmiskami. Jakie wspaniałe delicje przygotowali gospodarze! Kielbasy, pieczone mięso, pilaw. A te owoce? Soczyste, okazałe piersiki - brzoskwinie o popękanej z nadmiaru soku skórce. Chyba trzy takie sztuki wchodzi na kilogram. Tych dojrzałych nie można eksportować, zepsułyby się w drodze. Winogrona z własnej plantacji, podłużne „damskije palcziki”, morele...



Dawno już nie widziałem tyle pysznego jadła. Ostatni raz - tydzień przed wybuchem wojny, 25 sierpnia 1939, w koszernej restauracji Bernheima w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 21. Co piątek wyskakiwaliśmy tam z redakcji na tradycyjną rybę po żydowsku i czulent. Ryba jak ryba, na słodko z rodzynekami, ale ten czulent! Nigdy nie jadłem czegoś tak smacznego i... niestrawnego. Duszone w łożu wołowym aż do brązowości kartofle, tak twarde z wierzchu, że ledwo dawały się rozgryźć, kawałki mięsa (obowiązkowo wołowego!), fasola „Jasiek”, gęsia szyjka nadziewana mąką z tłuszczem. Potrawa, zgodnie z rytuałem, całą noc drzemała w piecu piekarniczym, zaś garnek obowiązkowo musiał być z lanego żelaza. Na przystawkę delektowaliśmy się gęsią, siekaną wątróbką, na deser sztrudlem, wszystko popijaliśmy gorącą herbatą z cytryną, żeby spłukać tłustości. A gdy czasu nie stawało wpadaliśmy jak po ogień do drugiego pana Bernheima, właściciela mieszczącego się vis a vis redakcji „Republiki” baru a la Fourchette gdzie czekały na nas kanapki (też koszerne) i kufelek piwa...

Ludmiła, Masja i Grisza, podobnie jak pozostali goście, jedli powściągliwie, z umiarem. Ja pałaszowałem nieprawdopodobne ilości mięsiwa. Jakoż skutki nie dały długo na siebie czekać. Poczulem potworny ból żołądka, wezwano pogotowie. Lekarz, podejrzewając skręt kiszek, polecił odwieźć mnie do szpitala. Już na noszach, w przejściu, zgarnąłem ze stołu na „zaś” pęto kiełbasy. Skończyło się szczęśliwie na przepłukaniu żołądka.

Postanowiłem wreszcie „obsprawić się”, żeby swym strojem nie wywoływać sensacji, zwłaszcza przy sikaniu, gdy musiałem opuszczać porty i kuć jak dziewczyna.

Na napływające z zagranicy dary dla polskich obywateli nie miałem co liczyć. Rozdzielnictwem ich zajmowała się w Stalinabadzie placówka, agentura polskiego rządu emigracyjnego w Londynie. Po porozumieniu w r. 1941 między polskim i radzieckim rządem takie placówki powstały w miastach wojewódzkich europejskiej i azjatyckiej części Związku Radzieckiego. Na czele ich stali mężowie zaufania - dowieśnyje lica. W Stalinabadzie funkcję tę pełnił Julian Hochfeld, socjolog, działacz polityczny, autor m.in. książki „My, socjaliści”. Jego przedstawicielem na Chanaka był niejaki Weiss z Krakowa. I z jego to rąk po wielu perturbacjach otrzymałem... używaną pidżamę i parę wełnianych skarpet.

A zatem trzeba we własnym zakresie wygospodarować przyodziewek. Sprzedałem „Cymę” i złotą obrączkę, aby w Stalinabadzie kupić coś przyzwoitego na grzbiet i nogi.

I kiedy już chciałem wybrać się w drogę, wybuchła w Chanaka epidemia tyfusu plamistego. Kasa kolejowa sprzedawała bilety tylko za okazaniem zaświadczenia z łaźni o przebyciu operacji odwszenia. Nie było mi to na rękę. Tłok panował tam niesamowity, wody nie podgrzewano do właściwej temperatury, rozjuszony insekty, zamiast ginąć, odbywały wędrówki z ubrania na ubranie. No i ta strata czasu.

Stały dyżur w łaźni pełniła pani doktor, Polka z pochodzenia. Poprosiłem ją o przepustkę do łaźni, niech mnie i mojego towarzysza załatwi bez kolejki. Wydarła z zeszytu kartkę, napisała „Propustit' biez oczeredi” i przyłożyła sławetną okrągłą pieczęć.

Trafiłem na taką cenę: podoficer wręczył łaźniemu dziesięć rubli i bez wymaganych zabiegów dostał „sprawkę” do kasy kolejowej.

- Dla mnie też takie dwie bumażki-zadysponowałem, mając fagasa dwoma czerwonicami - i już niebawem pociąg uwoził nas do stolicy z nie wykorzystaną przepustką do łaźni.

Na brzuchu dyndała mi dwulitrowa puszcza blaszana. Nigdy nie rozstawałem się z nią wychodząc z domu. A nuż będą coś dawać?

Opowiedziałem towarzyszowi podróży o zabawnej przygodzie, jaka przydarzyła mi się poprzedniego dnia. Przed sklepem zobaczyłem zaaferowaną staruszkę. Zapytałem, czy oczekuje czegoś. Odpowiedziała: „Czaj budut dawaf” Czaj? Już od kilku miesięcy nie piłem prawdziwej herbaty, toteż stanąłem za babcią, za nami momentalnie uformowała się długa kolejka. Wszedł kierownik sklepu i powiedział, że niepotrzebnie tracimy czas, nie spodziewa się żadnych dostaw. To ja z pretensjami do staruszki, dlaczego wprowadziła mnie w błąd, mówiąc, że będą dawać herbatę, a ona na to: „Wied' ja skazała „czaj”, znacit „wozmożno ”, „. Okazuje się, że słowo „czaj” ma dwojakie znaczenie, w starorosyjskim wyraża również powątpiewanie, przypuszczenie, „może”.

Na ulicy przylegającej do dworca stalinabadzkiego kotłował się tłum. Ludzie z cebrzykami i wiadrami szturmowali drzwi stołówki. Wydawano bez żadnych ograniczeń makaron polany olejem z ziaren bawełny. Co jakiś czas trafiała się taka okazja. Kiedy wysuszone nitki makaronu zaczynały podejrzanie same się ruszać, napełniano kotły do pełna - i hulaj dusza!

Obliczyłem, że gdy staniemy w kolejce, do drzwi dotrzemy wieczorem... następnego dnia. Racja! - puknąłem się w czoło. Przecież mam nie wykorzystaną przepustkę pani doktor: „Propustif biez oczeredi”!. (Wpuścić bez kolejki!)

Ruszyliśmy raźnie do przodu.

- A wy kuda, nachały. lieziotie? - zawrzało w tłumie. - A nu-ka, dawajcie nazad!

Potraktowali nas jeszcze po matuszkie, a strażnik chwycił mnie przy drzwiach za frak. Zmiękł, gdy mu okazałem przepustkę.

- W porządku, włącz! A ty tu zostań, przepustka na jednego! - cofnął mego kompana.

Kazałem napełnić puszkę do pełna. Stałem pod ścianą, raz dwa opróżniłem naczynie i znowu podszedłem do bufetu. Nałożyli mi makaronu na półokrągło. Zawiesiłem puszkę na szyi i, złożwszy dłonie w łódkę, poprosiłem o jeszcze jedną porcję.

Mój Boże, gdyby ktoś zrobił wtedy zdjęcie, jak mój towarzysz wyjadał mi z ręki ten makaron! Do domu nie było sensu wieźć zdobyczy, w takim upale makaron by skwaśniał. Siedliśmy więc w parku na trawniku i opróżniliśmy puszkę.

Na bazarze kupiłem wojskową bluzę i spodnie. Bluza leżała jak ulał, spodnie były za obszerne. To nic, w Chanaka jest mastierskaja, krawiec za kilka rubli przerobi. Gorzej było z nabyciem trzewików.

Wreszcie zdecydowałem się na kamasze z cholewkami pamiętające z pewnością pierwszą wojnę światową.

No dobra. Odziałem się jak elegant z morskiej piany, a co dalej?

Oszczędności topniały, a tu zwały się niespodziewane wydatki. Grisza, który pracował w miejscowym Raispołkowie i w znacznej mierze partycypował w wydatkach na wspólne gospodarstwo, otrzymał nęcącą propozycję przeniesienia się na wyższe stanowisko w innym rejonie.

W dodatku wrócił z frontu mąż Marusi, musiałem rozejrzeć się za innym mieszkaniem.

Sybirak Soroczkin najął nam pokój z kuchnią i balkonikiem na pięterku. Szczególnie ucieszył mnie ów balkonik. W upalne noce spaliśmy na wolnym powietrzu, nakrywając głowy gazą dla ochrony przed komarami.

Na dole rosło kilka drzew owocowych. Dojrzewał na nich uriuk - owoc pośredni między brzoskwinią i morelą. Zaraz po sprowadzeniu się Soroczkin zapowiedział mi:

- Żebyś nic nie zrywał. Co innego jak owoc sam spadnie, wtedy jedz sobie na zdrowie.

Udając się do budki z serduszkim, niby przypadkowo zaważałem o drzewa, zawsze kilka owoców lądowało na ziemi, a okna izby gospodarza wychodziły na drugą stronę.

W herbaciarni dopadł mnie jeden z naszych.

- Chce pan pracować ze mną? Zgodziłem się na „ziemliomiera”, będę mierzył pola kolchozowe, potrzebny mi pomocnik do noszenia tyki.

I tak zostałem „skoczbrudą”. Robótka nawet niczego sobie. Kolchoz wynagradzał nas w naturze: pszenicą, jęczmieniem. Na noc nie wracaliśmy do domu, za daleko. Spaliśmy w szopie, worki z wypracowanym ziarnem zawiesiliśmy wysoko na palach, grasowały tam zastępy szczurów, nie gasiliśmy naftowej lampy.

W nocy obudził mnie szum. Popatrzyłem na słupy - jakby się ruszały! Gryzonie, jeden za drugim, jak majtkowie na maszt, pięły się w górę. Zaalarmowałem szefa. Nic nie odstraszało intruzów. Ani krzyki, ani wymachiwanie kijami i ciskanie kamieniami.

Zaproponowałem, żeby przenieść worki do najbliższej chaty i poprosić o przechowanie. Lepianki Tadżyków, wschodnim zwyczajem, stały tyłem do drogi, okna wychodziły na podwórze. Poszedłem pierwszy. Na progu siedziała bez tradycyjnej parandży na twarzy stara, może stuletnia Tadżyczka.

- A kysz, a kysz! - wrzasnęła na mój widok. - Giaur!

Wyszedł jej mąż, krzepki babaj.

- Czego tu szukasz? - zgromił mnie. - Nie wiesz, że obcy nie mają prawa wstępu?

Z trudem udało mi się przekonać go, że nie żywiłem wrogich zamiarów wobec jego żony, po prostu szczury nie dają nam żyć, chcemy przechować swoje zapasy i prosimy o wodę. Udobruchał się, zapytał, skąd pochodzimy.

- Polska! Bilmajdi Polska. Gdzie to jest?

Zgodził się przyjąć do depozytu nasze skarby, uraczył mnie i szefa kuk-czajem i lepioskami, a gdy żegnaliśmy się, wskazał miejsce, gdzie przed chwilą siedziała tak ciężko przestraszona jego połowica.

- Choczisz mój mardzion? Bieri! (Chcesz moją żonę? Bierz!)

Powiedziałem, że mi ta moja jedna wystarczy. Babaj skinął głową w kierunku krzątającej się młodej dziewczyny o wyraźnie zaawansowanej ciąży.

- Eto toż mój mardzion. W chacie jeszcze dwa...

Tradycja wielożeństwa zachowała się do owego czasu, zwłaszcza wśród starszej generacji. Babaj na siłę chciał mi zaofiarować jedną ze swych żon, ostatecznie stanęło na pół worku szaly - ryżu, który podarował w dowód sympatii. Przyrzekł, że gdy skończymy pracę polu, odwiezie nam wszystko do Chanaka, i słowa dotrzymał.

W czasie mych wędrówek z tyką w rękę poznałem inżyniera-agronoma z Łotwy, nazwiskiem Łagg. Zaprosił mnie do swego królestwa Sadwinriestu, którym władał. Były to rozległe sady owocowe z odmianami jabłek z całego świata. W wytwórni przetwarzano je na wino

Mogłem jeść jabłka, ile chciałem, ale ani jednego nie wolno było wynieść. Strażnik przy wrotach bacznie spoglądał na kieszenie wychodzących.

Często zachodziłem do pana Łogga. Opowiadałem mu o Polsce, i swojej pracy przed wojną, o przeżyciach w Rybińsku. Podkarmił mnie, nigdy nie wypuszczał z pustymi rękoma. To wsunął mi torebkę kukurydzy, to butelkę oleju.

Po obiedzie napiłem się bragi, wina we wstępnej fazie fermentacji.

Alkoholu zawiera ono parę procent, ale byłem spragniony, wlałem w siebie dwie szklanki i w drodze do domu film mi się urwał. Ocknąłem się pod wieczór. Do miejsca, gdzie leżałem, zbliżała się młoda Tadżyczka. I jej upał doskwierał, swoją parandzę, zasłonę na twarz, miała przewieszoną przez ramię. Ujrzawszy mnie, spłoszyła się i nie chcąc, bym oglądał jej odsłonięte oblicze, nakryła głowę spódnicą pokazując wszystko, co miała najładniejsze.

Do domu był jeszcze kawałek drogi. W kierunku Chanaka jechała wyładowana workami mąki ciężarówka. Zabrałem się „na łebka”, siadając okrakiem na jednym z worków. Na zakręcie zarzuciło, samo-chód wywrócił się, wyładowałem w rowie, przywalony workami. Cudem nic mi się nie stało, ciężarówka oparła się o krawędzie wykopu.

Przeleżałem tam chyba dwie godziny, zanim nadeszła pomoc. I właśnie wtedy znalazłem się dosłownie pod wozem.

Na rozstaju dróg czekała zaniepokojona moją przedłużającą się nieobecnością Ludmiła. Była poruszona doniesieniami radiowymi. Niemcy rozpoczęli blokadę Stalingradu, zdobyli Rostow nad Donem, wdarli się na Kaukaz.

Kończył się wrzesień 1942 i sezonowe zajęcia przy mierzeniu pól.

Żona Soroczkina namówiła mnie do wspólnego polowania na żółwie. Mnóstwo ich leżało się wśród bujnej roślinności za osadą. Żółwie? Przecież to znakomity przysmak, zupa z nich uchodzi na Zachodzie za najwybredniejsze danie!

Dzieci Polaków tylko od święta oglądały mięso, postanowiłem zabrać je ze sobą, pomogą w łowach, dostaną swoją dolę. Gospodyni obiecała wtajemniczyć mnie w sztukę uśmiercania i oprawiania gadów. Wręczyła mi do tego celu młotek, jakiego używają kowale w kuźni.

Czy uwierzycie, że ja, który w życiu nie zabiłem ryby, poczynałem sobie jak zawodowy rzeźnik? Nie mogę zrozumieć, jak na to przystałem. Gdyby mi dziś zaproponowano powtórzenie tego eksperymentu choćby na jednej sztuce, nie zgodziłbym się, nawet jeśli by mnie miano żywcem uśmiercić, jak ja wówczas te biedne stworzenia.

Bez zmrużenia oka rozbijałem żółwie pancerze i nożem wykrawałem, co było w środku. Do jedzenia nadawały się tylko tylne i przednie łapki, wątróbka oraz leżące w pęcherzu jaja, jeśli trafiło się na samicę.

Wątróbki w smaku przypominały gęsie, a na jajach, niemal na samych żółtkach, Ludmiła piekła pyszne placuszki. Mięsa nie chciała wziąć do ust. Uduśiła kiedyś z czosnkiem pół garnka żółwich łapek i wyszła z pokoju, nie mogąc patrzeć, jak się nimi zajadam.

Rodzice dzieci radośnie powitali moją inicjatywę. Dla rozwijających się organizmów, pozbawionych białka zwierzęcego, nawet te znikome dawki liczyły się. A dzieci, jak to dzieci, chętnie mi towarzyszyły. Zadanie ich polegało na przewracaniu żółwi na wznak, żeby nie pouciekały, i przynoszeniu do „jarki”. Nie pozwoliłem im podchodzić blisko. Bawiły się opodal, a ja w samych majtkach, żeby nie poplamić krwią ubrania, zabawiałem się w żółwiobójcę.

Skorupy wraz z krwawymi ochłapami, jak ostatni osioł, wrzucałem do przepływającego aryku. I któregoś dnia omal nie doszło do tragedii. Czy ktoś na mnie doniósł, czy odpadki żółwi zabarwiły wodę w kanale, nie wiem, dość że w trakcie najgorętszej roboty wyrosło przede mną trzech Tadżyków. Ich miny nie wróżyły nic dobrego. Dwóch młodych podtrzymywało trzęsącego się z gniewu babaję. Trzeba wiedzieć, że starzy tubylcy uważali żółwie za święte stworzenia, wierzyli, że wchodzi w nie dusze nieboszczyków, a zatem są nietykalne.

Babaj wznosił ręce ku niebu, jakby przywołując Allaha na świadka mych bezceństw. Zacisnął pięści i obrzucił mnie gradem słów, których znaczenia mogłem się domyślać z jego gestów i miny. Sytuacja była podbramkowa. Miałem zaufanie do swoich nóg, ale dzieci? Stały niedaleko i z rozdziawionymi buziami śledziły rozwój wypadków.

- Ja go zabawię - krzyknąłem w ich kierunku - a wy uciekajcie do domu!

Ktoś mi powiedział, że nawiedzeni cieszą się wielką estymą u Tadżyków, którzy traktują ich jak świętych. Postanowiłem tedy zagrać wariata. Puściłem się w płasy, podskakując to na jednej, to na drugiej nodze. Wykrzywając gębę jak małpizson, wymachiwałem rękoma i śpiewałem urywki piosenek Lopka Krukowskiego, którego niemal cały przedwojenny repertuar znam na pamięć.

Babaj wpatrywał się we mnie jak urzeczony. Powstrzymał gestem ręki swych rosnących opiekunów, a czas był najwyższy, bo już zmierzali ku mnie. Obtańczyłem starca dokoła i widząc, że dzieci oddaliły się na bezpieczną odległość, wziąłem nogi za pas.

Tym razem wróciłem z pustym wiadrem, opróżniłem je w trakcie popisów wokalnotanecznych. Zdążyłem jeszcze pochwycić mój przydzwiek. a w najbliższy piątek odkupiłem na bazarze młotek gospodyni.

Z żółwi przerzuciłem się na wielbłądy. Nie musiałem na nie polować. W kołchozie było kilka sztuk, a ponieważ ich dotychczasowy opiekun został wcielony do wojska, przewodniczący mnie upatrzył sobie jako poganiacza.

- Masz ich strzec jak oka w głowie - powiedział. - To nasz wielki skarb.

Po czym uraczył mnie dłuższym wykładem o życiu, zwyczajach i zaletach tych zwierząt.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo są one pracowite, jak odporne, zwłaszcza na pragnienie. Wędrując przez pustynię, długo mogą się obejść bez wody. Bywają u nas wielbłądy, które cały tydzień potrafią pracować nie pijąc!

Pomyślałem sobie o pewnym kraju nad Wisłą. I tam mają się czym pochwalić. Wyhodowano takie wielbłądy, które mogą cały tydzień pić, nie pracując...

Wielbłądy dostarczały kołchozowi wełny, mleka, pomagały transporcie, przewoziły ludzi na grzbietach, bo to zwierzęta pociągowe i wierzchowe. Bardzo ceniona jest ich skóra, a mięso uchodzi za delikates. Co do ostatniego mam pewne wątpliwości. Gdy byliśmy w Krasnowodzku, ugoszczono nas w stołówce pieczenią z wielbłąda. Pofałdowane, ciągnące się jak guma mięso, zwane tam „ftasz”, wcale nam nie smakowało.

Siedem wielbłądów wyprowadzałem codziennie rano na spacer jak przedszkolanka dzieci. Były to dwugarbne baktriany, zwane tak w odróżnieniu od ich jednogarbnych kuzynów, dromaderów, żyjących w północnej Afryce i nielicznie w południowo-zachodniej Azji.

Już pierwszego dnia dokonałem ciekawego odkrycia. Wielkie samce mają wręcz mikroskopijne członki, zwrócone w przeciwnym kierunku - do tyłu. A już całkiem osłupiałem, kiedy samiec zaczął się kochać ze swą partnerką. Nie w pozycji stojącej, jak to czynią szanujące się czworonogi, lecz na leżąco, jak tata z mamą, gdy im się sprzykrzy konwencjonalny sposób ars amandi.

Przypomniałem sobie mego babaja z bani i wieczorem w czajchaniu poprosiłem o wytłumaczenie, dlaczego natura tak upokorzyła wielbłąda pod względem męskości i dlaczego te zwierzęta nie parzą się na stojąco.

Szczęśliwy, że znowu może zaspokoić mą ciekawość, wysnuł piękną opowieść.

- To było tak. W czasie potopu dowódca arki przed wpuszczeniem zwierząt na pokład poobcinał samcom końcówki, żeby zapobiec nieprzystojnym scenom. A gdy na niebie zapłonęła tęcza na znak pojednania, polecił pasażerom arki zejść na ziemię i odebrać swoją własność. Pierwszy stanął przed nim osioł. Komandir pokazał mu długą kichę wielbłąda i zapytał, czy to jego. Osioł przytaknął i uniósł swą zdobycz, a za nim pobiegła uszczęśliwiona oślica. I kiedy już wszystkie zwierzęta zostały obsłużone i w magazynku komandira została tylko mizerna końcówka osła, z arki wytaszczył się powolny wielbłąd - „Czego się tak guzdrasz? - zbeształ go. - Już czas na przerwę. Masz!” - podał mu ośli ogonek. „A ja tego nie chcę” - powiedział obrażony wielbłąd i oddalił się, a rozżłoszczony komandir cisnął w ślad za

nim to, co miał w ręku. I to coś przylepiło się wielbładowi w odwrotnym kierunku, ale gdy wielbłąd poczuje wolę bożą, jego końcówka zwraca się we właściwą stronę. Już teraz rozumiesz, dlaczego te zwierzęta muszą się kochać w pozycji leżącej? Inaczej biedny samiec nie dotarłby do celu...

Wielbłądy poganiałem chyba dwa tygodnie. Rozstałem się z nimi w dramatycznych okolicznościach.

Znużony upałem zasnąłem błogo w cieniu palmy. Obudziłem się po kilku godzinach, przetarłem oczy - i osłupiałem. Moi podopieczni zniknęli bez śladu!

Zdjęty śmiertelnym strachem, w siódmych potach, pogałem do najbliższej chaty. Powiedziałem gospodarzowi co się stało, poprosiłem o konia. I ja, który nigdy dotąd nie miałem pod sobą końskiego grzbietu, zdobyłem się na heroiczny czyn. Dosiadłem rumaka i na oklep popędziłem przez oazę. Nawet nie odczuwałem braku siodła.

Dopiero późnym wieczorem napotkałem zbiegów. Wielbłądy leżały pokotem pod palmami, zadowolone z przedłużającego się wypoczynku. Dopadłem pierwszego z brzegu, kopnąłem go i puściłem taką wiąchę, że największy bradiaga przysiadłby z podziwu. A to bydlę podniosło się i opluło mnie, swego opiekuna!

Nie dziwcie się zatem, że odtąd wielbłądy oglądam tylko na fotografii. Nawet w ZOO obchodzę z daleka ich wybiegi.

#### MIOTŁA I KATEDRA

- Słyszeliście? Anders już całe swoje wojsko wyprowadził na Bliski Wschód!

Od kilku miesięcy dochodziły wieści, że w sformowanej na terenie Związku Radzieckiego armii polskiej „coś się dzieje”. Sprawa ta żywo nas interesowała. Poza względami patriotycznymi - żołnierz polski miał się przecież bić u boku żołnierza radzieckiego ze wspólnym wrogiem - w grę wchodziły momenty osobisto emocjonalne. Do oddziałów naszego wojska werbowanych m.in. za miedzą, w sąsiednim Uzbekistanie i Kirgizji, zgłosiło się kilku chłopców z Chanaka, rodziny polskie miały tam krewnych, przyjaciół, znajomych.

A głównodowodzący, generał Władysław Anders, wbrew zawartym uprzednio układom między rządami obu stron, w dwóch etapach ewakuował kilkadziesiąt tysięcy naszych żołnierzy do Iranu i Iraku, co było po myśli rządu brytyjskiego, zabiegającego o wzmocnienie obrony terenów naftowych na Bliskim Wschodzie, w rejonie Mosul-Kirkuk.

- Jak Stalin mógł dopuścić do tego exodusu? - zachodziliśmy w głowę. - Przecież bez jego przyzwolenia nawet mucha nie może kichnąć. Chyba ma jakieś ukryte, arcyhytry plany, i dlatego wyraził cichą zgodę...



Mógłbym pod adresem generała zgłosić i prywatne pretensje.

Uprowadził bowiem również mojego kuzyna Stefana, z którym dopiero po czternastu latach spotkałem się w Australii, dzięki temu, że pojechałem na antypody. Mało tego: jeden z oficerów generała poderwał świeżo poślubioną żonę kuzyna i uciekł z nią w siną dal, nie bacząc na to, iż Stefan na początku wojny dużym nakładem kosztów sprowadził piękną Reginę do Lwowa.

Wymarsz zbrojnej formacji Andersa spowodował reperkusje. W Stalinabadzie jak i w innych miastach ZSRR zamknięto naszą placówkę opiekującą się polskimi obywatelami, dokładniej - rozdzielającą sporadycznie dary z zagranicy. Julian Hochfeld jako persona non grata otrzymał polecenie natychmiastowego opuszczenia terytorium Związku Radzieckiego. Na kilka dni przed likwidacją placówki przy-stąpiono do rozdzielnictwa remanentów magazynowych. Zgłosiłem się wraz z innymi, poprosiłem o coś z odzieży dla mnie i żony.

- Pan dostanie, żona nic nie otrzyma.

- Dlaczego?

- Bo ona ma paszport radziecki, a dary są przeznaczone wyłącznie dla obywateli polskich.

- Żona całe życie mieszkała w Polsce, była jak ja polską obywatelką, paszport radziecki przyjęła w warunkach przymusowych...

- To nie ma znaczenia.

Sięgnąłem po argument najcięższego kalibru.

- Żona jest w ciąży, ze mną, polskim obywatelem!

- Niestety, na płód nic nie możemy wydać.

Nie pamiętam, od kogo usłyszałem te znamienne słowa. Z ust samego szefa naszej likwidującej się placówki czy jego zastępcy...

Stosunek miejscowej ludności do Polaków uległ raptownemu pogorszeniu. Zwłaszcza Rosjanie, przychylnie dotąd do nas nastawieni, poczęli nas unikać. Coraz częściej padał pod naszym adresem epitet „prochodimcy”, co oznacza natrętów, niepożądanych przybyszów. Kiedy poprosiłem o jakąś informację oficera radzieckiego, zwracając się doń per „towarzysz”, odparł nie ukrywając pogardy:

- Wam sieryj wołk towarzyscz! (Dla was towarzyszem szary wilk!)

Potem zaproponowano nam przyjęcie obywatelstwa radzieckiego.

Oczywiście można było odmówić, ale świeżo mieliśmy w pamięci nie-dawne dzieje i o ile pamiętam, nikt się nie wychylił - otrzymaliśmy radzieckie paszporty.

Z kolei mężczyzn w wieku poborowym wezwano do Wojenkomatu na komisję lekarską: czekał nas pobór do armii radzieckiej. Gdy przy-szła moja kolej, felczerka (nazywaliśmy ją karlicą z powodu jej wzrostu i przykrego charakteru) zadała stereotypowe pytanie:

- Zdrow?

- Niet...

- Czom stradajecie? (Co wam dolega?) - podniosła głowę.

Przypomniałem sobie Katię Iwanownę ze szpitalika w Rybińsku.

- Epitimonit, łabirintit... Mam zawroty głowy, po trepanacji czaszki nie słyszę na prawe ucho...

Nachyliła się z lewej strony mej głowy.

- Choroszo, możecie idti domoj. (W porządku, możecie iść do domu).

„Chce mnie wziąć na stary kawał” - domyśliłem się i energicznie zaproponowałem:

- Przecież to lewe ucho, a ja nie słyszę na prawe!

Skierowano mnie na badanie do Stalinabadu. Lekarze specjaliści zgodnie potwierdzili moje kalectwo. Dostałem kategorię „E”, o stopień niżej niż w Polsce - sniat s woinskowo ucziota - zwolniony z obowiązku wojskowego, czyli żadna branka mnie nie dotyczy.

Szczerze mówiąc, nie paliłem się do wojaczki. Rodzina miała mi się powiększyć, jak Ludmiła sama da sobie radę z dzieckiem? Począłem rozglądać się za nową pracą. Zdążyłem już ochłonać po przygodzie z wielbładami. Przydałoby się jakieś mniej odpowiedzialne stanowisko niż poganiacz tych skądinąd sympatycznych zwierzątek. Wszędzie spotykałem się z chłodnym przyjęciem. Tak. Oczywiście, tylko na razie nie mamy wolnych etatów, zgłóście się za jakiś czas, może wtedy, zobaczymy...

Nadal udzielałem korepetycji. Nie opędzało to kosztów utrzymania. Kursowałem na trasie Chanaka-Stalinabad jako agent od specjalnych poruczeń. Temu potrzebny był materiał na ubranie, ktoś inny poszukiwał pilnie narzędzi stolarskich, żonie któregoś z naszych zachciało się reform. Miałem współnika do tych wypraw i zawsze kilka rubli wpadało nam do kieszeni za pośrednictwo.

Często można było nas spotkać na ulicy Lahuti, któremu za życia wystawiono pomnik, nazywając jego imieniem jedną z arterii Stalinabadu. Abulkasem Lahuti, poeta perski, został w 1920 roku skazany w Iranie na karę śmierci za działalność lewicową, zbiegł do Turcji, potem osiadł w Tadżykistanie i stał się czołowym poetą tego kraju: tworzył wiersze o tematyce politycznej i społecznej, oblekając je w klasyczne formy. Środkiem ulicy biegła aleja wysadzana po obu stronach morwą. Wdrapywaliśmy się na drzewa, zrywaliśmy

mięsiste, słodko-mdłące owoce, zalewaliśmy je katykiem, i zamykając oczy, wyobrażaliśmy sobie, że jemy w Polsce truskawki ze śmietaną i cukrem...

Sporo godzin trwoniliśmy na włóczęgach. Brodziliśmy po łąkach i stepach naszej osady, nad słuchując pilnie, czy nie dzwonią. Wprawdzie w Chanaka nie było kościołów, ale dzwony od czasu do czasu rozlegały się - gdy chowano nieboszczyków. Nie udało nam się natrafić na taki egzotyczny obrządek. O tym, jak ceremonia przebiega, opowiedział mi mój niezawodny babaj z łązni.

Nieboszczyka chowano w pozycji pół siedzącej w przystosowanym do tego celu grobie, tzw. sandale. U nóg zmarłego żałobnicy ustawiali pijałkę, kładli lepioszkę, po czym pokrywali otwór gałęzmi i przy okrzykach „tuj-tuj!” bili w dzwony. Ktokolwiek je usłyszał, mógł przyjść i wziąć udział w stypie. Nikt nie odchodził głodny od suto zastawionego stołu.

Już teraz wiecie, dlaczego nadstawiałem czujnie ucha penetrując okolice!

Nurtowała mnie ciekawość, co się dalej dzieje z nieboszczykiem, pochowanym w tak prymitywny sposób, w niezabezpieczonym grobie.

- W tydzień po pogrzebie - wyjaśnił babaj - przychodzą krewni i przyjaciele zmarłego. Odgarniają gałęzie i jeżeli nieboszczyka nie zastaną, to znaczy, że jego dusza i ciało powędrowały do raj. Gdy zwłoki nadal leżą w grobie, pokrywają dół nową warstwą chrustu i po upływie dwóch tygodni znowu się zjawiają...

Babaj nie wspominał o grasujących w okolicy tabunach hien i szakali, a ja przez szacunek dla niego też się słowem na ten temat nie odezwałem.

Wierzący Tadzycy, podobnie jak ortodoksyjni Żydzi, nie jedli wieprzowiny, nie golili bród, chłopców obrzezywali. Tylko gdy u Żydów temu zabiegowi poddawano dzieci w kilka dni po urodzeniu, u Tadzyców - kilkuletnie. I w takim obrządku nie uczestniczyłem, ale mogę sobie wyobrazić ten płacz i krzyki w tadzyckich chatach.

Usłyszałem natomiast zawodzenie w polskiej chacie. Szlochała żona, której mąż, rolnik z dziada pradziada, pracujący w Chanaka w Zagotzierno wybrał się do kołchozu, leżącego w połowie drogi do Stalinabadu.

Pociąg uciekł mu sprzed nosa, postanowił zatem ruszyć per pedes apostolorum. W tym samym kierunku zmierzał miejscowy kołchoźnik. Rozmowa jakoś nie kleiła się. Ale jak długo można kroczyć obok siebie, nie odzywając się ani słowem? Nawet krowa odczuwa od czasu do czasu potrzebę wydobywania głosu i zaryczy do swych towarzyszek.

Właśnie z przeciwka podążał pastuch, prowadząc kołchozową krowę.

- A u was w Polsce byli sobstwiennyje (własne) korowy? - rozwiązał się język kołchoźnikowi.

- Byli, byli - skwapliwie podjął rozmowę nasz chłopina. - Ja sam miałem do wojny własną krowę!

- Ile mleka dawała twoja krowa?

- Do piętnastu litrów dziennie! - oznajmił z dumą były gospodarz.

Kołchoźnik już o nic więcej nie pytał. Milczał całą drogę, mimo prób jego towarzysza podjęcia przerwanej konwersacji.

Krowy w Tadżykistanie, zdane na wypaloną słońcem trawę, dawały gęściejsze i tłusciejsze mleko niż nasze krasule, ale zaledwie po kilka litrów, a naszemu chłopinie dano pięć lat za „ochaiwanie żizni w Sowieckim Sojuzie”, (za ośmieszanie życia w Związku Radzieckim)!

Ta autentyczna historia przypominała mi się po kilku latach w Polsce, gdy usłyszałem o następującym wydarzeniu.

Do podlódzkiej wsi udał się prelegent i przez dwie bite godziny rozwodził się przed audytorium o naszych osiągnięciach gospodarczych i jeszcze wspanialszych perspektywach świetlanej przyszłości.

- Czy są jakieś pytania? - zwrócił się do sali po odczycie.

- Jo mom pytanie - wstał słuchacz z pierwszego rzędu. - Jo się nazwom Kowalik. Piotr Kowalik. Jo się nie byde pytoł o te perspektywy, jo się pytom, gdzie się podziwo nasz wyngiel?

Prelegent coś tam zawile tłumaczył, a po roku zawitał ponownie do tej samej wsi i znowu snuł perspektywy świetlanej przyszłości. Gdy skończył, ktoś podniósł rękę.

- Jo się nie pytom, gdzie się podziwo ten wyngiel, ino ja się pytom, gdzie się podziwo nasz Piotr Kowalik!

Nasze nastroje wyraźnie się poprawiły. Coraz pomyślniejsze wieści docierały z frontów walk. Na początku lutego 1943 wojska radzieckie okrążyły i zniszczyły armię niemiecką pod Stalingradem, przerwały blokadę Leningradu, a w marcu zachrypnięta radiotoczek podała niemniej pokrzepiającą na duchu wiadomość: dzięki poparciu władz radzieckich w Moskwie został utworzony Związek Patriotów Polskich, który jako naczelne hasło wypisał na swym sztandarze walkę do upadłego o wyzwolenie Polski.

Wróciły dawne, przyjazne stosunki z ludnością. Chodziliśmy dumni, z podniesioną głową, jakby to każdy z nas był twórcą tej polskiej, masowej organizacji patriotycznej.

Przysły numery „Wolnej Polski”, organu ZPP. Na pierwszej stronie ze wzruszeniem ujrzałem fragment poematu Juliana Tuwima „Kwiaty polskie”, zaczynający się: „Chmury nad nami rozpał w lunę, Uderz nam w serca złotym dzwonem, Otwórz nam Polskę, jak piorunem

Otwierasz niebo zachmurzone...”

Dowiedziałem się, że w szeregach organizatorów Związku Patriotów Polskich działa Kazimierz Witaszewski, przedwojenny związkowiec. Byłem z nim w ścisłym kontakcie w latach mej pracy w „Expressie”. Informował mnie o strajkach i innych akcjach robotniczych. Napisałem do niego obszerny list.

Jedna dobra wiadomość goniła drugą. Niemcy dostawali w skórę, aż się kurzyło. Ponieśli sromotną porażkę wiosną 1943 po natarciu wojsk radzieckich w rejonie Kurska. Armia Czerwona przeszła do kontrataku, opanowała Orzeł, Białgorod, Charków. Sukcesy odnosiły wojska alianckie: w Afryce skapitulowały ostatnie oddziały wojsk niemiecko-włoskich.

Wojenkomat znowu ogłosił zaciąg, tym razem ochotniczy, do naszej I Dywizji formującej się pod patronatem Związku Patriotów Polskich w Sielcach nad Oką. Otrzymałą instrukcję mylnie zinterpretowano: zawiadomiono nas, że zaciąg dotyczy Polaków, nie wspomniano nic o obywatelach polskich żydowskiego pochodzenia - i w związku z tym kazano nam opowiedzieć się, do jakiej nacji kto należy.

Na tym tle rodziły się różne spekulacje, w zależności od warunków rodzinnych, planów na przyszłość, poczucia obywatelskiego, patriotyzmu. Jedni chcieli walczyć ze wspólnym wrogiem, tych było najwięcej, innym zależało jedynie na przeniesieniu się z Azji do Europy, byli i tacy, co woleli zostać na miejscu. Dochodziło do kapitalnych sytuacji, które członek komisji wojskowej tak skomentował:

- Niczewo nie ponimaju! Szlama Rozenkranc - Poliak, Jan Kiejstut Kulewicki - Jewriem! Sam czort nie rozbieriot w czom dieło!

Jeśli idzie o mnie, sprawa była oczywista. W drodze do punktu zbornego nie pozbędę się trwałego kalectwa, zawrócę mnie do Chacaka, więc zostałem, okazując jakby na usprawiedliwienie decyzję o zakwalifikowaniu do kategorii „E”.

I oto nadszedł najradośniejszy, najpiękniejszy dzień w życiu moim i Ludmiły. Pierwszego września 1943 przyszła na świat nasza córka! Postanowiliśmy nadać jej imię „Helena” dla uczczenia pamięci mojej zmarłej matki. Pracownik ZAGS (otdzieł Zapisa Aktów Graždanskowo Sostojanija), poczciwy Tadżyk, nie mógł ani wymówić, ani napisać poprawnie obco brzmiącego słowa. I zarejestrował naszą córkę w księdze metrykalnej jako „Chlina”, co bardziej przypominało nadawane tam imiona dziewczynkom.

- To dobry znak! - orzekli Polacy, gratulując nam potomka. - Jak w rocznicę wybuchu wojny urodziła się dziewczynka, to znaczy, że wojna niedługo się skończy!

Zapadłem na malarię. Była to tak zwana „triechdniowka”. Zapomniałem zapytać w szpitalu, czy nazwa pochodzi stąd, że malaria trwa trzy dni, czy też trzy dni przebiega okres inkubacji zarazków. Mimo czterdziestostopniowego upału trząłem się pod trzema kocami jak galareta.

Kiedy mnie wypisywano, do izby przyjęć wszedł zastrachany Tadżyk. Zafundował sobie tryperka i składając błagalnie dłonie jęczał przed felczerką:

- Towariszcz wracz, pomogitie... Mój wodoprowod płaczet, płaczet...

Skończyły się żarty, zaczęły się schody. To już nie przelewki, mam córkę, trzeba się o nią zatroszczyć, jak na kochającego tatę przystało. Muszę znaleźć solidną pracę, zabezpieczyć dziecko i żonę przed chłódami, bo szło ku zimie.

Udało mi się połączyć jedno z drugim. Finotdieł szukał kogoś, kto podjąłby się transportu tortu z pobliskiej ITK - Isprawitielno Trudowej Kołonny - czyli mówiąc krócej, z obozu pracy przymusowej. Torf do wolnej sprzedaży nie trafiał, przydziały otrzymywały tylko instytucje dla własnych potrzeb.

- Co piąty wóz będzie wasz - powiedział dyrektor tej szacownej instytucji.

- A kto mi pomoże w ładowaniu? Sam nie dam rady.

- Nie martwcie się o to. Tam jest dosyć rąk do pracy.

Pobiegłem do domu z radosną nowiną. Raz, dwa, wzięli... Raz, dwa drużno, jeszcze nužno!...

Wyruszyłem o świcie wozem drabiniastym, zaprzężonym w parę wołów. Jak to było?

Pognała wołki na Bukowinę, Wzięła skrzypeczki swoje jedyne, I chodzi, i płacze, Czy ja swoje siwe wołki zobaczę?...

Moje też były siwe, tylko trasa nie ta, a zamiast skrzypiec wzięłem solidne biczysko do poganiania powolnych z natury zwierząt.

Poszło mi o wiele łatwiej, niż przypuszczałem. Do pensjonariuszy ITK zagadałem „po błatnemu”, poczuli swego, uwijali się jak w ukropie, a poczciwe wołki nawet dość szybko odbyły powrotną drogę.

Obróciłem już sześć razy w tygodniu i zgodnie z umową jeden wóz torfu wyładowałem w komórce Soroczkinów. A. ta siódma wyprawa...

Nic nie wróżyło nieszczęścia. Woły były spokojne, obojętnie przyglądały się ładowaniu. W drodze powrotnej jeden ni stąd ni zowąd odmówił posłuszeństwa. Ukłął i nie reagował na moje rozpaczliwe „Cop dierzi!”. Więźniowie ostrzegli mnie, że dłuższy postój na torfiastym gruncie grozi ugrzęźnięciem wozu, a co za tym idzie - koniecznością rozładowania go i innymi komplikacjami. I powiedzieli jeszcze:

- Pamiętaj, jak ci się wół rozkraczy, jest tylko jeden sposób postawienia go na nogi. Podwiń mu ogon i wsadź biczysko w dupę jak najgłębiej!

Brrr... Czuję do siebie wstręt za bezlitosne tępienie żółwi (wtedy chodziło chociaż o zaspokojenie głodu), a tu w perspektywie znowu znęcanie się nad bezbronnymi stworzeniami.

Rozejrzałem się dokoła. Po obu stronach drogi, niewiele szerszej niż rozstęp kół, zionęły grozą bezdenne przepaście. Co będzie, gdy wóz się przechyli i runie tam ze mną i wołami? Mała Helenka nie nauczyła się jeszcze mówić „tata”...

Pokrywające trakt gałęzie trzeszczały. Wóz wyraźnie zapadał się. Uniosłem byczy ogon... Zwierzę z doświadczenia chyba przeczuwało, co je czeka, bo poderwało się, jakby w nie piorun strzelił i pociągnęło za sobą swego towarzysza. Uchwyciłem się dyszla oburącz, leżąc na brzuchu splotłem nogi na tej mojej desce ratunku i zamknąłem oczy.

Woły, ciężko dysząc, pomaszerowały ku bramie. Ufff... byłem spocony jak mysz „w połogu, ale cały i zdrowy.

Co zrobiłem? Ano torf oddałem w Finotdziele razem z przepustką do ITK i wymówiłem się od dalszej pracy evitimonitem i łabirintitem, które to dolegliwości nagle mnie zaatakowały.

Ludmiła miała dla mnie dobrą wiadomość. Była u niej kierowniczką znajdującego się vis a vis naszego domku przedszkola i spytała, czy nie podjąłbym się obowiązków dozorczy. Poza pensją bezpłatne wyżywienie dwa razy dziennie, praca nietrudna, ot pozamiatać, posprzątać, a najważniejsze - w nocy dawać baczenie, by nie rozkradziono dobytku.

Bomba! O takiej pracy marzyłem. Tuż przy domu, z dala od wszelkiej zwierzyny, bo w przedszkolu nawet psa nie było.

Stary Chakim, zawchoz, czyli zarządzający gospodarstwem, udzielił mi odpowiednich instrukcji.

- Źle ci tu nie będzie. Tylko pamiętaj - deszcze w Tadżykistanie padają rzadko. Sam będziesz musiał polewać, niebo cię nie wyręczy.

Chakim był wymagający, żądał porządku. Jako insygnia władzy wręczył mi splecioną przez siebie z łodyg ryżu miotłę. Nie przemęczałem się. Do pracy przychodziłem po południu, kiedy rodzice odbierali dzieci, w nocy wyносiłem do ogródka stół, kładłem na nim siennik i kimałem błogo do świtu.

Raptem - ktoś pociągnął mnie za ramię.

- Aka, aka... to dla ciebie... - nocny przybysz wskazał bielejący u mych stóp pagórek.

- Co to takiego - przetrąłem oczy.

- Karbos... Twój marzdion pomogł mój rebionok, pust' on uszyjot dla siebie płacie... (Twoja żona pomagać moje dziecko, niech ona uszyje sobie suknie),.

Karbos to rodzaj gazy, tylko znacznie grubiej tkany. Szyto z niego worki do transportu bawełny, a że złodziei nigdzie nie brak, znaleźli się i w Chłopkowym Zawodzie. Cenny surowiec wyrzucali z worków, topili go w kanałach, a opakowanie szło na koszule, w których Tadżyczki wdzięcznie defilowały po osadzie.

Co miałem zrobić z tym fantem? Tadżyk zniknął, jakby go goniło sto jamonów, diabłów. Odnieść prawowitym właścicielom? Pomyślą, że przyszedł skruszony przestępca. Po wypraniu worków żona uszyła z nich pieluchy dla rozkrzyczanej córki.

I tak mi się pracowało na dozorcostwie, aż któregoś dnia do Chanaka zawitała na inspekcję komisja ze stalinabadzkiego wydziału oświaty. Przewodniczący, Tadżyk w bajecznie kolorowej tiubiatiejce i takimż jedwabnym chałacie, zajrzał do każdego kąta i wdał się w pogawędkę z kierowniczką.

Stałem obok, mocowałem się z niesforną deską w płocie. Dobiegały mnie słowa dyskusji o Majakowskim. W pewnym momencie wtrąciłem jakąś uwagę o ulubionym poecie. Tadżyk szeroko otworzył oczy.

- Kim jest ten wasz dozorca? - zapytał kierowniczkę, odciągając ją na stronę.

Potem porozmawiał ze mną i udał się w dalszy obchód, oglądając się co chwila w moją stronę.

Po dwóch tygodniach Chakim wezwał mnie do swego kantorku.

- Przyszło pismo z wydziału oświaty w Stalinabadzie. Chcą, żebyś przyjechał. Na pewno nie minie cię premia za dobre sprzątnięcie...

Z polecenia kierowniczkę wystawił mi komandirówkę do stolicy.

O, gdyby ten dokument zachował się do dziś! Byłaby to chyba jedyna w swoim rodzaju delegacja służbowa: przy wyjeździe podpisałem ją jako dozorca, a nazajutrz, po powrocie, skasowałem jako... nauczyciel.

Rozmowa w Stalinabadzie była krótka.

- W Chanaka mieszka dwadzieścia waszych rodzin. Dzieci są w wieku szkolnym. Muszą się uczyć. Będziesz nauczycielem w polskiej szkole. Damy ci do dyspozycji jedną klasę w naszym budynku.

Radość w naszej kolonii była przeogromna. Natomiast ja chodziłem zafrasowany. Szkoła to nie prywatne korepetycje. Dzieci należy uczyć systematycznie, a skąd wziąć podręczniki? Poza egzemplarzami „Wolnej Polski” nie dysponowałem żadnym drukiem w polskim języku. A przecież nie można czytać maluchom artykułów ani nawet wiersza



Tuwima, to za trudne dla ich percepcji. Przypomniałem sobie fragmenty kilku wierszy ze szkolnych lat, w tym całego „Dziada i babę” Kraszewskiego. Tabliczka mnożenia nie wywietrzała mi z głowy, tak samo zasady pisowni. Na początek dobre i to, a co dalej - zobaczymy.

Nasza klasa znajdowała się na parterze. W czasie zajęć lekcyjnych rodzice dzieci przystawali w otwartych oknach. Siedziałem przy katedrze i deklamowałem, wybijając ręką rytm na pulpicie:

Był so-bie dziad i ba-ba, bar-dzo sta-rzy o-bo-je, o-na kasz-lą-ca, sła-ba, on skur-czo-ny we dwo-je...

Klasa chórem powtarzała za mną wiersz, stanowiący żelazny repertuar programu nauczania. Na przerwie podeszła do mnie pani Jabłunkowa, której dwie córki były moimi uczennicami.

- Panie nauczycielu, ja rozumiem: był sobie dziad i baba, był sobie raz, był dwa razy, niechby trzy, ale na miłość boską nie codziennie!

Ucząc dzieci, pilnie baczyłem i na siebie, aby ustrzec się przed błędami moich wczesno szkolnych lat. Nauczycielka polskiego zapytała mnie jakie znam rzeczowniki. Odpowiedziałem: żyjące i nieżyjące. „Wymień kilka żyjących, „Człowiek, pies, koń”. „A nieżyjące?” „Zdechły człowiek, zdechły pies, zdechły koń”.

Popisałem się w domu i inną rewelacją. Powiedziałem, że gdy rzucaliśmy kamienie do stawu, to mój najdalej popłynął. Brat nadstawił uszu.

- Od kiedy kamienie pływają?

Zamiast przyznać się, że to były okruchy żużlu, upierałem się jak osioł, że autentyczne kamienie. Aż zaciągnięto mnie nad staw.

- Widzisz te kamienie na dnie? Gdyby pływały, znalazłyby się na powierzchni jak drewno, papier czy inne lżejsze od wody przedmioty.

Nadeszły z Moskwy upragnione podręczniki szkolne w polskim języku, wydrukowane dzięki staraniom Związku Patriotów Polskich. Z najnowszego numeru „Wolnej Polski” wyciąłem portret Kościuszki i na dużej pauzie przybiłem go do ściany w naszej klasie, odłupując kawał tynku.

- Czemu niszczysz ścianę? - zgromił mnie woźny Jussuf. - To tak postępuje były dozorca? A w ogóle kim jest ten kurnosy, obywatel? - wskazał na portret.

Gdy wyjaśniłem, że to nasz bohater narodowy, że jego imieniem nazwano polską Dywizję Piechoty, która już przeszła chrzest bojowy u boku radzieckich towarzyszy w

walkach na Białorusi i pod Lenino, udobruchał się. I odtąd - jak długo istniała polska szkoła w Chanaka - Naczelnik patrzył na szkolną dziatwę z wysokości.

Powracam myślami do tamtych czasów. Do rozpływających się w ustach brzoskwiń, melonów, winogron pokrytych ranną rosą. Do czajchany, gdzie popijałem orzeźwiający kukuczaj i słuchałem urzekających opowieści mego babaja. Do pachnących lepieszek, których nieraz było mi brak. Do niebotycznych szczytów Pamiru. Do gościnnych Tadżyków...

Najczęściej przypomina mi się to wszystko, gdy przechodzę obok szkoły i słyszę gwar dziecięcych głosów. Jak żywa staje mi przed oczyma postać kruczowłosego młodziana, trzymającego w ręku... dziennik klasowy? Nie, splecioną misternie z łodyg ryżu - miotłę!

## ÓSMY WIATR

Żona przybiegła do domu z wypiekami na twarzy - Żebyś więcej nie przynosił mleka z bazaru! Widziałam tam trędowatego! Sprzedawał katyk!

Poszedłem sprawdzić. Stary Tadżyk rzeczywiście miał zewnętrzne objawy tej strasznej choroby. Charakterystyczna „lwia czaszka”, zapadnięta kość nosowa, białe grudki między palcami rąk - ...

Lepra często nawiedzała tę połąć kuli ziemskiej. U podnóża gór wznosił się kompleks budynków, które tubylcy panicznie omijali z daleka. Były to leprozoria, izolowano w nich trędowatych, nieraz całe rodziny. Mieli zapewnioną troskliwą opiekę. Dzieci, przychodzące tam na świat, przewożono do innych miejsc i poddawano je kwarantannie.

Nie pamiętam epilogu naszego odkrycia. Czy to był autentyczny trędowaty, który uciekł z zamknięcia, co raczej wydaje się nieprawdo-podobne, czy może ukrywał się dotąd ze swą chorobą w domowym zaciszu, a może gruźlica skóry, róża czy inna przypadłość tak zniekształciła mu twarz?

- Trąd azjatycki nie jest zaraźliwy dla Europejczyków - oświadczył autorytatywnie jakiś mędrzec z naszej kolonii.

Bzdura, no bo skąd w takim razie wzięła się ta choroba w Polsce w XV wieku, zbierając obfite żniwo?

Przed laty, gdy nie znano jeszcze preparatów sulfonowych, trędowaci bardzo się męczyli. Lepra powodowała rozległe zniekształcenia ciała, zmiany neurologiczne, zaburzenia czucia. Znane były wypadki, gdy trędowaci niechcący kładli rękę na rozżarzonej płycie kuchennej i cofali ją dopiero, gdy poczuli swąd przypalonego mięsa. Porażeni leprą umierali w męczarniach, dzisiaj dzięki owym preparatom i innym zdobyczom medycyny, choroba ta ma o wiele łżejszy przebieg.

Dopiero pod wpływem przeżytego szoku uświadomiłem sobie, w jak anty-sanitarnych warunkach odbywała się na bazarze sprzedaż mleka, zwłaszcza smakowitego kатыku.

Apa odmierzała swoją szklanką napój, po czym do opróżnionej wkładała palec, wylizywała skrupulatnie resztki, aby z tej samej szklanki nalać kатыku kolejnemu reflektantowi.

- Ciućka (świnia), tfu! - zgromiłem ją. - Jak tak można? Eto bezobrazije!

Spojrzała na mnie zdziwiona.

- Czewo twoja kriczit? Eto mój kатыk, mój stakan! (Dlaczego krzyczysz? To przecież moje mleko, moja szklanka!).

Sąsiadka naszej gospodyni hodowała okazałą krasulę, chętnie godziła się dostarczać nam codziennie mleko prosto od krowy. A z kатыku definitywnie zrezygnowałem. Za moim przykładem poszli inni.

Mimo uciążliwych warunków, w jakich żyliśmy, Helenka rozwijała się prawidłowo, nie chorowała, co było niewątpliwą zasługą jej matki, czuwającej nad dzieckiem w dzień i w nocy. Nasza córka stała się pupilką polskiej kolonii. Pierwsze dziecko wśród uchodźców, urodzone w zapadłej osadzie egzotycznego Tadżykistanu!

Jako pracujący nauczyciel dostawałem więcej chleba na kartki. I chociaż mógłbym zjeść nawet podwójne porcje, część przydziałowego pieczywa wymieniałem na winogrona. Dziecko chętnie piło soczek, a Tadżycy, z którymi dokonywałem tych transakcji, pukali się w czoło.

- Krugom durak, kto słyszał, żeby chleb oddawać za winogrona, które same rosną?

Ludmiła napisała do znajomych w oswobodzonej Odessie, pytając o swego brata. Straciła z nim kontakt w wojennej zawierusze. Radosna nowina nadeszła szybko: Janek zdrów i cały mieszka w Uljanowsku na takiej, a takiej ulicy. Korespondencja nabrała rozmachu. Listonosz przyniósł wreszcie oczekiwaną przesyłkę. Szwagier serdecznie zapraszał naszą trójkę do siebie. „Będzie wam tu dobrze, na razie zamieszkamy razem w pokoju sublokatorskim, potem wyszukamy coś odpowiedniejszego”.

Nie chciałem nawet słyszeć o przenosinach. Albo mi tu źle? Wyjechać, gdy wreszcie znalazłem spokojną, satysfakcjonującą pracę? Ze słonecznej krainy nad Wołgę, gdzie szalejące wiatry urywają głowę, a mrozy paraliżują zimą życie? W tak daleką drogę z rocznym dzieckiem? W wojennych warunkach, bez podstawowych wygód? To przecież tak, jak położyć się ze zdrową głową do chorego łóżka!

Ale w miarę upływu czasu mój opór topniał. Wpływały na to wieści z frontów walk. Już całe terytorium Związku Radzieckiego zostało wyzwolone spod okupacji niemieckiej, a w czerwcu 1944 oswobodzony został pierwszy skrawek Polski na jej wschodnich rubieżach.

I gdy nadszedł list od Kazimierza Witaszewskiego, który wyrażając radość z mego ocalenia napisał: „Niech pan się postara jak najszybciej dotrzeć do nas, potrzebujemy takich ludzi jak pan” - podjąłem decyzję - Napisz do Janka, niech przysyła papiery. Jedziemy!

Gdybym przewidział, co mnie spotka w Ulianowsku - w tej ziemi obiecanej, za skarby świata nie ruszyłbym się z miejsca...

Są wydarzenia w mym życiu, nawet z najodleglejszej przeszłości, które mogę opisać z wszelkimi szczegółami. Inne, nie mniej ważne, rozplynęły się w pamięci, jak na przykład nasza wyprawa do Ulanowska. Zabijcie mnie, ale w żaden sposób nie potrafię uprzytomnić sobie tej długiej podróży z maleńkim dzieckiem na ręku. Nawet trasę musiałem zrekonstruować za pomocą mapy. Trzy lata temu przeprowałem się do Azji morzem, droga powrotna wiodła lądem: Taszkent, Kzył-Orda, Aralsk, Saratow, Kujbyszew...

Racja, jedno wydarzenie pamiętam. Przejeżdżaliśmy koło Jeziora Aralskiego i za namową maszynisty naszego pociągu kupiłem na bazarze po słonej cenie worek soli.

- Sali zawsze brakuje w czasie wojny - powiedział. - Zobaczysz, jak ci się przyda!

Wyszedłem na tej soli jak Zablocki na mydle. Nasiąkła wilgocią, musiałem ją dźwigać na plecach, suszyć po przyjeździe w piekarniku, by nazajutrz stwierdzić, że czego jak czego, ale soli w Uljanowsku od groma - bieri skolkno ugodno i to po państwowych cenach.

I jeszcze jeden szczegół przypominam sobie. Janka nie było na przystani, spóźnił się. Na drugi brzeg Wołgi przeprowiliśmy się w huraganowym wietrze wątlą łódką.

Gospodyni szwagra była sympatyczna, wzięła Helenkę na kolana, bawiła się z nią. Po tygodniu poprosiła Janka do siebie i oświadczyła:

- Nie mogę spać po nocach, dziecko płacze, nie wytrzymuję nerwowo. Bardzo mi przykro, ale musi pan wyszukać dla swojej rodziny inne mieszkanie. Na dniach przyjeżdża do mnie staruszek krewny, dalszy pobyt z dzieckiem jest niemożliwy...

Wyprowadzić się? Dokąd? Wynajęcie jakiegoś pokoju, nawet zamieszkanie u kogoś kątem, mimo przysłowiowej gościnności Rosjan, było marzeniem ściętej głowy. Do Uljanowska, jak do innych miast, leżących z dala od działań wojennych, napłynęła fala uchodźców z te-renów, które pierwsze padły ofiarą inwazji hitlerowskiej.

I po to opuściliśmy Chanaka, gościnny dom w pełnym tego słowa znaczeniu, bo „chanaka” to po tadżycku: dom noclegowy dla pielgrzymów, by teraz nie mieć gdzie ułożyć skołatanych głów?

Brat żony pracował w wojskowej instytucji na „nowostrojce” w Zawołżu, przedmieściu Uljanowska. Stał tam domek zajęty na magazyn toporów, pił, hebli. Szef Janka przejął się naszym losem, wyraził zgodę na przeniesienie magazynu do innego pomieszczenia, a my za jego przyzwoleniem wprowadziliśmy się do opróżnionego budyneczku.

Była to jakby z upiornej bajki braci Grimm chatka na kurzych nóżkach. Podłogę zastępowało klepisko z ubitej gliny, ściany z dykty, podwójne, między nimi trociny mające zabezpieczyć przed chłodem. Izdebka nie miała nawet dwóch metrów wysokości. Na świat wyglądały dwa maciupkie okienka, służące przedtem do wydawania robotnikom narzędzi pracy. Do izby przylegał przedsionek z wielgachnym sundukiem, skrzynią. Wyposażenie klitki stanowiły: zbite deski ułożone na kozłach, zastępowały nam łóżko, kilka półek, dwa taborety, „radioto-czka” na ścianie i jakieś skrzynki. Z jednej zmajstrowałem posłanie dla dziecka.

Prawdziwym dobrodziejstwem naszego „mieszkania” była kuchenka z szamotowych cegieł, z przewodem kominowym. Żeby nie zamrznąć na kość, a mróz już chwycił po nocach, musieliśmy okrąglą dobrą palić pod kuchnią. Tylko czym? Nawet nie wiem, czy na Zawołżu był jakiś skład opału.

Poradziłem sobie z tym problemem. Przed domkiem ciągnął się długi rząd drewnianych szaletów. Deska po desce ogałacałem nocą tylną ścianę tych przybytków i na zmianę z żoną podtrzymywaliśmy ogień.

Wodę czerpaliśmy z „kołodca”, studni. Wiadro stało w przedsionku. Nad ranem pokrywała je skorupa lodu. Przygotowane na zimę ziemniaki stwardniały na kamień w skrzyni, gdy tylko temperatura na dworze spadła do kilku stopni poniżej zera.

Lokatorzy baraków „nowostrojki” sarkali na uprawianą przeze mnie dewastację ich świątyni dumania, jednakże zobaczywszy, w jakich warunkach mieszkamy z małym dzieckiem, machnęli ręką. Ten i ów podrzucał jeszcze trochę szczapek.

Z upływem czasu tylna ściana szaletów przestała istnieć. Zachodzących tam użytkowników odróżniałem nie tyle z twarzy, ile z czegoś wręcz przeciwnego i niżej.

Jakimż luksusem w porównaniu z tym koszmarnym domkiem był barak w rybińskim obozie pracy! Niemal hotelem pod pięcioma gwiazdkami. Bo i cóż z tego, że cieszyłem się teraz wolnością? Tam byłem sam, tylko o sobie musiałem się troszczyć, tutaj mała dziecina i żona nie w najlepszej kondycji fizycznej.

Co gorsza, głód zaglądał nam w oczy. Zdesperowany zakradłem się do sąsiedniej obory. W pojemnikach na karmę leżały makuchy, wytloki z ziaren słonecznika. Porwałem

jeden i łączywie począłem gryźć. Wszystkie krowy mają tęskne, marzące spojrzenie, ta, co patrzyła na mnie, przysiągłbym, współczuła mej doli...

Poznałem Alojzego. Był aplikantem adwokackim we Lwowie. Pracował razem z moim szwagrem na budowie jako zaopatrzeniowiec.

Zaprzyjaźniliśmy się. Często zachodził do naszej chatki. Kilka razy dał nam kartki na chleb.

- Zatrudniamy kilkaset ludzi. To ktoś zachoruje i pójdzie do szpitala, inny wyjedzie, zostają mi kartki na zbyciu. Kupcie sobie chleba, za dużo go nie macie...

Zawarłem też znajomość z panią Heleną Korab. Jej mąż, przedwojenny pułkownik, został w Warszawie. Pani Helena przyjechała na Zawółże zobaczyć jak mieszkamy. Wzruszyła się naszym losem. Namówiła mnie, żebym się zgłosił do filii Związku Patriotów Polskich w Uljanowsku.

- Oni nie mają ludzi do pracy. Na pewno chętnie pana zatrudnią. Otrzymują z zagranicy dary, odzież, żywność.

Przyjęto mnie z otwartymi ramionami, wciągnięto na listę stałych pracowników. Do moich obowiązków należało prowadzenie kroniki, rozmaite czynności administracyjne.

- Na Zawółżu jest sporo Polaków. Niech się pan nimi zajmie. Trzeba podtrzymywać w nich ducha patriotycznego. Damy panu lekturę...

Drogę do miasta z dworca podmiejskiego pamiętam doskonale. Szło się drewnianymi schodami wysoko w górę. Byłem młody, pełen sił, nic mnie te codzienne wspinaczki nie męczyły. Przeskakiwałem po kilka stopni i nawet się nie zasapałem.

Pani Helena zaprosiła nas do swego mieszkania. Zajmowała w Uljanowsku obszerny pokój z kuchnią w solidnym, murowanym domu.

Z zazdrością spoglądałem na kran, umywalkę, wygodne meble i kuchnię, z której emanowało błogie ciepło.

Przyszedł znajomy gospodini. Zygmunt Sz. Studiował jako ekstern na uniwersytecie w Kazaniu. Mieszkał w Uljanowsku na ulicy Lenina, u rodziny, chodził z ich córką, mieli się pobrać. Szybko za-przyjaźniliśmy się. On również odwiedzał nas i szczerze współczuł naszej doli.

W drodze powrotnej na Zawółże napotkaliśmy oddział krasnoarmiejców. Mieli przewieszane przez ramię pepesze. Przytaczam ten szczegół, bo gdy w pierwszych odcinkach tych wspomnień drukowanych w łódzkich „Odgłosach” opisałem żołnierzy defilujących we Lwowie z pepesami, czujny jak zwykle szef tygodnika LuceK Włodkowski powiedział:

- Stary, lata ci się nałożyły. W 1939 roku jeszcze nie było pepesz.

Miał rację. Z encyklopedii dowiedziałem się, że pepeszę, pistolet maszynowy, skonstruował dopiero w roku 1940 inżynier radziecki Szpagin. Od jego nazwiska wzięła się ta nazwa: P-P-Sza, pistolet pu-liemiot Szpagina.

Z zapalem zabrałem się do powierzonej misji. Większość Polaków na Zawolżu pracowała na budowie. Chętnie odwiedzali naszą chatkę, stała się ona dla nich istną Mekką. Przychodzili porozmawiać, dowiedzieć się nowinek, pośpiewać. Rozprawialiśmy o perspektywach powrotu do ojczyzny. Były one pomyślne. Dobiegał końca rok 1944, rok zwycięstw koalicji antyfaszystowskiej na wszystkich frontach. Rumunia i Bułgaria przystąpiły do wojny z Niemcami, padł Rzym, wojska sprzymierzonych wylądowały w Normandii, na Oceanie Spokojnym sojusznicy wyzwolili okupowane przez Japonię tereny.

I oto pewnego dnia, gdy trzaskający mróz wymalował piękne kwiaty na okienkach naszej izdebki, usłyszałem komunikat z głośnika...

Zaraz, zaraz, jak on brzmiał?

- Ot Sowinformbiuro... Siewodnia, diewiatnadcato wo janwaria, poslie ożestoczonych bojów naszi wojska oswobodili gorod Łódź...

Nie dotrwałem do tradycyjnego zakończenia „Smierć niemieckim zachwaczikam”, chwyciłem córeczkę na ręce, puściłem się z nią w tany dokoła taboretu. - Pojedziemy do Łodzi, to miasto twojego tatusia, tam się tatuś urodził, tam pracował!

Wieczorem, w czasie nadawania ostatnich wiadomości, jeszcze raz chłonałem każde słowo radzieckiego spikera, Jurija Lewitana. Stentorowym, wstrząsającym głosem od wybuchu wojny komentował wydarzenia na frontach. Z przejęciem słuchały go miliony ludzi. I wtedy gdy mówił o klęskach, jakie na początku ponosiła zaskoczona armia radziecka, i później, kiedy odnosiła zwycięstwo za zwycięstwem.

Pani Helena często nas odwiedzała. Nigdy nie przychodziła z pustymi rękoma. Nie miała słów podziwu dla Helenki, obdarowywała ją łakociami, zabawkami. Powiedziałem jej o mych przeżyciach w Łodzi po zajęciu miasta przez hitlerowców, jak mnie męczyli na przymusowych robotach, bili. A jakie mam plany na przyszłość? Po zakończeniu wojny wrócimy do kraju, znowu poświęcę się zawodowi dziennikarskiemu.

- Kazimierz Witaszewski przysłał mi list do Tadżykistanu - pochwaliłem się. - Liczy na mnie, znamy się sporo lat...

Zygmunta Sz. również interesowały moje zamierzenia. Mogłem mu godzinami opowiadać o swych przygodach dziennikarskich, znał Łódź, mieliśmy wspólnych znajomych.

A któregoś dnia, gdy byliśmy sami, powiedział konspiracyjnym tonem:

- Nie powinieneś mieć przede mną tajemnic. Ja też byłem szomrem, członkiem młodzieżowej organizacji syjonistycznej...

Niepokój zakradł się do mego serca. Opowiedziałem żonie o tej rozmowie. O co mu szło? Nigdy nie należałem do żadnego ugrupowania politycznego.

Po kilku dniach wyzbyłem się podejrzeń. Zygmunt nie powracał do tego tematu, był jak zwykle serdeczny, o nic nie pytał. No cóż, coś mu się pokręciło, strzelił nie pod tym adresem i widząc pomyłkę wycofał się.

- Pójdę na bazar - powiedziałem żonie - zamienię butelkę przydziałowego oleju na cukier dla dziecka.

Bazaru uljanowskiego nie odwiedzałem tak często jak tego w Chanaka. Nie miał owego niepowtarzalnego kolorytu. Stroje sprzedawców szare, bezbarwne. Poza Rosjanami trochę skośnookich Tatarów, Czuwasze, Mordwini, Udmurci.

Zaciekawiał mnie poczciwy diad'ka, kręcący się po placu. W wyciągniętej dłoni trzymał dwie połówki od tytoniu kostki cukru i zachwalał swój towar:

- Sachar prodaju, sachar prodaju...

Nie na taki cukier reflektowałem, zresztą diad'ka wcale nie miał zamiaru go sprzedać! Gdy ktoś pytał o cenę, nie odpowiadał, szedł dalej i monotonnym głosem obwieszczał wszem wobec: „Sachar, sachar prodaju”.

„Pyszny facet - pomyślałem. - Żyje atmosferą targu, przychodzi tu tylko po to, żeby wtopić się w masę ludzką i przeżywać emocje posiadania pokupnego artykułu”.

- Posledujtie so mnoj... - usłyszałem za plecami. Młody cywil mignął mi jakimś znaczkami i delikatnie ujął za ramię.

Podszedłem posłusznie. „Natrą mi uszu za niedozwolony handel - przebiegło mi przez myśl. - Dowód rzeczowy w postaci butelki oleju mają w ręku, ale chyba nie będą robić ceregieli z tak błahego powodu”.

Cywil wprowadził mnie do gabinetu naczelnika milicji i zameldował o doprowadzeniu takiego a takiego.

- Czy w drodze nie spotkał on kogoś? Nie porozumiewał się z kimś?

- Niet, towariszcz naczalnik!

Naczelnik podszedł do kasy ogniотrwalej, wyjął okazałej grubości teczkę papierową. Ujrzałem wypisane na okładce wołowymi literami moje i Alojzego nazwiska! Oho, to coś poważniejszego niż ten olej.

Ale co mają przeciwko nam?

Twarz naczelnika była skupiona, głos urzędowy, skrzeczący.



- Imię, nazwisko?... Czy wiecie, dlaczego się tu znaleźliście?

- Przez ten olej. Chciałem go zamienić na cukier dla dziecka...

- Nie walajcie duraka! Chodzi o waszą działalność na terenie Związku Radzieckiego!

- Jaka działalność? Pracuję w Związku Patriotów Polskich, możecie sprawdzić.

Polityką się nie zajmuję. Czemu mnie zatrzymujecie? W domu czeka żona i dziecko...

- Wy swoje] żony i dziecka już nie zobaczycie!

I wtedy rozplakałem się. Moje spazmy nie wywołały żadnego odruchu współczucia na twarzy naczelnika.

- Trzeba było wcześniej pomyśleć o rodzinie. Teraz za późno, poniesiecie konsekwencje swej występnej działalności!

Coraz natarczywiej stawała mi przed oczyma postać Zygmunta. „Ja też byłem szomrem, w organizacji syjonistycznej. Nie powinieneś mieć przede mną tajemnic...” Boże, a więc prowokator!

W areszcie przesiedziałem do późnego wieczora. Przyszło dwóch konwojentów.

- Poszli! Priedupriieżdaju: szag w liewo, szag w prawo... - przypomniało mi się ostrzeżenie strażnika z Rybińska, tylko gdy tamten słowa - przestrogi wypowiedział beznamiętnym głosem, w ustach tego brzmiały one złowróźnie.

Szliśmy skutą lodem Wołgą. Z przodu żołnierz z wydobytym pistoletem, z tyłu drugi, opierając karabin z nasadzonym bagnetem o moje plecy.

- Uważajcie - poprosiłem - mogę się pośliznąć, pomyślicie, że to próba ucieczki...

- Wtedy bez wahania przebiję cię jak jadowitą żmiję! - pocieszył mnie.

Weszliśmy do budynku więziennego, przylegającego do domu, w którym jako sublokator mieszkał Zygmunt. Co za zbieg okoliczności!

Miałem na sobie kozuch ze skór dzikich psów. Nakładałem go fantazyjnie, włosem na wierzch. Wyglądałem w nim imponująco. Na mój widok dyżurny klawisz popatrzył niezdecydowany.

- Kto tu kogo przyprowadził? - zapytał.

- Jak chcecie, to ja tych dwóch grażdan - powiedziałem w przyływie wisielczego humoru.

Teraz i moi opiekunowie roześmieli się. Strażnik przywołał kolegę, ten poprowadził mnie ponurym korytarzem, otworzył drzwi celi.

- Zachodi. Twój topczan wozlie okoszka. (Wejdz. Twoja prycza koło okna).

Poomacku dobrnąłem do wskazanego legowiska. Po chwili oswojony z ciemnością wzrok wyłowił sylwetki ludzkie na narach. Więźniowie spali kamiennym snem, a może udawali? Ległem na moim łożu madejowym i pograżyłem się w smutnych rozmyślaniach...

Uljanowsk... dawny Symbirsk. Nazwa ta w języku tatarskim oznacza siedem wiatrów. Wieje, bo wieje tych siedem wiatrów w dorzeczu matuszki Wołgi, a mnie przywiał tu straszniejszy niż wszystkie tornada, tajfuny, chamsiny, samumy, cyklony - ósmy wiatr...

#### PRZED SĘDZIĄ ŚLED CZYM

Szarpnięto mnie za ramię.

- Podymajsa, uże utro!...

Zobaczyłem pochyloną nad sobą sępią, ascetyczną twarz. Rozbiegane oczka, jak u myszy schwytej w potrzask, wpatrywały się we mnie z ciekawością.

- Zaczto?

- Sam nie wiem... Zwinęli mnie na bazarze, handlowałem olejem...

- Niet, zdies' za eto nie sażajut... (Nie, tutaj za to nie wsadzają)

Zdies' wooot - przeciągnął sobie palcem po szyi.

Nie powiem, żebym poczuł się podbudowany tą informacją.

Rozejrzałem się po celi. Każdy więzień, przekroczywszy próg zamknięcia, najpierw kieruje wzrok ku oknu, za którym pulsuje życiem wolny świat. Może i on tam wkrótce... Do rzeczywistości przywołuje go krata. A za tą naszą, masywną, z zewnętrznej strony okna, zwieszała się jeszcze jedna zaporą: żaluzja z ukośnie ułożonych deszczulek. Przepuszczała światło dzienne, ale nic nie było przez nią widać. Tylko hurgot przejeżdżających samochodów świadczył o tym, że okno wy-chodzi na gwarną ulicę. Te fikuśne żaluzje zainstalowano w więzieniach rosyjskich w latach dwudziestych według pomysłu Jeżowa, może Jagody, ówczesnych Komanderów GPU, naczelnego organu radzieckich władz bezpieczeństwa. (Tu ciekawostka, którą muszę sprawdzić: Henryk Jagoda, Polak z pochodzenia, podobno był łodzianinem!)

Trzy prycze oprócz mojej. Więźniowie już byli na nogach. Snuli się z kąta w kąt, nie odrywając wzroku od drzwi. Czekali na klawisza i chleb.

Zgrzytnął klucz w zamku. Stanęliśmy jeden przy drugim, w przepisowej pozycji na bacność. Klawisz popatrzył na nas obojętnie, przez moment zatrzymał wzrok na mnie. Wiadomo, nowy. Odgarnął pierwszy z brzegu siennik, by sprawdzić, czy nie ma pod nim czegoś niedozwolonego, i wyszedł.

Odsunęła się kłapa w drzwiach. Ustawiliśmy się gęsiego po chleb i zbożową, niesłodzoną kawę.

Ten z sępią twarzą, jak się od razu domyśliłem, starszy celi, jeszcze przed wejściem klawisza wtajemniczył mnie w przepisy porządkowe,

- To areszt śledczy o zaostrowym rygorze. Żadnych widzeń, spacerów ani paczek. W ciągu dnia nie wolno kłaść się na pryczy. Strażnik co chwila zagląda przez judasza. Za byle co sadzają do ciemnicy. Miej się na baczności. Rozmowy tylko półgłosem...

Starosta nie mógł ustać w miejscu. Po śniadaniu, które jak jego koledzy zjadł klęcząc przy swej pryczy, żeby nie uronić najmniejszej okruszynki chleba, ruszył do porannego spaceru. Drobiącym, szybkim krokiem, jakby go ktoś poganiał, przemierzał celę wzdłuż i wszerz.

Przypomniał mi się stary kawał: myślisz, że jak będziesz tak chodził, nie będziesz siedział?

Nie wdawałem się w rozmowy, nie pytałem, kto za co. Jeszcze pomyślał, że kapusia nasłali. Siedziałem osowiały, tępym wzrokiem wodziłem po ścianach, pogrążony w ponurych rozmyślaniach. Co porabia Ludmiła i Helenka? Kto im pomoże? Na Janka nie można specjalnie liczyć, co on tam zarabia. Alojzy też siedzi, może w celi obok. Pani Helena! Ona na pewno zaopiekuje się Helenką. Taka była dla niej dobra, serdeczna...

- Wyniesiesz paraszę. Lejemy do niej, a za większą potrzebą wyprowadzają parami dwa razy dziennie. Potem strażnik nie wypuści.

Nie przestawałem myśleć o Zygmuncie. Swołocz! Jak on mógł? „Ja też byłem szomrem w organizacji syjonistycznej... Nie powinieneś mieć przede mną tajemnic...” Co za ironia losu! Siedzimy oddzieleni od siebie tylko tym murem. Tak, ale on na wolności, a ja w pierdłu.

Kiedy mnie wezwą na przesłuchanie? Wyznam wszystko, jak na spowiedzi, to najlepsza forma obrony. Przecież poza tym nieszczęsnym olejem nie mam nic na sumieniu!

Mijały bliźniaczo do siebie podobne dni. Bezbarwne, szare, ponure. Ogarnęła mnie apatia. Godzinami mogłem siedzieć na pryczy bez ruchu, nie odzywając się ani słowem. Wyrwałem włos z mego kozucha. Ile związę na nim supełków, tyle uratuję istnień ludzkich... Ludmiła, - Helenka, ojciec, Celinka, Manusia, Sabinka, Lutek, Marysia...

I od początku: Ludmiła, Helenka, ojciec...

Współlokatorzy celi nie zwracali na mnie uwagi. Włosy z kozucha były długie, elastyczne, nie pękały. Natomiast pękł mi bębenek w ostatnim, zdrowym uchu. Zatkanym palcami dziurki w nosie, nadałem się, usłyszałem krotki trzask - i grobowa cisza. No to koniec, ogłuchłem całkiem, bo na prawe ucho nie słyszę od dziecka po trepanacji czaszki.

W ambulatorium więziennym wpuścili mi jakieś krople. Bębenek zrastał się powoli. Przez tydzień, dwa, porozumiewałem się z współtowarzyszami celi na migi.

Z niecierpliwością oczekiwałem wieczoru. Gdy zgaśnie światło zawieszanej u sufitu żarówki, znowu zapomnę przez kilka godzin o wszystkim...

- Ej, ty! Nu-ka, sobirajsja na dopros! (Zbieraj się na przesłuchanie!) - strażnik potrząsał mną od kilku chwil.

Było już chyba po północy. Konwojent wyprowadził mnie na podwórze. Czekala na mnie kryta ciężarówka, więzienna suka do przewożenia aresztantów. Pudło samochodu podzielone było na tak wąskie klatki, że uniemożliwiały one jakikolwiek ruch. Uliczna kabina telefoniczna jest trzy razy obszerniejsza. Mogłem stać i to tylko w wyprostowanej pozycji. Klatkę zamykały wykonane z dźwiękochłonnego materiału ścianki, od podłogi do sufitu.

Samochód wjechał na dziedziniec obszernego gmachu. Mój anioł stróż poprowadził mnie przez labirynt korytarzy, korytarzyków, pięt. W pewnej chwili na widok swego kolegi, prowadzącego z przeciwnej strony aresztanta, skomenderował:

- Twarzą do ściany!

„Chyba nie strzeli mi w łeb? - pomyślałem. - Nie po to zostałem tu doprowadzony. Boi się, żebym nie dał tamtemu jakiegoś znaku porozumiewawczego...”

Sliedowatiel, sędzia śledczy, wskazał mi taboret stojący w bezpiecznej od jego biurka odległości. Po wstępnych pytaniach o rok, miejsce urodzenia, pochodzenie socjalne, stan rodzinny - przystąpił do sedna sprawy.

- Rasskażicie, etot wasz Alojzy pieriedawał wam chlebynye karteczki? (Powiedzcie, ten wasz Alojzy przekazywał wam chlebowe kartki?)

- Tak, kilka razy...

- Coście z nimi zrobili?

- Wykupywałem chleb, głodowaliśmy.

- Opowiedzcie szczegółowo, jak znaleźliście się na ziemi radzieckiej, czym się kolejno zajmowaliście.

Zrelacjonowałem moją ucieczkę ze Stefanem przez Małkinię, Zaręby Kościelne, Kowel, do Lwowa. Jak ze Lwowa trafiłem do obozu pracy przymusowej w Rybińsku, jak po amnestii przedostałem się do Azji Środkowej, gdzie przeżyłem trzy lata, i wreszcie o naszej wyprawie do Uljanowska.

- Czemu nie wspomnieliście, że Niemcy was prześladowali w Łodzi?

Skąd on o tym wie? Tylko pani Helenie powiedziałem, jak mnie hitlerowcy bili i zmuszali do pracy...

- To ona też? - wyrwało mi się.

- Jaka ona i co „też”? - podchwycił.

- Madam Korab. To, że znalazłem się tutaj, mogę w dużej mierze zawdzięczać Zygmuntowi Sz. Prowokator! Chciał, żebym się przyznał do przynależności w organizacji syjonistycznej. Nie zajmowałem się nigdy polityką, ani w Polsce, ani tutaj. Możecie sprawdzić, Łódź od kilku miesięcy jest wolna. A ta Korab też maczała palce w tej sprawie! Tylko jej wspomniałem o tej historii z Niemcami!

- I co? Tak bez niczego was puścili! Coście podpisali w zamian za wolność?

- Niczego nie podpisywałem! Nie byłem więziony, kazali mi codziennie zgłaszać się do roboty. Mieli mój domowy adres.

- Chcecie, żebym w to uwierzył? Za dobrze znamy metody hitlerowców... Czy otrzymywaliście jakieś listy w Tadżykistanie?

- Tak. Żona korespondowała ze swym odnalezionym bratem. On mieszka i pracuje w Uljanowsku. Ściągnął nas tutaj...

- A co pisał do was Jan Kwapiński?

Tu dokumentnie mnie zatkało. Kwapiński? Był przed wojną prezydentem Łodzi, nie znaliśmy się osobiście. Z przecieków do naszej placówki w Stalinabadzie wiedziałem, że „jest wrogo usposobiony do Związku Radzieckiego, że działa w polskim rządzie emigracyjnym w Londynie. Więc skąd to podejrzenie o kontakt z nim? Nagle olśniła mnie myśl: to też robota tej farbowanej lisicy! Dopuściła się więcej niż prowokacji, zmieniając nazwisko autora listu do mnie. Jej - i tylko jej - podałem nazwisko nadawcy - Kazimierza Witaszewskiego, a ona, żeby mnie pogrążyć, wymieniła Kwapińskiego! Nie miałem już żadnych wątpliwości;- Korab donosiła. Skąd do niej to luksusowe jak na wojenne warunki mieszkanie w centrum miasta? Skąd czerpała środki na życie? Przecież oficjalnie nigdzie zarobkowo nie pracowała!

- Panie sędzio, z całą stanowczością oświadczam: nigdy nie korespondowałem z Kwapińskim. List napisał do mnie Witaszewski, znany przed wojną działacz związkowy, prześladowany przez sanację za lewicowe poglądy. Łatwo się z nim skontaktować. Jeśli nie ma go już w Moskwie, w Związku Patriotów Polskich, przebywa na pewno w Łodzi. A co do pani Korab, powiem tylko tyle: szanuję ludzi, którzy z obowiązku walczą z wrogiem wewnętrznym, ale gardzę szpiczlami, donosicielami i prowokatorami!

Śledczy świdrował mnie wzrokiem. Od czasu do czasu zaglądał do swych notatek, robił nowe. Myślałem, że moje argumenty trafiły mu do przekonania, że zaraz...

- Rasskażicie podrobno, kak wy zanimalis' diejatielnostiej Protów Sowietkowo Sojuza? (Opowiedzcie szczegółowo jak działaliście przeciw Związkowi Radzieckiemu?)

- To krzywdzący mnie zarzut, panie sędzio! Moja cała działalność od chwili znalezienia się na ziemi radzieckiej sprowadzała się do ciężkiej walki o przetrwanie. Nie uprawiałem żadnej działalności politycznej!

- A jak wy ochaiwali zizn' u nas? (A jak wyszydzaście życie u nas?)

- Chociaż ciężko mi było czasami, nie narzekałem i nie ośmieszałem waszej rzeczywistości. Mimo represji, jakich niesłusznie doznałem w Rybińsku i tutaj, nie żywię do was wrogich uczuć. Przeciwnie, mogę być wam w pewnym sensie wdzięczny, bo dzięki wam cało uniosłem głowę. We Lwowie aresztowano mnie przypadkowo przez zbieżność nazwisk z moimi kuzynami. Oni zarejestrowali się na powrót do Polski, ja na pozostanie u was. Ale gdybym nie został wtedy zgarnięty, Niemcy po zajęciu Lwowa mnie pierwszego by rozwalili ze względu na pochodzenie!

- Zakuritie? - wyjął papierosa, położył go na brzegu biurka, cofając się z krzeselkiem.

- Spasibo, zakuriu.

- Powiedźcie, dlaczego w wędrówce po Związku Radzieckim oparliście się aż o samą granicę? Tadżykistan sąsiaduje z Afganistanem...

- Chyba nie podejrzewa mnie pan sędzia o próbę sforsowania Pamiru? To nawet w normalnych warunkach nieosiągalny wyczyn dla niedoświadczonego alpinisty.

Spojrzał na zegarek.

- Na siewodnia chwatit. Skoro opiat' uwidimsa. (Na dziś starczy. Niebawem znowu się zobaczymy).

Starszy celi zasypał mnie pytaniami. Jak było? O co pytali? Wykręcałem się jak piskorz, dając wymijające odpowiedzi. Upierałem się przy wersji z tym nieszczęsnym olejem, chociaż śledczy słówkiem o tym nie wspomniał.

- Jak wygląda ten sliedowatiel? Jaki ma stopień?

- Kapitan. Zażywny, przystojny, blondyn.

- To twój rodak, Polak! Starszy sliedowatiel, jewo familija Butowskij!

W pierwszej chwili ucieszyłem się. Co rodak, to rodak! Ale... jakie to ma znaczenie? Polak, nie Polak, o żadnym sentymencie nie ma mowy. Oficer NKGB nie okaże względów podejrzanemu o tak poważne przestępstwa, jak współpraca z Niemcami, korespondencja z wrogiem, ośmieszanie życia w Związku Radzieckim, manipulacje kartka-mi chlebowymi...

Sliedowatiel... Przed wojną w naszym aparacie ścigania też istniała taka funkcja, pośrednie ogniwo między policją a prokuraturą. Wyniki dochodzenia policja kierowała do sędziego śledczego, ten je uzupełniał, rozszerzał, gdy zachodziła potrzeba powoływał dodatkowych świadków, zarządzał konfrontacje, wizje lokalne. Z jednym takim sędzią i

wówczas miałem do czynienia, z tą różnicą, że szedłem do niego i wychodziłem, kiedy ja chciałem, bez osoby towarzyszącej. Zналиśmy się kopę lat. Alfred Braun był bratem właściciela gimnazjum przy ul. Narutowicza, do którego uczęszczałem. Wykładał łacinę. Czas nie za-tarł w mej pamięci jego wyglądu. Szczupły, o pociągłej twarzy, wygolona na zero głowa, binokle, z, za których spoglądały bystre oczy. Z łaciny zawsze byłem dobry. Znałem na wrywki zasady pięciu deklinacji, bezbłędnie, z właściwym akcentem, recytowałem wiersze, a mon ekstemporalna profesor nagradzał piątkami. W tym czasie, gdy zmienił zawód, zostałem reporterem, przypominałem się byłemu profesorowi, który w nagrodę za moje szkolne starania obdarzał mnie ciekawostkami kryminalnymi...

Po kilku dniach znowu w nocy zajechała po mnie więzienna suka.

Człowiek wyrwany z głębokiego snu mniej jest odporny na podchwytliwe pytania, nie potrafi precyzyjnie skonstruować odpowiedzi, łatwiej się załamuje. Ja trzymałem się dzielnie, nie miałem nic absolutnie do ukrywania i to był mój największy atut.

- Dlaczego wybraliście sobie na miejsce zamieszkania w Uljanowsku tę osamotnioną, położoną z dala od siedzib ludzkich chatkę? - brzmiało powitalne pytanie sliedowatiela.

- To była skrajna ostateczność. Bezskutecznie poszukiwałem jakiegoś przyzwoitego kąta dla siebie, żony i dziecka.

- Odwiedzali was w tym domku Polacy?

- Odwiedzali.

- Coście robili? O czym rozmawialiście?

- O wszystkim i o niczym. Dużo o Polsce, o perspektywach powrotu do ojczyzny...

- No, no! Właśnie. I coście im mówili na ten temat?

- Że nasz powrót do Polski uzależniony jest od dwóch spraw: zwycięskiego zakończenia wojny i wyrażenia zgody przez władze radzieckie.

- Taaak... Śpiewaliście piosenki?

- Owszem.

- Jakie?

Dobra jest, jeszcze jedna okazja popisania się repertuarem Lopka Krukowskiego, którego piosenkami najczęściej raczyłem moich słuchaczy.

I w pokoju starszego sliedowatiela Butowskiego, w pokoju' którego ściany nieraz były świadkami dramatycznych rozmów i scen, rozbrzmiał, zaśpiewany przeze mnie sznapsbarytonem, kuplet:

Jak się nie ma, co się lubi, To się lubi, co się ma, Tę zasadę zawsze kładę, Co się tyczy moje ja.

Może w gruncie rzeczy wolę...

Grete Garbo, Negri Polę, Ale biorę o tę porę

Nawet to, co Malcia da! - dokończył ku memu bezgranicznemu zdumieniu sędziego śledczy.

Skąd on zna słowa tej piosenki? Z całą pewnością nie słyszał jej w warszawskim kabarecie. Stanowisko, jakie zajmuje, wyklucza możliwość jego przybycia do Związku Radzieckiego w tym czasie co my. To starsza generacja, na pewno od najmłodszych lat przebywa w ZSRR, może się tu urodził. Więc skąd? Raptem przypomniał mi się młody facet, który ni stąd ni zowąd zjawił się w naszej chatce na Zawołzu i ponad godzinę zmitrężył na poprawianiu działających bez zarzutu przewodów elektrycznych...

- Bezbłędnie pan sędziego dokończył zwrotkę tej piosenki. I z właściwym, polskim akcentem - powiedziałem z uznaniem.

Do pokoju wszedł pułkownik. Piękny, galowy mundur oprócz dystynkcji zdobyły medale i inne odznaczenia. Śledczy wyprężył się jak struna i zameldował służbowo, kto i w jakiej sprawie jest przesłuchiwany.

- Wstańcie! - zagrział, obracając się w moją stronę. - Nie widzicie kto przed wami stoi? To pułkownik!

- Owszem - odparłem, nie kwapiąc się do zmiany pozycji - ale to wasz pułkownik, panie kapitanie, więc chyba nie mam obowiązku oddawania mu honorów. Zresztą nie jestem wojskowym, kategoria „E”...

Oblicze śledczego spurpurowiało, pułkownik machnął pobłaźliwie ręką.

- Siedźcie, siedźcie...

- To obojętne, czy pan pułkownik każe mi siedzieć czy wstać, i tak będę siedział! - wypaliłem.

Pułkownik wybuchnął śmiechem. Śledczy, widząc reakcję przełożonego, też rozchylił usta w uśmiechu.

- To dla was - powiedział pułkownik, zwracając się do mnie i położył na biurku nie rozpieczętowaną paczkę „Bielomorów”. - Wyrażacie zgodę, towarzyszu kapitanie?

- Da.

I dał. Nawet mi ognia użyczył. Po czym zasypał gradem pytań.

Obracały się wokół tych samych spraw: ja i Niemcy, ja i Alojzy, ja i kartki na chleb, a na zakończenie jak bumerang pytanie:

- Nu a tiepier raskazitie, kak wy zanimalis' diejatielnostiej Protów Sowietskowo Sojuza? - ale ton już nie był tak surowy, jak uprzednio.



A może mi się tylko wydawało?

Cela - przesłuchanie. Przesłuchanie - cela. Śledztwo przedłużało się w nieskończoność. Ile to już razy wyrywano mnie ze snu? Nie powiem, żeby te nocne wizyty u sędziego śledczego specjalnie mnie męczyły. Przeciwnie, jakbym do nich tęsknił. Jakieś urozmaicenie w monotonnym przebywaniu w zamknięciu, gdzie każdy kolejny dzień bliźniaczo jest podobny do poprzedniego: wizyta kławisza, fasowanie chleba, posiłek obiadowy...

Gdy roznoszono zupę, jeden z aresztantów, zawsze ten sam, przylepiał się uchem do drzwi i pilnie nadśluchiwał, uciszając nas gestem ręki. Po odgłosie zanurzonej w pojemniku chochli nieomylnie odgadywał, jaką zupą nas nakarmią - gęstą czy wodnistą.

- Siewodnia gałuszki... - oznajmiał z nabożeństwem.

I rzeczywiście w zupie pływały sytne kluski. A gdy plusk wypadał nie po jego myśli, krzywił się:

- Bałanda, idti ich mat'...

Rano, po obudzeniu się, więźniowie tradycyjnie opowiadali sobie, co się komu przyśniło, i w związku z tym kolegielnie stawiano horoskopy: to dobrze, a to zły znak. Nie znoszę tego zwyczaju. Kiedy znajomy zwierza mi się z przejęciem, jakie to przeżywał we śnie przygody, pytam nieodmiennie:

- A masz na to świadków?

Tego ranka zrobiłem wyjątek. Zanim ktoś zdążył otworzyć usta, zawołałem podekscytowany:

- Wiecie, co mi się śniło? Skrzynie pełne mydła! Co wy na to?

- Myło? - starszy celi aż przysiadł z wrażenia. - To znaczy, że się wybielisz, niedługo wyjdiesz na wolność!

- - Tak samo sobie tłumaczę ten sen. Tych skrzynek z mydłem było może dziesięć...

Tego samego dnia wezwano mnie na przesłuchanie. Ale już nie wśród nocy, zaraz po obiedzie.

Śledczy był jakby inny niż zazwyczaj. Głęboka zmarszczka spłynęła mu z czoła. W kącikach ust błakał się uśmiech.

- Siadajcie. Podpiszcie... - podsunął mi jakiś papier.

- Pan pozwoli, panie sędzio, że najpierw zapoznam się z treścią...

Nareszcie dowiedziałem się konkretnie, dlaczego osadzono mnie za kratkami. Zostałem aresztowany pod zarzutem przestępstwa, określonego przez „Zakon ot siedmowo i wosmowo awgusta”, ustawy z 7 i 8 sierpnia 1932, oraz artykułu 56 kodeksu karnego z 1940 r.

Ustawa z 1932 mówiła o... grabieży mienia (!) i przewidywała za to minimum 10 lat. Na podstawie tejże ustawy, nie wykluczającej i kary najwyższej, można było pociągnąć do odpowiedzialności obywateli od... 12 roku życia, na przykład za zbieranie kłosów na kołchozowych polach, albo kołchoźników, którzy sypnęli garść kołchozowego zboża swym własnym kurom. Artykuł 56 kodeksu karnego przewidywał nie mniejsze wyroki dla „wrogów ludu i zdrajców ojczyzny”. Po latach pod ten artykuł podciągnięto jeszcze kogoś - niejakiego Ławrentija Pawłowicza Berię...

Ale wtedy, u sędziego śledczego, nie miałem pojęcia, jakie kary niosą za sobą obie ustawy, nie zdawałem sobie sprawy, co mi groziło.

Zresztą już z pierwszych linijek podsuniętego do podpisu dokumentu wynikało, że wytoczone mi zarzuty nie potwierdziły się w śledztwie, wobec czego zostają anulowane. A więc nie zagarnąłem mienia socjalistycznego, nie współpracowałem z Niemcami, nie uprawiałem wrogiej działalności przeciwko Związkowi Radzieckiemu, nie zohydzałem i nie ośmieszałem warunków życia! Obwiniano mnie jedynie o nielegalne wejście w posiadanie kartek na chleb i za te machinacje mam stanąć przed sądem z takiego, a takiego artykułu.

Fala radości zalała mi serce. Kartki chlebowe? To drobiazg, ile ich było? Nie handlowałem nimi, nie spekulowałem, wykupiony chleb zjedliśmy. Dadzą mi miesiąc, no dwa, wojna niedługo się skończy, docierały do nas wieści o coraz nowych sukcesach wojsk radzieckich i aliantów, ogłoszą amnestię...

Ufff! Złożyłem zamaszysty podpis.

- Jaki wyrok mi grozi, panie sędzio?

- To zależy od sądu. Myślę, że niedługo znajdziecie się na wolności.

Jak bardzo chciałem go uściskać!

Niebawem wrócę do ciebie, córeczko! Będziemy się bawić, masz dwa latka, na pewno już ładnie mówisz „tata”!...

W SĄDZIE I GDZIE INDZIEJ

Jutro staję przed sądem! Do późna w nocy rozmyślałem, jaką przyjmę linię obrony, co powiem w ostatnim słowie.

Rano konwojent powiódł mnie do karetki. Tym razem suka została w garażu. Rozparłem się wygodnie na ławce. Po chwili wprowadzono Alojzego. Był jeszcze bardziej zarośnięty niż ja. Pomachaliśmy sobie ręką. Posadzono nas, jak wymagają tego przepisy, w przeciwległych końcach samochodu, żebyśmy nie mogli się porozumiewać.

Na ulicy, przed budynkiem sądu, zobaczyłem Ludmiłę. Zasłoniła sobie oczy. Chyba przeraziła ją moja zmierzwiona broda i wąsy.

Głośno warcząc nadjechał traktor. Kroczący obok mnie Alojzy odezwał się półgłosem, nie odwracając głowy, przed siebie:

- Pamiętaj, ja ci kartki sprzedałem, nie dałem. To dla twego dobra, mnie już nic... - urwał, traktor przejechał, a wiodący ze sobą rozmowę konwojenci nie zwrócili na nas uwagi. Dobrze że Alojzy szedł z mojej lewej strony, inaczej nic bym nie usłyszał.

O co mu chodzi? Dlaczego mam zeznać, że sprzedał mi te nieszczęsne kartki? Przecież to go bardziej obciąży... Ale chyba wie, co mówi. Jest prawnikiem, zna się na tych różnych kruczkach...

Konwojenci wprowadzili nas do sali sądowej i zajęli miejsca - każdy przy swoim kliencie.

Rozejrzałem się dokoła. Sala świeciła pustką. Zaledwie kilka osób zajęło ławki dla publiczności. To nie to, co na rozprawach w Sądzie Okręgowym w Łodzi, na placu Dąbrowskiego... Tam niemal każdy proces gromadził tylu ciekawskich, że woźny Sobieraj, sprawujący pieczę nad salą numer jeden na pierwszym piętrze, musiał przeprowadzać selekcję. Pamiętam go doskonale... Otyły, przysadzisty, w ledwo dopinającej się bluzie urzędowego uniformu ze złożonymi guzikami, gładko zaczesany, witał mnie zawsze wylewnie:

- Dzisiaj to pan redaktor będzie miał używanie! Inspektor policji Nosek na ławie oskarżonych! Nadkomisarz Weyer zarzuca mu olbrzymie nadużycia. Wie pan, jacy świadkowie będą zeznawać? Nosek powołał na swoją obronę „Ślepego Maksa”!

Ciekawsze sprawy na żywo relacjonowałem z sądu dla naszego „Expressu”. Co parę minut wybiegałem do kabiny telefonicznej, by przekazać ostatnie szczegóły do bieżącego numeru popołudniówki, która już po dwóch godzinach „ekspresowo” ukazywała się na mieście.

A ci adwokaci! Wilhelm Lilker, znakomity spec od karnych spraw, który przed niejednym klientem otworzył drzwi na wolność, a mnie na dzień, dwa przed rozprawą dawał do wglądu akt oskarżenia, stanowiący tajemnicę służbową do momentu odczytania w sądzie. Stefan Kobyliński, który dla kurażu przed każdym wystąpieniem pokrzepiał się czymś mocniejszym: jego mowy obrończe były istnym popisem krasomówstwa...

Podszedł do mnie cherlawy, utykający staruszek, o załzawionych, wyblakłych oczach, które ocierał fularową chustą.

- Jestem pańskim obrońcą z urzędu... - przyjrzał mi się z bliska. - Taki młody, żal mi pana szczerze... Jak pan mógł popełnić tak ciężkie przestępstwo, godzące w nasze najżywotniejsze interesy? No nic, stało się, będę prosił sąd o łagodny wymiar kary...

Łagodny wymiar kary? O to prosi się w odniesieniu do autentycznych winowajców, a co ja takiego zrobiłem? Przyjąłem od przyjaciela tych kilka kartek?

„Idy, pachnyło, k' czortowej materi!”^ - zakląłem w duchu ni to po ukraińsku, ni to po rosyjsku, i kategorycznym tonem oświadczyłem:

- Proszę się nie trudzić. Sam będę się bronił!

- Wasza wola - pokiwał trzęsącą się głową i odszedł, śmiesznie uginając nogę w kolanie. Chyba „był zadowolony,” że wcześniej znajdzie się w domu.

Wszedł komplet sędziowski. Po odebraniu personaliów przewodniczący zapytał, co robiłem w Polsce do wybuchu wojny.

- Zajmowałem się zawodowo pisaniem...

- A co oskarżony pisał?

Mając w pamięci ostrzeżenie, żeby nie przyznawać się do dziennikarstwa, wypaliłem:

- Powieści - i ugryzłem się w język. Szkoda, że nie podałem się za szofera, było już jednak za późno.

- Jakie powieści? Niech oskarżony wymieni tytuły.

U licha, brnę coraz bardziej. Przypomniałem sobie odcinkowe szlagiery mego brata i Jerzego Eolskiego.

- „Szczyry Łodzi”, „Wampiry Bałut”, „Człowiek szuka sprawiedliwości”...

Tytuł tej ostatniej „mojej” powieści chyba przypadł sędziemu do gustu, pokiwał z uznaniem głową. Po czym zadał kilka pytań Alojzemu i przystąpił do odczytania aktu oskarżenia.

W miarę słuchania rzedła mi mina. Zarzuty były poważne. Alojzy popełnił malwersacje. W ciągu kilku miesięcy przywłaszczył sobie znaczną ilość kartek chlebowych, które spieniężał, do czego przyznał się w śledztwie. A ja, choć nie wiedziałem o tych machinacjach, byłem wymieniony jako jego współnik!

Teraz zrozumiałem, co oznaczały słowa Alojzego na ulicy: „Nie przyznawaj się, że ja ci kartki dałem, upieraj się, żeś je u mnie kupił”.

Wszystko jasne! Skoro je odbierałem, byłem jego współnikiem, tworzyliśmy grupę przestępczą, a jeżeli kupowałem - tylko jednym z klientów!

I gdy sędzia zapytał, czy Alojzy pieriedawał mi kartoczki, gorąco zaprzeczyłem:

- Nie. Nie przekazywał, tylko sprzedawał! Prodawał!

Sędzia zajrzał do protokołu przesłuchania w śledztwie.

- Przecież oskarżony zeznał: pieriedawał!

- Słabo znam rosyjski, te dwa słowa mają niemal identyczne brzmienie. Ale on mi je prodawał.

Alojzy potwierdził. Przewodniczący poszeptał z asesorami i polecił zaprotokołować: „prodawał”, sprzedawał.

Alojzy przyznał się do winy, potwierdził swoje zeznania przed sędzią śledczym.

- Co oskarżony chce powiedzieć w ostatnim słowie? - zwrócił się przewodniczący do mnie.

Nareszcie! Przyszła chwila popisania się ułożoną w celi przemową.

- Nieświadomie wszedłem w posiadanie tych kilku kartek. Powiniennem się domyślić, że pochodzą z nielegalnego źródła. Proszę o wyrozumiałość. Wasza armia stacza zwycięskie boje, lada dzień przygwoździ ostatecznie hitlerowską hydrę. Jesteście silni, niezwycięzeni, a tylko silni mają możliwość przebaczenia zbłąkanym!

Po naradzie ogłoszono werdykt: Alojzy dostał dziesięć lat, mnie wymierzono trzy lata z zaliczeniem aresztu śledczego.

Zwiesiłem głowę. Byłem przekonany, że prosto z sali wyjdę na wolność, a tu czeka mnie jeszcze ponad dwu i półroczna odsiadka!

Starszy celi był odmiennego zdania.

- To dziecinny wyrok! Ani się obejrzyysz, jak się znajdziesz wśród swoich. Nie wierzysz w sny, a przecież się sprawdzają. Śniło ci się mydło? Śniło. No i masz!

Nazajutrz przetransportowano mnie i Alojzego do więzienia. Wąskie korytarzyki, wykusze, krużganki, półokrągłe okna, kamienna posadzka - wszystko wskazywało, iż był to kiedyś budynek klasztorny.

W rozległej celi przebywało kilkudziesięciu więźniów w różnym wieku, z różnych środowisk. Wzdłuż ścian ciągnęły się na całą długość prycze. Z trudem znaleźliśmy skrawek wolnego miejsca. Ułożyliśmy się obok siebie. Dla tych, co po nas przyszli tego samego dnia, miejsc zabrakło. Musieli lec pokotem na posadzce. Jeden ulokował się nie-fortunnie przed olbrzymią „paraszą”. Rano obudził się cały mokry, jakby wrócił spod ulewnego deszczu. Więźniowie, gdy dokuczył im w nocy pęcherz, nie zadawali sobie trudu, aby blisko podejść do zbiorowego nocnika: sikali z odległości metra, dwóch, nad leżącym.

Uwagę moją przykuł młody może siedemnastoletni, sympatyczny chłopak. Unikał rozmów, głęboka zaduma osiadła na jego delikatnej twarzy. Nucił wstrząsające piosenki.

Proszczaj moja mama, proszczaj, dorogaja, proszczaj i byt' mozet nawsieгда...

Ko mnieprissasałas' tiuremnaja rieszotka...

„Przysłała się do mnie więzienna krata...” To niemal poetycka przenośnia. Rosjanie kochają muzykę i śpiew, jak mało który naród. Toteż cela rozbrzmiewała piosenkami, czastuszkami, co sprawiało wyraźną ulgę zarówno wykonawcom, jak i słuchaczom.

Pożar wojny nas rozłuczył s soboj, Kogda nasz połk na smiertnyj poszoł boj, Za mirnyj trud otcow

I za szczastije naszich matierej, Za ljubimyj ukraińskij dom

I za lipu nad Dnieprom...

Czas urozmaicano sobie i w inny sposób.

- Wybierzemy nowego starostę celi! - oznajmił podstawiony facet. - Stary troszczy się tylko o swój brzuch!

Rozejrzał się po świeżo przybyłych, szukając ofiary. Wybór padł na zażywnego diad'kę, którego ubiór, mowa i zachowanie zdradzały przybysza ze wsi.

- Chcesz się ubiegać o stanowisko starosty?

Chłopek-roztropek skwapliwie wyraził zgodę. Wiadomo, starosta blisko żłobu, ma więcej przywilejów od szeregowego więźnia.

- Poddamy cię próbie. Ten człowiek - wskazał na swego współnika - będzie trzymał w złączonych przedramionach zapalną. Jak ją wyciągniesz zębami po omacku, bez pomocy rąk - zostaniesz naszym starostą. Będę liczył głośno do stu.

Wspólnik wodzireja zakasał rękawy koszuli, przykląkł na pryczy i wyciągnął przed siebie ściśle przylegające w łokciach ręce, między które wetknięto zapalną. Delikwentowi zawiązano oczy, okręcono go kilka razy dokoła, a w tym czasie tamten zmienił pozycję: odwrócił się tyłem, spuścił porty i wypiął dupsko.

- Nu-ka, naczinaj! - podał komendę wodzirej.,

Ochotnik ruszył do przodu z pochyloną głową, jak byk atakujący torreadora.

- Odbij w lewo! Teraz prosto! Dawaj - wodzirej naprowadzał kandydata na cel, a nieszczęśnik zawzięcie dziobał nosem pryszczaty tyłek.

- Głębiej, głębiej! - zachęcało go audytorium, rechocząc ze śmiechu, zaś wodzirej odliczał:

- Sześćdziesiąt trzy, sześćdziesiąt cztery, sześćdziesiąt pięć...

Delikwent rozpaczliwie operował nosem, bezskutecznie usiłował wydobyć nieobecną zapalną.

- Niestety, czas minął - oznajmił wodzirej i przystąpił do odwiązywania opaski. Nie spieszył się, by dać czas współnikowi na powrót do pozycji wyjściowej. - Widzisz, zapalną

tkwi w swoim miejscu. Nic się nie martw, zrobimy inną próbę, może tym razem uda ci się zostać starostą!

Nowa zabawa polegała na tym, aby kandydat na starostę, stojąc frontem do wyciągniętych gęsiego więźniów, odgadł, najdalej po dziesiątym podejściu, kto go trzepnie w głowę. Wodzirej kazał mu przymknąć powieki, przytrzymał je chwilę obydwoma wskazującymi palcami, odjął je i zapytał kandydata, czy zrozumiał reguły gry. Po czym polecił mu znowu przymknąć powieki, ale tym razem położył na nich swoje dwa palce jednej ręki - mały i wskazujący, a drugą ręką z całej siły wyrzwał swą ofiarę w tył głowy i szybko ręce opuścił.

- No, który? Zgaduj!

Delikwent, trzymając się za ciemię, wskazał kogoś z szeregu.

- Nie ugadał, dawaj jeszcze poprobuję! (Nie zgadłeś, spróbujemy jeszcze raz!)

Dziesięć razy wodzirej wymierzał ciosy stojącemu, ten dziesięć razy bezskutecznie zgadywał, wreszcie zrezygnowany, obolały, z głową obtłuczoną jak ulęgałka, legł na pryczy.

Z początku ja i Alojzy również śmiechem reagowaliśmy na te igry, potem zrobiło się nam żal nieszczęśnika i zaszyliśmy się w drugim końcu celi.

Przyprowadzono znajomego chłopaka z budowy na Zawołżu. Często widywałem go przy najcięższych robotach. I jego też wsadzili, tego nierozgarniętego, głupkowato uśmiechającego się pacana, który do trzech nie umie zliczyć?

- A ty za co?

- Nieznaju...

- Jak to nie wiesz? Przecież stawałeś przed sądem!

- Da, no niczego nie znaju...

- Ile dostałeś?

- Tri goda.

- Ale za co?

Rozłożył ręce.

Słowo po słowie wyciągnąłem z niego, co robił tuż przed aresztowaniem.

- Usłowiłsa s dziewczukoj... (Umówiłem się z dziewczyną...)

- No i co?

- Przed wyjściem goliłem się wieczorem w baraku. Nagle zgasło światło...

- No i co?!

- Togda ja skazał: do diabła z taką elektrownią. Czerez dwa czasa mienia powieli...

(Po dwóch godzinach zabrali mnie...)

Wszystko jasne: wpadł przez ciemności!

Strażnik wywołał mnie na korytarz.

- Bierdanka dla ciebie!

Bierdanka, po polsku berdanka, to strzelba myśliwska. W żargonie więziennym, nie wiem dlaczego, oznacza wałówkę. Na słomiance leżał solidny woreczek pełen wiktuałów: bochenek chleba, kostka masła, ciasto, kilka pomidorów, pęto kiełbasy, butelka oleju. Pocziwa Ludmiła! Sama nie dojada, a zdobyła się na tak królewski dar!

Alojzy też był wzruszony. Po wybuchu radości ogarnął nas niepokój o los bierdanki. Tak na oko, co drugi lokator celi to szpana, złodziej. Jak się ustrzec przed zamachem nasze skarby? Na jedno posiedzenie tego wszystkiego nie zjemy...

- Mam pomysł... - powiedziałem. - Obok nas leży Cygan. Rosłe chłopisko. Dam mu parę rubli, niech popilnuje worka!

Diadia Matwiej chętnie się zgodził. Gdy poprosiłem go o zdwojoną czujność, uśmiechnął się pobłażliwie.

- Nie biespokojśa. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś okradł Cygana!

Podłożył worek z prowiantami pod fufajkę, na to kozuch, objął oburącz bambetle i legł na nich jak na babie. A my, wzięwszy się pod rękę, przemierzaliśmy celę w tę i nazad. Nie spuszczać na moment z pola widzenia Cygana, ustalaliśmy, jak i kiedy spożyjemy przysłane dary.

Pod wieczór wydało mi się, że Cygan leży jakby niżej niż przedtem.

- Podnieś się! - zawołałem i gdy ten posłusznie odgarnął okrycia, zmartwiałem: worek, owszem, spoczywał na swoim miejscu, tyle, że pusty!

Cygan nie zawinił. Jakiś chłopak wśliznął się pod prycę, pod legowiskiem Cygana była dziura po sęku, poszerzył ją kozikiem i tą drogą wydłubał całe żarcie. Ocalała jedynie butelka oleju.

Po tygodniu znowu dostałem bierdanke, też w płóciennym woreczku. Nauczeni smutnym doświadczeniem postanowiliśmy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności.

- Zrobimy tak - powiedziałem - w ciągu dnia na chwilę nie wypuścimy worka z ręki, a w nocy będziemy go przytrzymywać z całej siły - ty jedną, i ja jedną ręką. Przy najlżejszym dotyku obcej łapy zbudzi-my się i spuścimy złodziejowi manto!

Alojzy uznał mój pomysł za rewelacyjny. Rano, gdy otworzyliśmy oczy, tak jak zaplanowałem, mieliśmy kurczowo zaciśnięte dłonie: ja ścisnąłem rękę Alojzego, on ścisnął moją - a worka nie było! We śnie jakiś cwaniak-psycholog połączył fachowo nasze dłonie i zwał całą bierdanke, nawet opakowania nie zostawił!



Młody chłopak, kto wie, czy nie ten sam, co podkrał się pod pryczę Cygana, a w nocy skrzyżował nam dłonie, zaproponował:

- Diadia, kakaja u was boroda! Dam wam brzytwę, ogolcie się i waszego przyjaciela.

Brzytwa? W więzieniu? Coś niezwykłego. Chłopak wydobyl z jakiegoś schowka duży gwóźdź, rozklepał go na kamiennej posadzce.

- Pożałsta. Ogolcie się!

Wymoczyłem brodę w zupie (akurat była wodnista, niesmaczna) i przy pomocy Alojzego, który zastąpił mi lusterko, pojękując z bólu, pozbyłem się obmierzłego zarostu. Po ponownym rozklepaniu „brzytwy” Alojzy poszedł w moje ślady.

Zaprzyjaźniliśmy się z kilku więźniami. Jeden dostał paczkę z domu i zaprosił nas do wspólnej uczy.

- Pamiętajcie - powiedział - w więzieniu rządzi niepisane prawo dzielenia się z innymi. Nikt nie może samemu zajadać się, gdy inni głodują. Trzeba zawsze się dzielić. Dziś ty mnie, jutro ja tobie! A chomikować jedzenia nie wolno.

Poniewczasie zrozumieliśmy swój błąd, przyrzekliśmy sobie zastosować się na przyszłość do udzielonej rady i zaraz po otrzymaniu berdanki urządzić wspólną uczy. Ale nowe wałówki jakoś się nie zjawiały. Zjawili się natomiast zwiastuni nowiny, która całej celi zaparła dech w piersiach.,

Dwaj nowo przybyli więźniowie mieli zadowolone, roześmiane gęby, jakby przyprowadzono ich nie do więzienia, lecz na przedstawienie komedii do teatru.

- I co wy na to?

- A co się stało?

- Nic nie wiecie?! Wojna się skończyła! Niemcy skapitulowali bezwarunkowo!

Nie będę się silił na opisanie tego, co się działo w celi. Tego najtęższe pióro nie odtworzy. A po dwóch dniach wezwano mnie i kilku innych do kancelarii więziennej.

- Zostaniecie przeniesieni do obozu. Lada dzień spodziewamy się amnestii.

Alojzy został na miejscu dla odbycia kary. Było wiadomo, że amnestia tych z większymi wyrokami nie obejmie. Ciężko było mi się z nim rozstawać...

, W „pieriesilnom punkcie”, punkcie etapowym, wydarzyła się nie-prawdopodobna historia. Do celi wszedł młody Cygan w towarzystwie rówieśnika Rosjanina. Zamknęli za sobą drzwi, podeszli do siedzące-go przy wejściu więźnia. Cygan wlepił w niego fosforyzujący wzrok, Wycelował mu w oczy dwa palce i warknął:

- Dawaj chlieb!

Przerażony więzień bez słowa protestu włożył do trzymanego przez Rosjanina worka całodzienny przydział chleba. Cygan, ciągle grożąc wyłupieniem oczu, obszedł wszystkich po kolei, rabując przy pomocy swego współnika, co kto miał. Nikt nie ośmielił się zareagować, wezwać pomocy, a przecież było nas około dwudziestu silnych mężczyzn! Jeden z więźniów, chcąc wzbudzić litość, wyjął z ust sztuczną szczękę. Nie zrobiło to na rabusiach żadnego wrażenia. Jak ci dwaj mogli wtargnąć do naszej celi, przecież na korytarzu kręcili się uzbrojeni strażnicy?

Przypomniał mi się obóz w Rybińsku, gdzie również w biały dzień, w sąsiedztwie strażników, obrabowano nas z odzieży.

Z punktu etapowego trafiłem do obozu, który w porównaniu z moimi dotychczasowymi miejscami pobytu przypominał raczej kolonię harcerską. Było to rolniczowarzewnicze gospodarstwo. Kilka baraków zajmowały kobiety, w jednym przebywali mężczyźni.

Komendant uciał ze mną dłuższą pogawędkę. Dowiedziawszy się, że jestem obeznany z robotami polnymi, mianował mnie brygadierem zastępu więźniarek.

Były one w różnym wieku, przeważały młode, z rozmaitych środowisk, robotnice, pracownice umysłowe. Wiele trafiło tu za drobne uchybienia, często za błahostki. Sprzątaczką, zmywającą na dworcu kolejowym podłogi i szalety, spóźniła się do swych obowiązków o kilka minut. Zainkasowała pięć lat obozu pracy przymusowej. Gdyby przytrafiło się to jej koleżance po fachu z biura, czy jakiegoś zakładu rzemieślniczego, skończyłoby się na upomnieniu lub naganie z ewentualnym wpisaniem do akt personalnych, ale dworzec kolejowy z sza-letem włącznie znajdował się na „wojennom położeniu”, na liście obiektów wojennych, i stąd taki wyrok.

A jak te moje dziewczyny potrafiły kłąć! W doborze słów i kombinacjach lingwistycznych ani na jotę nie ustępowały mężczyznom, z tą może różnicą, że robaczywy pacierz przeplatały co rusz uprzejmym „pożałsta”...

I ja w czasie pobytu w obozach pracy szybko przyswoiłem sobie „błatny” język z pełną gamą odzywek. Po trzydziestu latach, zwiedzając Moskwę, miałem okazję popisania się próbką tych umiejętności.

Wędrowałem ulicami poszukując obiecaney przyjacielowi zapalniczki. Ktoś mnie poinformował, że najpewniej otrzymam ją w „tabacznym ugołkie” w Uniwermagu. lady zza lady, ze sztucznymi rzęsami, wypacykowana jak modelka z gabinetu kosmetycznego, nie raczyła nawet spojrzeć w moją stronę, rzuciła w przestrzeń tylko jedno słowo „nietu”.

Chciałem nawiązać rozmowę, może mi powie, dokąd mam się udać.

- Ja uże tri dnia chożu i chożu po Moskwie i nikak nie mogu najti zażigalki... (Już trzy dni chodzę i chodzę po Moskwie i nigdzie nie mogę znaleźć zapalniczki...)

Wtedy zwróciła ku mnie wykrzywioną grymasem wściekłości twarz.

- A u mienia niet wremieni szlatsa kak wy po gorodu!

Co w przekładzie na polski brzmiało:

- A ja nie mam czasu włóczyć się jak wy po mieście! (przy czym słowo „szlatsa” ma wyjątkowo pejoratywne znaczenie, tak się mówi o mętach społecznych).

Nie wytrzymałem, puściłem jej wiąchę w nieskazitelnym błatnym dialekcie, prawidłowo rozmieszczając akcenty.

Jej twarz momentalnie złagodniała.

- Izwinitie, ja dumala czto wy inostraniec... (Przepraszam, myślałam, że jest pan cudzoziemcem...)

Kilka moich podopiecznych zaszło w ciążę w czasie odbywania kary w innych obozach. Ciężarne kobiety izolowano, kierowano je do lżejszych robót, a gdy ich stan tego wymagał, umieszczano w klinikach położniczych.

Młode, nierzadko urodzive dziewczęta, kipiące energią, chodziły koło swego brygadiera, jak kurki koło koguta. Kokietowały mnie na wszelkie sposoby, pokazując niby przypadkowo to i owo, szczerzyły zęby jak młode wilczki, a jedna wśród śmiechu swych koleżanek za-proponowała mi:

- Machniom?

Może bym i machnął, ale Czym? Żeby do zupy, zamiast sodki, wsypano trochę johimbiny, to co innego...

- To prawiczek! Zostaw go, lepiej coś mu zaśpiewajmy! - korpulentna barisznia zeskoczyła z pryczy.

- Tylko nic takiego, co by go mogło zgorzyć - ujęła się za mną inna.

- Racja! - poparły ją koleżanki.

I po chwili w baraku odbył się popis wokalny.

Wzięły się pod ręce i drepcząc w kółko zaintonowały, na przemian po jednej zwrotce:

Myła baba izbu, zamoczyła pi...

Nie podumajcie płochowo, pikowuju jubku, Nie podumajcie płochowo, pikowuju jubku, A u diadi Szuja potiekło iz chu...

Nie podumajcie płochowo, iz chudoj łochanki, Nie podumajcie płochowo, iz chudoj łochanki.

Kak tureckij szkipier, naskoczył na tri...

Nie podumajcie płochowo, tri podwodnych kamnia, Nie podumajcie płochowo, tri podwodnych kamnia.

A u tioti Władi, wsie doczenki bla...

Nie podumajcie płochowo, blachami torgujut, Nie podumajcie płochowo, blachami torgujut.

- Brostie! Eto riepiertuar dla dietskowo sada! (Zostawcie! To repertuar dla przedszkola!) - zamachała rękoma fertyczna blondyna. - Ja ci zaśpiewam coś innego! - zwróciła się do mnie.

Z kilkuzwrotkowej czastuszki zapamiętałem tylko jedną, kapitalną frazę:

Wietier dujet, wietwoczka lomitsa, Paren' diewuszku jebiot, Chocziet poznakomitsa!

(Wiatr wieje, gałązka łamie się, chłopak dziewczynę... no właśnie, chce się z nią zapoznać!)

Nie chcąc, by miała płonne nadzieje co do mojej osoby, szybko wyciągnąłem rękę.

- Budiem znakomyje. Mienia zowut Adamom.

- A mienia Kławoj... - bidula miała wyraźnie zawiedzioną minę. Wolałaby zapewne zawrzeć ze mną znajomość w niekonwencjonalny sposób.

Powiedziałem komendantowi o zamachu na moją cnotę.

- To nie żarty - zasępił się. - Dziewczyny są wygłodniałe, mogą wam zrobić krzywdę. Hm... Skieruję na wasze miejsce jakąś starszą więźniarkę, wy pomożecie mi w kancelarii.

Komendant często ze mną rozmawiał. Nie pytałem go, choć to mnie intrygowało, czy też jest więźniem, on również nie zadawał mi kłopotliwych pytań. Kazał mi się przeprowadzić do baraku kancelaryjnego. Stała tam leżanka, wyśmienicie sypiałem do rana.

I ani razu nie przyśniła mi się postawna czarnula, która tak delikatnie, tak subtelnie, zaproponowała mi „Machniom?”, ani jej koleżanka, której zaimponował chłopak, co w tak życiowy sposób zawierał znajomości z dziewczynami...

## NA WOLNOŚCI

Tym razem nie przyśniło mi się mydło, ani „Radion”, ani żaden inny środek piorący, mimo to nazajutrz znalazłem się na wolności. A może to jeszcze za sprawą prorocznego snu w areszcie śledczym, w przeddzień procesu sądowego? Moja teściowa, wyrocznia w tłumaczeniu nocnych widziadeł, twierdzi, że kadencja sprawdzania się snów wygasa po tygodniu. Zatem skłonny jestem przypuszczać, iż swoje zwolnienie zawdzięczałem raczej amnestii, ogłoszonej po zwycięskim zakończeniu wojny.

Komendant obozu, wręczając mi na odchodne stosowną bumażkę, powiedział:

- Przywiązałem się do was, Adam Jossifowicz, nie czas jednak w takiej chwili na sentymenty. Życzę wam wszelkiej pomyślności. Nie mówię „do widzenia”, w ustach komendanta łagru mogłoby to zabrzmieć dwuznacznie...

- Możemy się spotkać poza obozem...

Machnął ręką. Wydaje mi się, że podobnie jak komendant z Rybińska, też był więźniem. Za dobre sprawowanie pozwolono mu odbyć resztę kary na tym stanowisku. Wspaniały człowiek, chłop z kośćcami! Świadczył mi różne przysługi, starał się, jak mógł złagodzić mój pobyt w podległym mu obiekcie. A ja nawet nie zapamiętałem jego imienia, otczestwa, nazwiska...

Opuszczając obóz, dokonałem krótkiego bilansu. Dwa razy byłem aresztowany, raz całkiem przypadkowo. Siedziałem w czterech miejscach odosobnienia. W obozie rybińskim ponad rok, w areszcie śledczym około pięciu miesięcy, w więzieniu miesiąc, w tym obozie dwa miesiące, w sumie - prawie dwa lata. I to, jak mówią, za bezdurno, bo za te przyjęte w dobrej wierze kartki nie poczuwałem się do winy.

W miarę zbliżania się do domu gorycz ustępowała miejsca radosnym uczuciom. Zaraz uściskam Helenkę, Ludmiłę, znajdę się w obskurnej, co prawda, chatce, ale ze swoimi, wolny!

Helenka już spała. Z Ludmiłą do późnej nocy wiodłem ożywioną rozmowę o ostatnich wydarzeniach.

- Czy ta Korab odwiedzała was?

- Od twego aresztowania nie pokazała się ani razu.

- To zrozumiałe. Żmija... Dobiorę się jej do skóry!

- Zostaw. Mało ci było?

- A Zygmunt?

- Też nie przychodził. Spotkałam go przypadkowo na mieście. Tłumaczył się, że to nie jego wina, zmuszono go do podpytywania ciebie. Powiedział, że bym unikała pani Heleny jak ognia...

- A widzisz? Wiem, co o niej myśleć. A on to też dobre ziółko.. Ja i Alojzy byliśmy wzruszeni twoją pamięcią o nas i poświęceniem. Skąd miałaś na te paczki?

- To dary Posalskich. Gdyby nie oni, nie wiem, co by się z nami stało. Opiekowali się mną i Helenką, jak najbliższą rodziną.

Posalski, uciekinier z Polski, był krawcem. Mieszkał na Zawołżu, niedaleko nas. Właściwie nic nas nie łączyło, spotykaliśmy się rzadko, jednak gdy się dowiedział o

nieszczęściu, jakie przede wszystkim ugodziło w Ludmiłę i dziecko, natychmiast pospieszył z pomocą.

- Pójdę do nich jutro podziękować za dobre serce. Potem pojedę do Butowskiego.

- Do Butowskiego? Po co?

- Odebrać teczkę, skonfiskowano mi ją na bazarze.

- Potrzebna ci do szczęścia? Nie pokazuj się im na oczy!

- Wiem, co robię. Ciekawe, jak on zareaguje na mój widok...

Rano Helenka stanęła koło mojej kojki i wlepiała we mnie zdziwiony wzrok.

- Przywitaj się, córeczko. To twój tata...

Rzuciła mi się na szyję.

- Tata, tata, bawic, bawic!

Starszy śledczy Butowski przyjął mnie od razu. Jego mundur zdobiły dystynkcje majora.

- Gratuluję awansu, panie sędzio... Można poprosić o zwrot teczki?

- Oczywiście. Zaraz wypiszę kwitek na odbiór... Co zamierzacie robić?

- Rozejrzę się za jakąś pracą, przede wszystkim jednak muszę wynieść się z tej nory.

Dalszy pobyt tam z małym dzieckiem jest niemożliwy. Zima idzie...

- Tak, to poważny problem.

- Nie będą mi robili trudności? Siedziałem...

- To nie ma znaczenia. Wszystkie instytucje stoją przed wami otworem. Możecie ubiegać się o każdą pracę, na każdym stanowisku.

- Panie majorze, przecież byłem podejrzany o tak poważne przestępstwa!

Poprowadził mnie do wychodzącego na ulicę okna.

- Widzicie tych ludzi? W większości to na pewno solidni obywatele, patrioci, ale mogą być wśród nich inni. Nic o nich nie wiemy. Co myślą, co robią... A wy - popatrzyl na mnie wnikliwie - zostaliście dokładnie prześwietleni. Wiemy o was może więcej, niż wy sami... Nigdzie nie będą robić wstrętów. A gdyby... proszę się do nas zgłosić.

Rozmowę tę zapamiętałem na całe życie. Podniosła mnie na duchu. I gdy się dowiedziałem, że za rzeką Swijagą, w raboczym gorodkie, zwalnia się posada magazyniera bielizny pościelowej, natychmiast tam pojechałem i zaoferowałem swe usługi.

Naczelnik był rad z mego przybycia.

- Dotychczasowy magazynier, wasz rodak z Polski, odnalazł rodzinę w Ferganie i przynosi się tam. Możecie już od jutra objąć to stanowisko.

- Nie bardzo... Nie mamy gdzie mieszkać. Muszę się rozejrzeć za jakimś kątem.

- Dostaniecie służbowe, wygodne mieszkanie, przy magazynie. Chodźcie, obejrzyjcie je.

Owo „wygodne mieszkanie” okazało się małym pokojem ze stojącą w nim kanonką, a ja się spodziewałem Bóg wie czego. Już chciałem okazać swe rozczarowanie, gdy przypomniała mi się klasyczna anegdota o cadyku, jego współwyznawcy, kozie i innych stworzeniach. Jak to ów klient mędrca skarżył mu się na ciasnotę w jednym pokoju z żoną i płaczącym dzieckiem, a mędrzec kazał mu wprowadzić do mieszkania jeszcze kozę, psa, kota i kury, po czym pozbywać się ich po kolei, a gdy wreszcie malkontent został w pokoju znowu tylko z żoną i dzieckiem - poczuł się jak w niebie.

- Teraz jest mi całkiem dobrze, rebe! Oby Bóg cię wynagrodził za mądre rady!

Ze mną było podobnie, chociaż obeszło się bez kozy, psa, kota i kur. Z ponurej klitki na Zawołżu przeprowadzałem się (przeprowadzano mnie!) do coraz gorszych pomieszczeń, potem do lepszych i gdy zaproponowano mi ten pokój za Swijagą, ciasny, bo ciasny, wydał mi się on siódmym cudem świata - i wyraziłem zgodę.

Jeszcze tego samego dnia przejąłem od mego poprzednika stan materialny magazynu na podstawie znajdującej się w nim ilości poszew, poszewek i prześcieradeł plus to, co figurowało na kartach ewidencyjnych mieszkańców baraków robotniczych, to znaczy wydanej im pościeli. Spisaliśmy zdawczo-odbiorczy protokół. Główny księgowy, zatwierdził, zamknąłem drzwi magazynu na kłódkę i wróciłem na Zawołże podzielić się z żoną pomyslną nowiną.

Przez Wołgę przeprawiliśmy się łódką. Przypomniała mi się piosenka z przedwojennego filmu o Stiepanie Razinie, przywódcy powstania chłopsko-kozackiego, który jak my popłynął w górę Wołgi ze swymi towarzyszami znosić pańszczyznę i wprowadzać samorząd kozacki.

Wołgo, Wołgo, ruska rzeko, Ty królowo wszystkich rzek, Twoja sława mknie daleko, Wszędzie sławny jest twój brzeg...

W pierwszej łodzi Stieńka Razin, Wpół objąwszy księżnę siadł, On pijany jest nadzieją, Nowe triumfy święci rad...

Skąd się wzięła księżna u boku legendarnego bohatera kozaczyzny, który ogniem i mieczem tępił panów - nie mam pojęcia. Moich wątpliwości chyba nie potrafiliby rozwiązać zarówno autor tej piosenki, jak i scenariusza filmowego.

Z przystani przepłynęliśmy na drugi brzeg Swijagi, dopływu Wołgi. Nie wiedziałem, że ta najdłuższa rzeka w Europie ma tyle dopływów: Mołoga, Kostroma, Więtluga, Karna,

Samara, Oka, Sura, Szeksna... To tylko nieliczne z zapamiętanych. Szeksnę znałem doskonale, przepływa obok Rybińska, gdzie przepracowałem ponad rok.

Mój poprzednik, przekazując magazyn, uprzedził mnie:

- Miej się na baczności przed złodziejami. Zwłaszcza mieszkańcami baraków. Przychodząc po bieliznę, tylko patrz, co zwędzić. Kilka razy usiłowali mnie okraść.

Zabezpieczyłem się, zawieszając w rogu magazynu lustro. Stojąc tyłem do klienta, miałem pełne rozeznanie, co się dzieje za moimi plecami.

Przyszedł chłopak, dał mi podpisaną przez komendanta baraku bumażkę na wydanie poszwy i prześcieradła. Gdy odwróciłem się, by, schować papierek, kątem oka zauważyłem w zwierciadle, jak chłopak błyskawicznie pochwycił z półki jakąś sztukę bielizny i wsunął ją za pazuchę.

Jakby nigdy nic podszedłem do drzwi i - cap go za frak.

- Co masz pod fufajką?!

Wyrwał mi się i w nogi. Ja za nim. W biegu krzyknąłem do żony „Pilnuj magazynu!” i po paru minutach dopadłem zbiega. Stłukłem go na kwaśne jabłko. Od tej historii już nikt nie próbował uszczuplić powierzonego mej pieczy mienia. Złodziejaszek chyba opowiedział koleżkom o swojej przygodzie z okrutnym diadą, który ma oczy z tyłu.

Nadeszła zima, wraz z nią trzydziestostopniowe mrozy. Już nie musiałem wyrwać desek w szaletach, opału mieliśmy pod dostatkiem, w pokoiku było ciepłutko. I wiatry nie dokuczały jakoś. W największy mróz wyskakiwałem z baraku w rozpiętej fufajce, nawet nie opuszczałem nauszników małachajki. Po kilkunastu minutach marszu zatrzymała mnie idąca naprzeciw kobiecina.

- Nos, nos! - zawołała.

Spojrzałem zezem na czubek mego organu powonienia. Białe! Dotknąłem - nic nie czułem. Pospiesznie nabrałem garść śniegu i jąłem rozcierać zamrażający nochal, aż przybrał kolor intensywnej czerwieni.

Szef był ze mnie zadowolony. Dostawałem premie, raz nawet moje nazwisko znalazło się w ściennej gazetce w rubryce „Nasi stachanowcy”. Toteż jak grom z jasnego nieba spadły na mnie jego słowa:

- Nu cztoż, Adam Jossifowicz, skoro prijdjotsa nam rasstawatsa...

- Rozstać się? Dlaczego? Czy towarzysysz nie jest ze mnie zadowolony?

- Wręcz przeciwnie, ale chyba wolisz poszukać sobie zajęcia w swojej ojczyźnie?

- W swojej... Nnie rozumiem...



- Tołkowyj paren', a baszka nie rabotajet. (Chłop do rzeczy, a głowa nie pracuje.)

Będą was ewakuować!

- Kiedy? Mój Boże, co za nowina!

- Kogda nie znaju. Pojeżdżaj w wasz Sojuz Patriotów Polskich, możet byt' oni połączili kakije ukazanija. (Nie wiem, kiedy. Jedź do waszego Związku Patriotów Polskich, może dostali jakieś instrukcje.)

Zawiesiłem klódkę na drzwiach magazynu i podmiejską ciuchcią skoczyłem zasięgnąć języka. Po moim aresztowaniu nie pokazywałem się w Związku. Jak mnie przyjmą?

Prezes nie dał nic po sobie poznać, przywitał się, jak byśmy widzieli się poprzedniego dnia.

- Tak, to prawda. Jeszcze w lipcu została podpisana polsko-radziecka umowa o ewakuacji do Polski naszych obywateli, którzy znaleźli się na ziemi radzieckiej w wyniku działań wojennych.

- W lipcu? Już mamy grudzień!

- Dopiero przed kilku dniami otrzymaliśmy oficjalne zawiadomienie. Komisja mieszana do spraw ewakuacji działa bez przerwy. Sporządzenie wykazów wymaga sporo czasu, wielu naszych zadekowało się w najdalszych zakątkach Rosji. Mam do pana prośbę: proszę zawiadomić Polaków za Swijagą, żeby się do nas zgłosili. Chyba nie wszyscy są objęci rejestracją. I nie wszyscy wrócą... - dodał. - Ci, co odsiadują kary więzienia i przebywają w łagrach, z amnestii nie skorzystają...

Dopiero po dziewięciu latach napłynęła do Polski druga fala byłych „bieżeńców”. Wielu odsiedziało wyroki do końca, wielu nie doczekało radosnej chwili powrotu do Ojczyzny...

Popłynęły dni tęsknego wyczekiwania. Czy zżerała was kiedyś nostalgia? Mnie atakowała okresami. Z początku, po ucieczce z kraju, gdy poszukiwałem tymczasowej przystani życiowej, rzadko wspominałem ojczyznę i bliskich. Kiedy moja sytuacja jako tako ustabilizowała się, często powracałem do nich myślami, ale w miarę upływu czasu obraz rodzinnego miasta rozpływał się, oddalał. Traciłem nadzieję na powrót, zachodzące wydarzenia utwierdzały mnie coraz bardziej w tym przekonaniu. Dopiero teraz, gdy wizja ewakuacji przyoblekła się w realne kształty, oładnęła mną obłędna tęsknota. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca, snułem się z kąta w kąt, co parę dni wyskakiwałem do Uljanowska.

I oto w połowie lutego usłyszałem z ust prezesa ZPP upragnioną nowinę:

- Proszę powiadomić wszystkich Polaków za Swijagą, żeby zgłosili się w przyszłym tygodniu po zaświadczenia repatriacyjne. Wyjeżdżamy w połowie marca!

Zabrałem się do likwidacji moich spraw. Przy zdawaniu magazynu wynikła historia, która o mały figiel nie odwlekła na dłuższy czas mego powrotu do kraju.

Powołana przez głównego komisja obeszła wszystkich lokatorów „raboczewo gorodka”, sprawdzając co który ma z pobranej bielizny pościelowej. I gdy dodano to do tego, co znajdowało się w magazynie, wyskoczyło potężne manko, bo mieszkańcy baraków zdążyli pozbyć się na bazarze wypożyczonych rzeczy, de facto więc ich nie było!

Główny nasadził okulary na nos i oświadczył:

- Nu da, Adam Jossifowicz, nie połuczysz otusknowo lista. Ni-kuda nie pojediesz. Budiesz suditsa, etoż raztrata, ugołownyje dieło!

Co w przekładzie na polski oznaczało: nie tylko nie pojedę do kraju, ale czeka mnie jeszcze proces sądowy za roztrwonienie mienia państwowego!

- Nie mogę odpowiadać za to, że oni posprzedawali wypożyczoną pościel!

- A kto ma odpowiadać? Trzeba ich było pilnować.

- Jak to pilnować? Przecież przejmując magazyn od mego poprzednika, zaliczyłem na dobro to, co znajdowało się na kartach ewidencyjnych. Już wtedy mogło nie być tych rzeczy!

- Czemu nie sprawdziłeś? Pospieszyłeś się. Tak nie wolno. Pośpiech jest wskazany tylko przy łapaniu pcheł - powiedział sentencjonalnie. - A ty tiap-liap, po waszemu łapu capu!

„Łapu kacapu” - pomyślałem nienawistnie, patrząc na jego szyderczo uśmiechniętą twarz - i pobiegłem szukać ratunku u... prokuratora.

Powiedziałem wszystko, jak było. Nigdy nie miałem do czynienia z taką pracą, zajęcie magazyniera przyjąłem z konieczności, przy przyjmowaniu magazynu nabrano mnie, a towarzysz główny nie chce mi wydać zaświadczenia, że się rozliczyłem, bez tego mnie nie wypuszczą.

Prokurator nie zastanawiał się ani chwili. Nigdzie nie zadzwonił, z nikim się nie konsultował. Napisał odręcznie kartkę do księgowego, żeby nie robił mi trudności. Pamiętam - użył zwrotu „priedłagaju”, co po polsku znaczy „proponuję”, natomiast w rosyjskim brzmieniu, w relacji prokurator-księgowy, miało specyficzny posmak - i główny bez żadnych „ale” podpisał mi upragnioną bumażkę.

Spieniżyłem nasz ruchomy dobytek. Niewiele tego było. Za otrzymaną gotówkę, plus skromne oszczędności, kupiłem dwa worki mąki. W Polsce po tak strasznej wojnie z pewnością panuje głód. W pierwszym okresie po powrocie będzie z czego piec lepieszki, aładije, bliny, starczy i na gałuszki do zupy...

POWRÓT

Całej naszej kolonii wręczono zaświadczenia upoważniające do powrotu. Moje zachowałem na pamiątkę, chociaż należało je zwrócić przy przekraczaniu granicy. Nosi ono datę 4 marca 1946, numer 28450. podpis: Goldbergowa, pełnomocnik polskiej Delegacji.

- Na stacji kolejowej czekał na nas eszelon - sznur wagonów towarowych z dymiącą lokomotywą. Poukładaliśmy się rodzinami na zmontowanych narach. Bety każdy zabrał, mieliśmy na czym odpoczywać w tej trwającej chyba dwa tygodnie podróży.

Riazań, Tuła... Jechaliśmy przeważnie bocznymi traktami. Drewno na opał zdobywało się na urządzonych w pobliżu lasów postojach.

Wybiegaliśmy z toporami i piłami, rąbaliśmy co popadnie. Wielu miało doświadczenie z poprzednich miejsc pracy... W każdym wagonie stał piecyk z wyprowadzoną na dach rurą, toteż mimo przeciągającej się zimy podróżowaliśmy w ciepłe.

Pewnego razu ułatwiliśmy sobie zadanie. Na placu leżały pocięte deski. Raz dwa przetransportowaliśmy je do wagonów, zadowoleni, że trafił się suchy opał i to bez żadnych zabiegów. Po kilku minutach przybiegli uzbrojeni strażnicy i kazali z powrotem odnieść łup. Był to niezwykle cenny surowiec z jakichś najszlachetniejszych gatunków drzew, bodaj z importu, odpornych na działania atmosferyczne, przeznaczonych do urządzeń technicznych.

Jako starszy wagonu pomagałem w zdobywaniu opału. To zawsze jest dobrze widziane, gdy „władza” przykłada się czynnie do ogólnego dzieła.

Zdarzyło się, że zmarudziłem trochę w lesie. Usłyszawszy pierwszy sygnał maszynisty na powrót, pobiegłem do wagonu. Wziętą od sąsiada po pryczy siekierę w pośpiechu zostawiłem wbitą w pień drzewa.

Kto by się troszczył o taki drobiazg? Siekier i pił mieliśmy w bród.

Mój powrót sąsiad powitał okrzykiem przerażenia.

- Siekiera! Co pan zrobił z moją siekierą?!!

- Weź pan sobie inną. Mało ich tu się wala?

Wyskoczył jak z procy, pobiegł na skraj lasu i wrócił dosłownie w ostatnim momencie: po trzecim sygnale maszynista puścił parę, koła już się obracały, wciągnęliśmy faceta za kark do wagonu. Dopiero po przekroczeniu granicy zrozumiałem przyczynę jego desperackiego kroku. Gdy odkręcił stylisko siekiery, posypały się „nikolaszki”, złote pięć i dziesięciorublówki. Może były wśród nich i te, które mój kuzyn Stefan przed sześciu laty wiozł z Polski do Rosji?

Podróż skracaliśmy sobie w różny sposób. Opowiadaliśmy rozmaite historyjki o swych przeżyciach, snuliśmy plany na przyszłość, śpiewaliśmy. Autentyczny podrabinek z Myślenic, który też swoje odsiedział, zawodził z charakterystycznym akcentem:

Sideli my na kryszce, A możej byt' i wysze, A możej byt' na samoj, na trubie, a, a, A ty mnie izmieniła, Drugowo poliubiła, Zaczemże ty mnie szariki krutiła, aha?

Kupił ja tiebie salo, No tolku było mało...

W dwadzieścia lat później tę piosenkę, w przekładzie Agnieszki Osieckiej, śpiewano masowo w Polsce. Z tą różnicą, że w wersji rosyjskiej chłopiec żali się dziewczynie za rekużę, w polskiej - odwrotnie: „Siedzieliśmy jak w kinie, Na dachu przy kominie, A może jeszcze wyżej niż ten dach, dach, dach, A ty mnie precz wygnałeś i inną pokochałeś...”

W Orle zarządzono dłuższy postój. Poszliśmy na bazar uzupełnić zapasy żywności. Dwa dni wcześniej, jak mi opowiedział miejscowy Polak, ulicami miasta przeciągnął pochód dzieci z sierocińca. Niosły olbrzymi transparent z wymalowanymi łożungiem: „Chwała Stalinowi za nasze szczęśliwe dzieciństwo!” Były to dzieci rodziców, pomordowanych z rozkazu Stalina...

Po powrocie do wagonu jeden z naszych stwierdził brak zegarka. Pamiątkową „Omegę” miał ukrytą w kieszonce spodni, pod marynarką i fufajką. Fufajki ani marynarki na bazarze nie rozpinał, do kieszonki nie sięgał, była cała, ani śladu rozprucia! B. właściciel zegarka chyba do dziś się głowi, jak operujący na bazarze złodziejasek dokonał tego wyczynu.

Briańsk, Homel... Pociąg nawijał kilometry na koła. Jak daleko jeszcze do Polski?

Gdzie przekroczyliśmy granicę - nie pamiętam. Przesadzono nas do pociągu osobowego jadącego na Dolny Śląsk. Wzruszeni spoglądaliśmy przez okna na polskie krajobrazy. Jak i w poprzednio mijanych miejscowościach wybiegały nam na spotkanie ślady wojny. Strzaskane pociskami budynki, popalone chaty, pola leżące odłogiem, kikuty zwęglonych drzew.

Wreszcie - Kłodzko! Furmanki i samochody zawiozły nas z dobytkiem na rynek. Kazano czekać na urzędników Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Przydzielą nam mieszkania, wypłacą zapomogi, dadzą żywność na pierwsze dni. Żona pilnowała dziecka, ja nie spuszczałem oka z worków mąki. Licho nie śpi, jeszcze ktoś w tym tumultcie zaopiekuje się moim skarbem.

Poprosiłem współtowarzysza podróży (zdaje się, że tego od „nikolaszek”), żeby skoczył na rekonesans. Niech się dowie jak w mieście z aprowizacją, czy można coś kupić i za ile. Ja przez ten czas popilnuję jego maneli. Wrócił po chwili z rumianym bochenkiem chleba posypanym od spodu, jak za dawnych czasów, mąką. „Sklepy zawałone pieczywem” - oznajmił. Boże kochany, po kiego czorta wiozłem taki szmat drogi te wory? Błysnął mi kalambur: droga przez mąkę.

Dostaliśmy jednopokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze. Kuchnia ślepa, bez okna, za to bieżąca woda w kranie, już nie trzeba biegać z wiadrem do „kołodca”. Dwa wygodne, szerokie łóżka, szafa, stół z prawdziwego zdarzenia - słowem żyć nie umierać! A w spiżarni kilka skrzynek z bombkami na choinkę. I chociaż szło ku Wielkanocy, już nazajutrz upłyniłem na rynku ozdóbki i zdobyłem trochę grosiwa.

Dla innych los okazał się jeszcze łaskawszy. Bracia Baronowie zastali w przydzielonym mieszkaniu istne skarby, widocznie szabrownicy nie zdążyli ich wynieść: maszyna do szycia, radio, szafy pełne odzieży.

Zapomogi zapomogami, wiecznie to nie potrwa, trzeba się rozejrzeć za jakąś pracą. W Uljanowsku po ogłoszeniu amnestii nie mogłem się doczekać chwili, kiedy znajdę się w Polsce i wrócę do Łodzi, gdzie spędziłem dwadzieścia sześć lat. A teraz jakaś siła powstrzymywała mnie przed wyjazdem do rodzinnego miasta. Mogłem się domyślać, więcej - mogłem być pewny, że nie zastanę nikogo z rodziny. Nie chciałem stanąć oko w oko ze straszną prawdą. Odwlec jak najdłużej tę chwilę, łudzić się nadzieją, że może nie wszyscy zginęli, może ktoś uszedł cało z zawieruchy wojennej...

Poszedłem do PUR po wsparcie. Jak wynika z adnotacji na odwrocie mego zaświadczenia repatriacyjnego, dostałem osiem tysięcy starych złotych.. Za mną stał mężczyzna niedużego wzrostu, szczupły. Jego twarz wydała mi się znajoma.

- Przepraszam, skąd ja pana znam?

- Moje nazwisko Singer. Bernard Singer...

Więc to on! Znany przed wojną felietonista, czołowy komentator polityczny, autor książki „Moje Nalewki”. Do wybuchu wojny swe dociekliwe artykuły zamieszczał w „Naszym Przeglądzie” pod kryptonimem Regnis. Powiedziałem urzędnikowi, kim jest interesant i wyjednałem mu większą sumę. Redaktor Singer - ale to już późniejsze dzieje - niedługo przebywał w kraju. Wyemigrował do Anglii, współpracował z londyńskim pismem „Economist”, zmarł w Edynburgu. Bodaj w 1947 roku przyjechał na krótko do Polski, odwiedził „Dziennik Łódzki”, na zamówienie redakcji napisał artykuł o sytuacji politycznej w Europie. Opatrzył go swoim dawnym pseudonimem - Regnis (odwrotność nazwiska).

Spotkanie to zrobiło na mnie wrażenie. Falą napłynęły wspomnienia. Przecież nie zawsze pracowałem jako drwal, motorniczy, kelner, poganiacz wielbłądów czy nauczyciel. Napisałem sążnisty artykuł o naszym powrocie do kraju, o pierwszych wrażeniach na wyzwolonej ziemi kłodzkiej i posłałem mój elaborat do wychodzącej we Wrocławiu „Trybuny Dolnośląskiej”.

Po kilku dniach z dumą obnosiłem się z gazetą po znajomych. Wydrukowali niemal bez zmian, a naczelny „Trybuny”, Tadeusz Galiński, zapraszał mnie do redakcji.

- To całkiem niezłe - powiedział, wskazując na rozłożoną gazetę.

- Jak się pan przyłoży, będzie jeszcze z pana dziennikarz.

Bąknąłem nieśmiało, że dziennikarzem jestem od 1931 roku, do samej wojny pracowałem w łódzkim „Expressie”.

- A wie pan...Express” znowu wychodzi w pańskim mieście.

- Tak? Kto go redaguje? - serce zabiło mi żywiej.

- Bogusławski Konstanty Bogusławski. Zna go pan?

- Nie...

- Przed wojną nazywał się inaczej. Może to któryś z pańskich kolegów?

- Możliwe... Dziękuję za informację.

- Gdyby się pan nie przeniósł do Łodzi, reflektujemy na korespondencje z Kłodzka.

Proszę, kwit do kasy...

Na korytarzu spotkałem Arnolda Mostowicza, późniejszego redaktora naczelnego „Gazety Krakowskiej”, a po przeniesieniu się do Warszawy - „Szpilek”. (Arnold Mostowicz opuścił Kraków, Bóg mu powierzył humor Polaków” - wskrzeszono stary kalambur Słonimskiego). Wtedy był sekretarzem redakcji „Trybuny Dolnośląskiej”.

Znaliśmy się z Łodzi, chodziliśmy do równoległych klas gimnazjalnych. Więc może pojechać do Łodzi, do „Expressu”? I dowiedzieć się, że moi najbliżsi nie żyją?

Nie, zostanę tutaj, zapuszczę korzenie na Dolnym Śląsku!

Udałem się do Komitetu Miejskiego PPR. Jestem repatriantem, może znajdzie się dla mnie jakaś praca?

- Umiecie pisać na maszynie?

- Umiem.

- To was zatrudnimy u siebie. Ale o żadnej pensji nie ma mowy.

Wynagrodzenie w naturze - prowiant, coś z odzieży unrowskiej, opał, to wszystko, co możemy na razie wam zaofiarować.

I tak, stukając w klawisze starego remingtona, wciągałem się do pierwszej po powrocie do kraju pracy. I kto wie, jak długo pokutowałbym w Kłodzku, gdyby nie przypadkowe odkrycie...

W drodze do domu zatrzymałem się przed księgarnią. Za szybą mieniły się różnokolorowe okładki wydanych po wojnie książek. Kupiłem „Antygonę” Kazimierza Brandysa. Obok na ladzie leżały wydawnictwa nutowe. Machinalnie rzuciłem na nie okiem

i... coś podpłynęło mi do krtani. „Łyżkami bym cię jadł”. Muzyka: Albert Harris, słowa Ludwik Starski! Znałem wszystkie przedwojenne piosenki mego brata, tej z całą pewnością w jego dorobku nie było. A zatem - napisał ją teraz! Lutek żyje!

- Panie Czap - zwróciłem się do znajomego, który wybierał się na kilka dni do Łodzi. - Mam do pana prośbę. Mój brat ocalał. Warszawa spalona, on na pewno mieszka w Łodzi. Tam drukują „Express”. Brat przez długie lata był dziennikarzem, może znowu pracuje w gazecie? Niech pan wstąpi do redakcji i zapyta o niego.

Czap wrócił z radosną nowiną. Zastał pana Starskiego w „Expressie” w towarzystwie innych panów redaktorów. Powiedział mu, że jestem zdrow i cały.

- Tu pan ma numer telefonu brata. Jutro po obiedzie będzie czekał na rozmowę.

Lutek, jak się później dowiedziałem, całkiem przypadkowo znalazł się tego wieczoru w redakcji. Zaproszono go na bankiet z okazji pięćdziesiątego numeru popołudniówki. I właśnie wtedy, gdy spełniano kolejny toast za dalszy rozwój gazety, zjawił się mój pan Czap.

Zamówiłem na pocztę rozmowę. Chwile wyczekiwania ciągnęły się w nieskończoność. Wreszcie - rozmowa z Łodzią, proszę do kabiny!

- Halo! Lutek? To ja, Adaś... Jakże się cieszę... Co z naszą rodziną?

- Ojciec i Celinka nie żyją. Zamordowani...

- Manusia i Sabinka ocalały. Przeszły przez obozy hitlerowskie. Manusia mieszka w Wrocławiu, pracuje w „Filmie Polskim”. Dałem jej wasz adres, przyjedzie w niedzielę. Sabinka wyszła za mąż, jest w Kanadzie...

- Przenieś się do Łodzi. Bogusławski chce cię zaangażować.

- Kto to jest? Nie znam go.

- Adam Górski z „Republiki”. Zmienił nazwisko w czasie okupacji.

- Górski!... A gdzie będziemy mieszkać? Żona, ja, dziecko...

- Na jakiś czas możesz się u nas zatrzymać. Mamy dwupokojowe mieszkanie, Narutowicza 69. Zacznieś pracować, wystarasz się o coś...

Decyzję podjąłem od razu w kabinie. Pobiegłem podzielić się z żoną nowinami. Ona też chciała wrócić do miasta swej młodości. Poprosiłem sekretarza komitetu PPR o zwolnienie. Uznał moje racje, wyraził zgodę.

Przyjechała siostra.

- I to jest to cudo, któreś tak zachwalał Lutkowi? - obrzuciła krytycznym wzrokiem naszą sadybę. - W kuchni ciemno jak w grobie, jeden pokój, cuchnie stęchlizną. Zapomniałeś, jak ci się mieszkało w Łodzi?

Nie zapomniałem mego luksusowego mieszkania na Sienkiewicza 73. Pamiętałem też chatkę na Zawolżu, sublokatora - rudego szczura, „kołodiec”. deski wyrywane z szaletów na opał...

Siostra pożyczyła mi kilkaset złotych na bilet kolejowy. Ale z czego będą żyły żona i córeczka w czasie mej nieobecności? Racja, przecież mamy mąkę! Sprzedam ją, po co taszczyć wory do Łodzi, mało się nadźwigałem?

Wszedłem do prywatnej piekarni.

- Mam mąkę do sprzedania.

- Ile tego jest? Wagon, dwa?

- Dwa... worki.

- Toś pan detalista. No dobra, taskaj pan.

Przy pomocy zacnego pana Czapa dostarczyłem swój skarb do zakładu. Piekarz rozwiązał worek i zarechotał.

- Co to jest? Cement? Pani Józku, tajoj, popatrz pan, co nam przynieśli! Szkoda, że tu nima ciotki Bandziuchowy. Ona by panu powiedziała, co si robi z taki mąki. Jak by ja z tego chlebuś wypiekl, to by był sztemp na cały miasto. Ot, szpanuj pan z czego pieczemy - wskazał na stojące obok dzieży z rozrobionym ciastem wory z bielutką jak śnieg mąką. - Zabiraj się pan z tym do chawiry!

- Mogę sprzedać taniej... potrzebna mi gotówka...

Piekarz odwrócił się na pięcie, dając do zrozumienia, że dyskusja skończona. Jego konkurentz sąsiedniej ulicy też odprawił mnie z kwitkiem. Chciałem już za darmo zostawić komuś mąkę, nikt na nią nie reflektował. Wreszcie zlitował się nade mną właściciel masarni hodujący pokaźne stadko nierogacizny. Przyjął worki rewanżując się paczką papierosów „Wolność”.

I tak wyszedłem na tej mące jak... Zabłocki na mydle? Nie, jak Ochocki na soli w Uljanowsku.

Pieniądze pożyczył mi pan Czap. Nazajutrz pociąg uwoził mnie do Łodzi, gdzie po sześciu z górą latach przerwy miałem znowu podjąć pracę w dziennikarstwie.

Przeżycia w okresie wojennej tułaczki zostawiły trwałe ślady. Niemal co noc śnił mi się obóz. I jak to bywa w snach, w dramatyczniejszych niż w rzeczywistości okolicznościach.

Brat, któremu zwierzyłem się z nocnych koszmarów, zażartował:

- I co się w twoim życiu zmieniło? W dzień musisz pracować, a w nocy siedzisz w obozie.



...Ale rano budziłem się w opalonym pokoju, na wygodnym tapczanie, myłem się w łazience pod ciepłą wodą, bawiłem się z córeczką, zasiadałem do obfitego śniadania, a w pracy, zamiast piły czy siekiery, brałem do ręki pióro, którym teraz zapisałem białą plamę w moim życiorysie sprzed pół wieku...

#### POSŁOWIE

Jakie były dalsze losy trzech osób, które odegrały znaczącą rolę w moich dramatycznych przeżyciach uljanowskich?

Helena Korab wróciła do kraju. Pracowała parę lat w którymś z ministerstw, zmarła na początku lat sześćdziesiątych. Ponieważ nie może się bronić, nie podaję jej prawdziwego nazwiska.

Alojzy odsiedział wyrok do końca. Po powrocie osiadł we Wrocławiu, zajął się praktyką adwokacką. Zdołał mój adres, prosił o skon-taktowanie się z nim. W r. 1952, w drodze do NRD, odwiedziłem go.

Wkrótce potem wyemigrował z Polski, gdzie obecnie przebywa - nie wiem.

O Zygmuncie Sz. wszelki śluch zaginął. Powrócił, czy może został w Związku Radzieckim? Jeśli jesteś w Polsce i natkniesz się na ten pamiętnik, odezwij się. Przebaczam ci, ale o przebaczenie nie proszę, zakrawałoby to na ironię.